Inw. 1568a

KLASZTOR NAJSW. SERCA JEZUSOWEGO
w Grabowie, p. Pyry k/Warszawy

WSZECHMOCNI.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie

BIBLIOTEKA POLSKA

tom broszurowany 3 kor. 60 hal., w oprawie 4 kor. 60 hal.

Dotychczas wyszłe tomy zawierają dzieła: **Elego (Asnyka) — Romanowskiego — Krasińskiego — Zaleskiego — Słowackiego — Kraszewskiego — Kitowicza — Niemcewicza — Wybickiego — Małeckiego — Teofila Lenartowicza.**

	K.	h.
Bronikowski. Jan Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. w 2 t.	8	40
Felliński K. S. arcyp. Wiedza chrześcijańska i bezbożna wobec zadań społecznych	6	—
Dr. Antoni J. Opowiadanie historyczne. Serja VII.: Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich . . .	6	40
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński. Przycz. do biografii i charakterystyki	1	20
— Artykuł Brodzińskiego o Mickiewiczu	—	40
— Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny	—	80
Wincenty Reklewski. Szkic literacki	—	80
Kożmian An. Ed. Listy od roku 1829 do roku 1864, 4 t.	28	80
Kożmian St. Lysistrata, czyli wojna o pokój, komedya w czterech aktach podług Aristofanesa . . .	3	60
Krasiński Zygmund. Listy I—III, każdy tom	6	40
I. Listy do Konstantego Gaszyńskiego, z przedm. J. I. Kraszewskiego z portretem autora		
II. Listy do Adama Sołtana.		
III. Listy do J. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisława Koźmianów, B. Trentowskiego		
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński, 2 tomy	15	20
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróż i pamiętniki	8	40
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiery	5	60
Łoziński Wład. Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wita Narwoja	6	—
Rolle Michał. Z przeszłości. Starostwo Barskie . . .	5	20
Pepłowski S. Krwawa karta. Opowieść z przeszłości Galicyi	4	80
— Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa 1772-1858 2 tomy	9	20
Pasek J. Chryzostom Pamiętniki. Wydanie krytyczne przez Dr. B. Gubrynowicza	5	—
Stiepniak S. M. Podziemna Rosya. Obrazki z przeszłości młodej Rosyi	4	80

WSZECHMOCNI

KARTKA

Z KRONIKI MIASTA POWIATOWEGO

WYCIĘTA PRZEZ

AUT. „KSIĘŻNICZKI“.

Tom I.

ROJOWSKI
KLASZTOR NAJŚW. SERCA JEZUS
Grabowiec, Pyry k/Wa

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1903.

Zb. S.
K-1622
821.162.1-3

DRUKARNIA UDZIAŁOWA — LWÓW, LINDEGO 8.

Tym co wolą chleb czarny w domu, niż kołacz poza domem; tym co wielkich celów blisko szukają,

poświęca się tę pracę.

I.

Poselstwo pana sekretarza policyi, pełniącego zarazem obowiązki kwatermistrza, nie łatwem było do spełnienia. Prześwietny magistrat miasta powiatowego Kozłowa, w Królestwie Polskiem, polecił mu oznajmić pani Wilczkowej, właścicielce domu przy ulicy Mokrej, że naznaczono u niej kwaterę dla pułkownika. Było bowiem zwyczajem w Kozłowie, zawiadamiać właścicieli domów drogą prywatną o postanowieniach magistratu dotyczących kwater, wprzód, zanim otrzymają papier urzędowy, bez którego się często obeszło, a który posyłano głównie oporniejszym, dla zastraszenia ich widokiem urzędowej pieczęci. Chociaż podejmujący się poselstwa, był w swojem prawie i występował w charakterze urzędnika, osłaniającym zupełnie jego prywatną osobę, przecież byłby wolał uniknąć widoku tej wysokiej, acz nieco przygarbionej staruszki, której wzrok poważny a surowy mieszał go niewiadomo czemu i wzbudzał jakieś nieokre-

ślone niepokoje w okolicy dołka podsercowego. I on, co wszędzie rozpościerał się jak u siebie. zaledwie śmiał usiąść w jej obecności. Do innych właścicieli domów chodził zwykle z burmistrzem, a czasem jeszcze dwaj ci panowie przybierali sobie trzeciego, Frytza, bogatego handlarza drzewa budulcowego, jednego z najgorliwszych członków deputacyi kwaterniczej — ale jakoś dzisiaj wszyscy umyli ręce! Frytz pojechał do lasu dojrzeć wyrobu, a burmistrza ni ztąd ni zowąd rozbolała głowa. Cały ciężar spadł na kwatermistrza. Jużto tak jakoś zawsze się składało, że wszelkie nieprzyjemne misye jemu się dostawały. Nie pierwszy to raz deputacya kwaternictwa miała do czynienia z panią Wilczkową, a zwłaszcza z jej mężem, upartym starcem, zmarłym przed rokiem. Zatargi trwały od lat kilkunastu, zrazu małe, potem coraz większe i większe, a chodziły nawet pogłoski, że silna irytacya z tego właśnie pochodząca źródła, wpłynęła na przyspieszenie zgonu Wilczka. Ale czego ludzie nie wymyślą!

Idąc ulicą, pan kwatermistrz rozmyślał nad niepojętym nierozsądkiem zmarłego, który wolał zadzierać z taką potęgą, jak magistrat i psuć sobie krew niepotrzebnie, zamiast starać się zjednać sobie tę potęgę łatwym, rzadko zawodzącym sposobem... Cóż robić! bywają ludzie, którym do śmierci nie otwierają się oczy na niektóre rzeczy.

Im mniejsza odległość dzieliła pana kwatermistrza od domu pani Wilczkowej, tem wolniej-

sze były jego kroki i mniejsza do spełnienia poselstwa ochota. Wolał on zawsze mieć do czynienia z mężczyznami, niż z kobietami — ta zwłaszcza, dziwnie była dumna i harda, chociaż mówiono o niej, że chodzi na ostatnich nogach... Wreszcie przystanął i patrzył przez chwilę na ten dom, którego próg miał wkrótce przestąpić. Był on narożny, piętrowy, frontem zwrócony do ulicy, a bokiem w ogród schowany. Front nie różnił się niczem od innych domów miejskich, chyba tem, że gdy tamte pomalowane były jaskrawo i biły w oczy wszystkiemi kolorami tęczy, on sam jeden tylko miał odwagę poprzestać na barwie tynku, poczerniałego już dobrze od deszczu i słońca. Bok za to zdobny lekkim drewnianym ganeczkiem, ze schodami spuszczającymi się wprost do ogrodu i obrośnięty dzikiem winem, pociągał oczy zielonością malowniczą, odbijającą od muru. Przez wysokie sztachety, które grodząc dom z boku, oddzielały go zarazem od drogi, wysadzonej wierzbami, a wiodącej między łąki i grunta miejskie, widać było obszerny i starannie utrzymany ogród. Część tę boczną domu, widocznie znacznie później przybudowaną, zajmowała sama właścicielka, a drugą z oddzielnem wejściem i oddzielnymi schodami wynajmowała lokatorom. W części zajmowanej przez siebie, na górze pani Wilczkowa miała na sposób angielski pokoje sypialne, a na dole jadalnię i salonik.

Wzrok pana kwatermistrza spoczął trochę dłużej na ganku, nad którym umiejętna ręka utwo-

rzyła chroniącą od słońca zasłonę z gałęzi winogradu pnących się po drutach.

— Gdyby stara chciała się przenieść z tej strony domu na drugą, to pułkownik miałby przepyszne mieszkanie — szepnął sam do siebie — bo to w mieście niby, a zupełnie jak na wsi. Z frontowych okien widziałby rynek jak na dłoni i mógłby nawet dojrzeć, przy pomocy lornetki naturalnie, ładną twarzyczkę pani naczelnikowej. Królewska kwatera, jak mi Bóg miły! Niech mi kto pokaże drugą taką w Kozłowie. Na ganku można posiedzieć przy butelce szampana i w karty zagrać. I wojsko tędy codziennie ciągnie na mustrę; mógłby sobie pułkownik patrzeć na jego obroty przez lunetę, nie wychodząc z domu. Ogród też przecie coś znaczy, i jeszcze taki piękny ogród!... Jestem pewny, że będzie kontent. To taki delikatny człowiek i do tego hrabia!

Zatarł ręce z zadowoleniem.

Drzwi wchodowe były otwarte, ale pan kwatermistrz, zmierzający już ku progowi, minął je po chwilowym namyśle i podciągnąwszy energicznym ruchem do góry swój czerwony kołnierz, skierował się do bramy. Była ona zawsze zamknięta na kłódkę, ale furtka w niej umieszczona stała często otworem. Wszedłszy na dziedziniec, usłyszał najprzód brzęk łańcucha, a potem gwałtowne szczekanie. Żółty, kudłaty kundys, mający swoje legowisko niedaleko bramy, wyszedł z budy i oparłszy się jedną łapą na listwie parkanu, patrzył na przybysza gniewnym, nieprzyjaznym

wzrokiem i ujadał zawzięcie. Pan kwatermistrz nie lubił psów, zwłaszcza tych, które pełniły służbę stróżów domowych, bo były brzydkie i hałaśliwe. Przesuwał się około budy z wszelką możliwą ostrożnością, gdy usłyszał wołający na psa głos niewieści, młody i bardzo dźwięczny:

— Kurta, leżeć!...

Panu kwatermistrzowi zrobiło się niemiło koło serca. Nazwisko jego było Kurtz, a złośliwi mieszczanie, lubiący wszystko przekręcać, przerobili je po swojemu na Kurta, co się dziwnie zgadzało z jego małym wzrostem i dlatego właśnie dotykało go tem boleśniej. Słysząc to przezwisko, zastosowane do psa, uczuł się silnie podrażnionym — i jeżeli idąc tu, miał jakie chwile wahania, to teraz one pierzchnęły bez śladu, ustępując miejsca świętemu poczuciu obowiązku.

Pies na wezwanie zamilkł, a pan kwatermistrz szybkim krokiem podszedł ku miejscu, skąd wyszedł głos, to jest ku ogrodowi. Przechodząc koło otwartych, nizko umieszczonych okien mieszkania właścicielki domu, zapuścił w głąb pokoju wzrok ciekawy i zobaczył stół nakryty do obiadu z wykwintną czystością i pewną kokieteryą, polegającą na ścisłem przymierzu z estetyką. Świadczyła o tem cała, acz pełna prostoty zastawa, świadczył wazon stojący na środku stołu i oczekujący widocznie na bukiet. Pan kwatermistrz nie zauważył tych subtelności, widocznych tylko dla ludzi, mających smak wykształcony i pewne na-

wyknienia, z wychowania idące, ale dostrzegł za jednym rzutem oka omszałą butelkę wina i trzy nakrycia.

— Spodziewają się kogoś — szepnął do siebie — pewnie doktór Jacenty został zaproszony na obiad.

Od śmierci starego Wilczka. dwie kobiety, babka i wnuczka, żyły samotnie i nikogo prawie nie przyjmowały, prócz doktora. W części ogrodu dotykającej domu, znajdowała się młoda, najwyżej lat ośmnaście mieć mogąca panna. Trzymając w jednej ręce pęk przepysznych róż herbacianych, a w drugiej płaski koszyczek, napełniony truskawkami, których bladoróżowe barwy ładnie odbijały od ciemnego tła winnych liści, stała ze wzrokiem utkwionym w stronę bramy. Ujrzawszy zdala czerwony kołnierz kwatermistrza, zmarszczyła lekko brwi i zbliżyła się zwolna do furtki.

— Moje uszanowanie — przemówił, kłaniając się, jak umiał najuprzejmiej — czy zastałem w domu czcigodną panią Wilczkową?

— Czy pan ma interes do babki? — spytała obrzucając nieufnem spojrzeniem przybysza.

— Tak jest odrzekł — mam dość pilny interes...

Panna popatrzyła na niego w milczeniu: spokojne jej rysy, odbiły w tej krótkiej chwili grę różnorodnych sprzecznych uczuć. Była w nich obawa. przykrość, wahanie.

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć mnie to, co pan ma powiedzieć babce — przemówiła,

rzucając przelotne spojrzenie na okna mieszkania — a ja jej pańskie słowa powtórzę.

— Czy to ma znaczyć, że pani Wilczkowa nie chce mnie widzieć?...

— Nie, tylko... babcia przed chwilą położyła się właśnie.

— Aaa!...

— Ale ja jestem gotowa zastąpić moją babkę, niech to panu wystarczy!

Pan kwatermistrz przygryzł wąsa.

— Musi wystarczyć, skoro pani tak chce — odrzekł z pozorną rezygnacyą, choć w duszy rad był z tej zamiany. Wolał rozmawiać z wnuczką, niż z babką.

Dotąd widywał pannę Jadwigę tylko z daleka na ulicy, a dziś przypatrując się z bliska, zdumiony był i olśniony jej niezwykłą pięknością. Barwa jej lic świetna i przejrzysta, miała gorące blaski młodości, rwącej się do życia; oczy wielkie, ciemno-szafirowe, przysłonięte do połowy długiemi rzęsami, miały coś z głębi i przenikliwości oczu babki, a czarne łuki brwi, śmiało nad niemi nakreślone, dawały im także chwilami podobną jak u babki powagę i surowość. Na czole niewysokiem, ale szlachetnemi uderzającem liniami, dziecinna niewinność i prostota walczyły z jakąś przedwczesną dojrzałością.

Pan kwatermistrz nie zdawał sobie sprawy z charakteru piękności panny Jadwigi, on widział tylko to, co podpadało pod zmysły; świeżość lic

i kruczą czarność warkoczy, korale ust i bijące z całej postaci blaski młodości.

Suknia z lekkiej czarnej tkaniny, bo rok żałoby po dziadku jeszcze się nie skończył, zrobiona ze spartańską prostotą, uwydatniała jej kształtną figurę i bujny wzrost.

— Słucham pana — przemówiła wreszcie zniecierpliwiona i rozgniewana tem milczącem oglądaniem swojej osoby.

— Dumna sztuka — pomyślał, nie prosi mnie nawet żebym wszedł do ogrodu i usiadł na ławce: chce mnie się prędko pozbyć... — i przybierając ton urzędowy, rzekł głośno:

— Przyszedłem zawiadomić czcigodną panię Wilczkową, że w tym domu naznaczoną została kwatera dla pułkownika, i prosić, aby była łaskawą jak najprędzej zaopatrzyć ją w potrzebne sprzęty. Łóżko może być żelazne, ale co do kanapy i krzeseł, prosimy bardzo, aby były wyścielane i jak można najwygodniejsze.

Nagłe wzruszenie odmalowało się na twarzy panny.

— To być nie może! — zawołała — babcia miała już dość zmartwienia z tego powodu...

— Nikt temu nie winien, łaskawa pani. Kto posiada dom w mieście, musi ponosić miejskie ciężary, a do tych należy kwatera.

— Ależ babcia ponosi je ciągle!

— Pani Wilczkowa nie jest wyjątkiem, wszyscy obywatele je ponoszą!

Jakieś ostre wyrazy zadrgały na ustach dziewczęcia, ale je powściągnęła i rzekła spokojnie:

— Zapomniał pan widzę zupełnie, że babcia ma już jednę kwaterę w domu. Czy przepisy wymagają, żeby jeden dom dawał po dwie kwatery na raz?

Pan kwatermistrz spojrzał z niezadowoleniem na piękną pannę, której ochota do polemizowania zaczęła mu się nie podobać. Niema jak Niemki! Te nie wtrącają się do interesów, całym ich światem kuchnia i gospodarstwo!

— Pani mówi o mieszkaniu, zajętem przez geometrę, ale czyż to nawet można nazwać kwaterą? Geometra mieszka zupełnie jako człowiek prywatny, jak najzwyczajniejszy lokator, bo nawet do kwatery dobrowolnie dopłaca.

— Nie widzieliśmy jeszcze tych pieniędzy — odparła sucho — i gdzież to pan chcesz pomieścić pana pułkownika? Mamy tylko dwa pokoiki wolne, a i te już zostały wynajęte.

— Chciałem właśnie zaproponować czcigodnej babce pani, aby raczyła z części domu, jaką obecnie zajmuje, przenieść się do tych dwóch pokoi, a swoje mieszkanie ustąpić pułkownikowi. Że zaś pani podjęła się pośrednictwa...

Tu kwatermistrz ukłonił się.

— Zatem będę panią prosił o powtórzenie pani Wilczkowej mojej propozycyi.

— Nie — odrzekła, patrząc mu śmiało w oczy — ani słowa z tego, coś pan mówił w tej chwili, babce nie powtórzę.

— A to dlaczego? — zapytał rozdrażniony tym oporem — przecież panie nie potrzebują tak obszernego mieszkania od śmierci pana Wilczka!...

— Sąd o naszych potrzebach niech pan będzie łaskaw nam samym zostawić — odparła z gniewnym błyskiem oczu, lecz powściągnęła się natychmiast i dodała łagodniej: — Powtarzanie słów pańskich babce, byłoby zupełnie bezużyteczne. Pan znasz nasze mieszkanie i wiesz dobrze, że kto je zajmuje, ten niejako wchodzi w posiadanie ogrodu, bo z dolnych pokoi drzwi, a z górnych schodki wprost do niego prowadzą. Moja babka jest stara i cierpiąca, nie może się wyrzec ogrodu, dającego świeże powietrze jej osłabionym płucom i będącego jedyną jej przyjemnością i rozrywką.

— Jestem pewny, że pan pułkownik nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli...

— Bardzośmy mu wdzięczni za jego łaskę, ale nie chcemy z niej korzystać. Niech pan wybierze inną kwaterę dla tego dygnitarza, gdzie jego uprzejmość potrafią lepiej ocenić.

— Gdybym był właścicielem domu, uważałbym sobie za zaszczyt, że...

— Ród nasz nie łaknął nigdy zaszczytów.

Pan kwatermistrz stracił cierpliwość.

— Jaka to rzecz dla mnie przykra — rzekł z goryczą — że pełnienie obowiązku naraża mnie na ciągłe nieprzyjemności. Właściciele domów nie chcą zrozumieć, że obecność pułku w mieście jest

dla nich dobrodziejstwem, bo daje im bezpieczeństwo. Pani także nie chce tego zrozumieć...

— Owszem panie, rozumiem. Babcia musi się wyprowadzić ze swego domu, żeby pan pułkownik mógł lepiej czuwać nad jej bezpieczeństwem:

Pan kwatermistrz przygryzł wargi. Przypomniało mu się nagle przysłowie polskie o »jabłku padającem niedaleko od jabłoni«, i rzekł z ukrywanym gniewem.

— Miałem nadzieję, że zdołam tę sprawę załatwić prywatnie i z zadowoleniem obu stron, ale widzę, że to jest niemożebne. Przyszlę czcigodnej pani Wilczkowej zawiadomienie urzędowe. Żegnam panią; proszę jednak pamiętać, że ja nie działam z własnego natchnienia, ale spełniam tylko rozporządzenie...

To powiedziawszy, sięgnął do czapki.

— Rozporządzenie czyje?

— Deputacyi kwaterniczej.

— Czyli swoje własne, bo doputacya, to pan!

— Być może — odrzekł, gładząc faworyty, słowa te bowiem lekko pogłaskały jego dumę.

Panna Jadwiga popatrzyła bystro na pana kwatermistrza i widocznie przypomniała sobie ów wiersz z Pisma Świętego. w którym jest mowa o niewinności gołębiej i czemś innem jeszcze, bo zmieniając nagle taktykę, rzekła nieco uyrzejmiej.

— Bądź pan łaskaw wejść do ogrodu i pomówmy spokojnie.

— Od tego należało zacząć — mruknął, skorzystawszy skwapliwie z wezwania.

Postawiła w cieniu krzewów swój koszyczek z truskawkami i wskazawszy gościowi miejsce na ławce pod akacyą, usiadła obok niego.

— Panie kwatermistrzu — przemówiła poważnie — powiadają ludzie, że pan jesteś złym człowiekiem, że prześladujesz jednych, a faworyzujesz drugich...

Kwatermistrz zerwał się.

— Tak mówią! – zawołał, a plamy czerwone wystąpiły mu na twarz — i któż to pani powiedział?

— Ale ja temu nie wierzę — mówiła dalej, jakby nie słyszała jego pytania, a głos jej przybrał dźwięki łagodniejsze. — Są to zapewne tylko plotki, rozsiewane przez nieżyczliwe panu osoby. Nie wierzę temu tak samo, jak nie wierzę, abyś pan naprawdę wymagał od mojej babki, żeby wynosiła się ze swego mieszkania dla wygody pana pułkownika, bo takie poselstwo ubliżałoby pańskiemu mundurowi. Pan tylko żartowałeś i nie dopuścisz aby mej babce działa się taka krzywda, nieprawdaż? Sam pułkownik nie dopuściłby tego, gdyby o tem wiedział, bo przypuszczam że jest człowiekiem dobrze wychowanym... Jeżeli takie postanowienie rzeczywiście zostało wydane, to pan przedstawisz członkom deputacyi, że niegodzi się wyrzucać z mieszkania starej, nad grobem stojącej kobiety dla nikogo, w czasie wojny nawet, a cóż dopiero w czasie pokoju! Panie kwatermistrzu,

ja wiem, że pan wiele, bardzo wiele możesz... wszak pan będziesz nas bronił?

Pan kwatermistrz słuchał tych słów, nie spuszczając oczu z panny Jadwigi, a choć taktykę jej doskonale zrozumiał, myślał sobie jednak, że nieźle byłoby być obrońcą tak pięknej panny i na jej wdzięczność zasłużyć. Od wdzięczności przychodzi czasem do czegoś innego, gorętszego, a on był wdowcem.

— Jakie piękne kwiaty — rzekł, aby coś powiedzieć.

Panna Jadwiga spojrzała na niego, potem na swoje kwiaty, potem znowu na niego. Doszło do jej uszu, że pastor pragnął bardzo wydać za kwatermistrza jedną ze swoich sześciu córek i przyszło jej do głowy, że kwatermistrz miałby może ochotę te róże przedmiotowi swych westchnień ofiarować, gdyby je posiadał.

— Skoro pan lubi kwiaty — rzekła po krótkiem wahaniu — to proszę; niech panu służą.

I podała mu bukiet. Pan kwatermistrz wziął kwiaty machinalnie i wyszeptał jakieś niezgrabne podziękowanie. Dar tak niezwykły oddawna go nie spotkał — chyba niegdyś, gdy był jeszcze młodym i czytywał poezye. Czasami poczciwi mieszczanie, gdy mieli do niego interes, ściskali mu serdecznie rękę i wysuwali ją potem szybko, a on w swojej dłoni uczuwał coś szeleszczącego, niepozornego — ale żeby kto wkupywał się w jego łaskę kwiatami, to się jeszcze nie zdarzyło. Nie

wiedząc, co z tym fantem zrobić, poniósł go machinalnie do nosa.

— Czy mogę liczyć na to, że pan postara się oszczędzić mej babce tej nowej przykrości? — spytała panna Jadwiga, patrząc z żalem na swoje kwiaty.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział, wąchając ciągle bukiet — i przyjdę zdać pani sprawę z moich starań. Czy dobrze?

— Ach, dziękuję panu — odrzekła i wstała z ławki.

Pan kwatermistrz zrozumiał, że powinien już odejść i wstał także. Wydało mu się, że pomoc, jaką przyrzekł pannie Jadwidze dla babki, upoważnia go do czegoś więcej prócz zwykłego ukłonu, wyciągnął więc rękę na pożegnanie. Ale nieszczęście chciało, że suknia panny Jadwigi zaczepiła się o krzak agrestu a ona, pochyliwszy się, tak się gorliwie odczepianiem zajęła, że nie zauważyła tego ruchu. Pan kwatermistrz stał parę sekund z wyciągniętą ręką, ale gdy suknia plątała się coraz bardziej, opuścił ją i wyszeptawszy: — Do widzenia — oddalił się nie bez żalu, że stracił taką dobrą sposobność uściśnięcia rączki, której kształt i małość podziwiał.

Przez dziedziniec szedł w przyjemnych pogrążony myślach, a mijając budę psa warczącego już teraz głucho, rzekł do siebie, jakby kończąc jakieś w myśli rozpoczęte zdanie...

— A tego psa każę zastrzelić!... Wprawdzie panny za wdowców niechętnie wychodzą, wpra-

wdzie Polki nie cierpią Niemców, zwłaszcza jeżeli ci są protestantami, ale miłość zwycięża wszystkie przeszkody.

Wiedział, że pięknym nie był — ale mężczyzna byle tylko trochę od dyabła ładniejszy, to już i dosyć. Nie to wreszcie ładne, co ładne, ale co się komu podoba, mówi stare polskie przysłowie — tym Polakom zdarza się niekiedy coś mądrego wymyślić. Kobiety miewają różne gusta i fantazye... Nieźleby też było zostać właścicielem tego pięknego domu, dającego niezły dochód...

Tak w myślach się zagalopował, że widział się już przechadzającym w szlafroku po swoim własnym ogrodzie i zrywał te pyszne truskawki, których sam widok napędzał ślinkę do ust, podczas gdy żona piekła mu w kuchni ulubiony placek do kawy.

Na zakręcie ulicy spotkał doktora Jacentego, idącego w stronę, z której on właśnie powracał.

— Witam szanownego konsyliarza — rzekł przystając — a gdzież to tak śpiesznie? pewnie na obiadek do pani Wilczkowej. Smacznego apetytu! Widziałem tam na stole omszałą buteleczkę.

— Dziękuję — odparł doktor przystając także — ale jam już od godziny po obiedzie. Fiu! fiu! co za bukiet! Gdzieżeś go pan kupił?

— Dostałem od panny Jadwigi — odrzekł kwatermistrz, podnosząc uprzejmie kwiaty pod sam nos doktora.

— Hm, hm — mruknął tenże, rzucając z poza kwiatów drwiące na pana kwatermistrza spojrze-

nie — nie wiedziałem, że pan jesteś w takich łaskach!

Kwatermistrz skromnie spuścił oczy. Rad był, że mógł się pochwalić tym bukietem i powiedzieć, od kogo go otrzymał. Swoją drogą trapiła go uporczywie brzydka ciekawość.

Jeżeli doktor już po obiedzie — myślał — więc dla kogo jest to trzecie nakrycie i to wino?..

Odgłos trąbki pocztowej i turkot bryczki podskakującej po nierównym bruku, zwrócił uwagę rozmawiających. Na bryczce siedział dwudziestokilkuletni młodzieniec w płóciennym płaszczu i kapeluszu panama, z dużem rondem, zasłaniającem mu zupełnie czoło i oczy. Skórzany kuferek, stojący na przodzie, dobrze kurzem pokryty i burka sławucka, leżąca obok niego na siedzeniu, wskazywały, że to był podróżny zdaleka. Musiał być znajomym doktora, bo spostrzegłszy go, uchylił z uśmiechem kapelusza, przyczem odsłonił wysokie, myślące czoło i gęstą jasną czuprynę.

— Kto to taki? — zapytał kwatermistrz wysoce zaciekawiony i niespokojny zarazem, bryczka bowiem zatrzymała się przed domem pani Wilczkowej.

— To Jerzy Wilczek, bratanek nieboszczyka — odrzekł doktor. — Skończył uniwersytet w Berlinie, jako doktor prawa i filozofii, odbył w Warszawie obowiązującą służbę wojskową i przyjeżdża na wakacye.

— Aa! że też ja go nie poznałem... — mruknął kwatermistrz — zmienił się bardzo.

II.

Obiad się skończył, służąca Getruda sprzątnęła owe trzy nakrycia, które tak intrygowały niedawno pana kwatermistrza i przyniosła czarną kawę, a panna Jadwiga postawiła na stole koszyczek z truskawkami. Obie panie były rozpromienione, a po twarzy pani Wilczkowej chodziły chwilami błyski wzruszenia. Ta siedmdziesięcioletnia schorzała kobieta była pięknym typem ujawniającego się na zewnątrz ducha. Twarz jej była blada jak papier, ręce prawie przezroczyste, ale w oczach przygasłych tlało życie, a zacięcie ust i kształt brody znamionowały energię i nieugiętą wolę.

Jerzy doświadczał w tej chwili uczucia przyjemnego zadowolenia. Obiad był wyborny, wino stare trącące myszką, krzesło wygodne, co po kilkonastogodzinnej jeździe na mocno trzęsącej bryczce pocztowej, i po bardzo skromnem śniadaniu, miało powab — wreszcie ładna kuzynka, co także nie było bez powabu, chociaż charakter tej piękności był nieco za poważny, jak to ocenił od pierwszego rzutu oka. Przez okna otwarte na oścież, płynęły z ogrodu zapachy rezedy, róż,

akacyi i orzeźwiające powiewy z łąk, rozpościerających się tuż za ogrodem, istne tchnienie wsi, a mieszczuchy, a raczej ludzie zmuszeni żyć czas jakiś w wielkiem mieście, rzadko bywają obojętni na takie rzeczy. Jerzy urok ten żywo odczuwał, jak również urok domowego ogniska, którego słodyczy oddawna nie kosztował jako sierota.

Stryjenka, zastępująca mu matkę gdy był dzieckiem, przyjęła go dziś tak serdecznie, jak gdyby była prawdziwą jego matką — a Jadzia, niegdyś towarzyszka jego zabaw, patrzyła na niego przyjaźnie, no i z tem poszanowaniem, jakie daje tytuł doktora prawa i filozofii. Jerzy rad był, że go podziwiano i dogadzano mu, a choć świeżo uzyskany stopień naukowy nie powinien dawać przystępu żadnym słabostkom, dozwolonym pospolitym ludziom, przecież chętnie grał rolę znakomitości, którą mu ułatwiano.

Był to młodzieniec wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, a ruchy jego, acz nacechowane delikatnością, płynącą ze starannego wychowania, znamionowały siłę i zręczność. Pięknym, w całem znaczeniu tego wyrazu, nie można było go nazwać, bo nie miał rysów twarzy regularnych — było w nim przecież coś przykuwającego wzrok. Oczy nie wielkie, ale błyszczące inteligencyą, wzbudzały zaufanie wyrazem jakiejś rozumnej dobroci. Jasna, gęsta czupryna piętrzyła się nad czołem z pewnem zuchwalstwem, a czoło uderzało wyrazem niepospolitej dumy; nos orli z mocno rozwiniętemi nozdrzami, nadawał tej twarzy młodzieńczej wyraz

Zb. S. 004-1622

prawdziwie męski, co podnosiła także cera śniadawa. Około ust wydatnych puszczał się gęsty zarost. Widać było odrazu, że to jest natura energiczna, gwałtowna, nie wolna od wad, ale prawa, dająca materyał zarówno na bohatera, jak na człowieka zwyczajnego, chociaż pospolitego zupełnie, nigdy — bo przeszkodziłaby temu ambicya: zależało to od okoliczności i warunków w jakich miał żyć. Podróżny jego ubiór z jasno popielatego kortu, noszony z pewną elegancką niedbałością, przypadał mu doskonale.

Jerzy popijał z upodobaniem wonny czarny napój i zapytawszy pań o pozwolenie wypalenia papierosa; sięgnął po cygarnicę do kieszeni.

— A teraz, mój chłopcze — przemówiła pani Wilczkowa po chwilowem milczeniu — powiedz mi, co myślisz z sobą robić?

— Myślę przepędzić tu całe dwa tygodnie, jeżeli stryjenka pozwoli — odpowiedział z uśmiechem, mówiącym aż nadto wyraźnie, że nie wątpi o tem pozwoleniu.

— Dobrze, ale potem?

Jerzy nie spieszył z odpowiedzią.

— Nie jestem jeszcze zdecydowany... pierwotnym moim zamiarem było szukać karyery w sądownictwie, ale widzę, że tam niema żadnych widoków. Zapisawszy się na kandydata do posad sądowych, musiałbym czekać lat kilka zanimby mi się coś dostało, choćby z lichem uposażeniem. Nadziei wysokich awansów muszę się wyrzec, bo wyższe posady u nas nie krajowcy zajmują: pra-

cować zaś całe życie na stanowisku podrzędnem, bez nadziei wypłynięcia kiedyś na wierzch i mieć zaledwie czem opędzić najniezbędniejsze potrzeby, to perspektywa nie wesoła i ja się temu poddawać nie chcę. Czuję w sobie dosyć sił do zdobycia czegoś lepszego. Moje pragnienia nie są małe i nie zadowolę się byle czem!

Odgarnął energicznie włosy z czoła, a w oczach jego błysnęła duma i ta młodzieńcza wiara w siebie, co to graniczy niemal z zuchwalstwem i nie chce nic wiedzieć o przeszkodach. Pani Wilczkowa wpatrzyła się uważnie w twarz synowca; siwe jej oczy badały go spokojnie, ale z taką bystrością, jakby go chciały przeniknąć do głębi.

— Mógłbyś być rejentem — wtrąciła.

— Tak, ale na to potrzeba mieć pieniądze, których nie posiadam.

— Możnaby się o nie postarać...

— Nie, nie — odparł z żywością — jest to zajęcie jednostajne, nie dające pola do rozwinięcia szerszej działalności. Czuję, że znudziłoby mi się prędko.

— Zostań adwokatem.

— Zapewne, że jest to jedyna droga, na którą mi nic nie tamuje wstępu — odrzekł zwolna — ale przyznam się stryjence, że mnie adwokatura nie ciągnie. Dobić się jakiego takiego rozgłosu i klienteli w Warszawie, trudno będzie, bo tam jest wielki ścisk, a na prowincyi nieradbym osiadać. O administracyi nie ma co i myśleć

tam bowiem, jak wszędzie, wszystkie lepsze posady zajęte są przez urzędników, przybyłych z cesarstwa.

— Dlaczegoż nie wybrałeś sobie innego zawodu?

— Jaki miałem wybrać, kochana stryjenko? Lekarzy i inżynierów mamy więcej niż potrzeba; ci ostatni nawet jeżeli chcą mieć chleb prędko, muszą go szukać w Rosyi; a moi koledzy szkolni którzy weszli do szkoły górniczej, nie są wprawdzie bez posad, ale wysłani zostali na Ural, na Syberyę i nad Amur.

— Cóż więc z tobą będzie, biedny mój chłopcze?

— Sam nie wiem. Mam przed sobą dwie drogi: albo jechać na Kaukaz, gdzie przyjaciel mego ojca jest prezesem sądu w mieście gubernialnem i obiecuje mi, że w ciągu dwóch lat mogę dostać miejsce sędziego śledczego — albo do Paryża, gdzie, jak stryjenka wie, przyrodni brat ojca jest sekretarzem księcia C. i za pośrednictwem swego zwierzchnika, może mi wyrobić miejsce w ministerstwie sprawiedliwości lub spraw wewnętrznych. Przyznam się stryjence, że to ostatnie ciągnie mnie najwięcej. Prawodawstwo francuskie, zwłaszcza nowsze, ma dla mnie wiele stron interesujących i ciekawych; dostawszy się do Paryża mógłbym tam swobodnie czynić nad niem studya i zebrać materyały do pracy naukowej, której projekt snuje mi się po głowie, a która, jeżeli mi się uda, mogłaby mi bardzo dopo-

módz do karyery. Wprawdzie Paryż nie dałby mi tak prędko chleba, jak Kaukaz, ale mam niejasne przeczucie, tam mógłbym zajść wyżej, niż gdzieidziej. Idzie teraz o to co wybrać: Wschód czy Zachód? Stryjenka jak mi radzi?

— Ani jedno, ani drugie.

— Jakto? — zapytał, patrząc bystro w oczy staruszki.

— Bo czy się udasz na Wschód czy na Zachód, zawsze przestaniesz być obywatelem własnego kraju.

Jerzy zmieszał się trochę.

— Kochana stryjenko — rzekł z nienaturalną swobodą — czyż nie można być krajowi wszędzie użytecznym?

— A to ciekawam jak? — spytała nawzajem pani Wilczkowa. Kto myśli przedewszystkiem o zrobieniu karyery, sobie samemu będzie użytecznym, nie krajowi. Nie przeczę, że, jako człowiek zdolny i energiczny, oddasz usługi społeczeństwu, wśród którego żyć będziesz, ale nie mów mi, że twoje własne społeczeństwo na tem skorzysta! Frazes o pracowaniu dla kraju na obczyźnie, nie miał u nas nigdy dobrego kursu, a teraz stracił go zupełnie. Wymyśl co innego!

— Można po jakimś czasie wrócić — szepnął.

— O nie, mój chłopcze. Jeżeli na Kaukazie, lub w Paryżu, otrzymasz korzystną posadę i będziesz awansował, to nie wrócisz, bo i po co

miałbyś wracać? Stanowiska, jakie musiałbyś porzucić, tu nie otrzymasz, a szukać nowych dróg, pracy gdy pierwsza młodość już przeminie, i porzucać pewne dla niepewnego, byłoby poprostu nierozsądkiem. Po co miałbyś wracać, kiedy serce twoje, odzwyczajone przez całe lata od bicia w takt z sercami współbraci, nie będzie nawet odczuwało potrzeby powrotu? O, nie przerywaj mi! dziś sama ta myśl cię oburza, ale przyjdzie czas, że z zimną krwią sam tak myśleć będziesz. I nie może być inaczaj: tylko biorąc czynny udział w sprawach jakiegoś społeczeństwa odczuwa się żywo przebiegające je prądy, jego cierpienia, radości, pragnienia i nadzieje. Organizmy narodów są, jak organizmy ludzkie: członek odcięty staje się członkiem martwym. Na obczyźnie głosy z kraju będą cię dochodziły słabe i niewyraźne. Przestaniesz rozumieć wymowę milczenia, a cichych jęków i przytłumionych westchnień nie dosłyszysz... Ciągłe wytężanie ucha zmęczy cię nareszcie, a oddalenie przedstawi różne sprawy w innem świetle. Coraz mniej będziesz nas rozumiał i staniesz się powoli obcym dla swoich.

Jerzy poruszył się.

— Pozwól mi dokończyć: otoczą cię obcy ludzie i inne sprawy cię pochwycą; pod wpływem przemożnych okoliczności, ty sam ani się spostrzeżesz, jak staniesz się innym człowiekiem. Czasami pewne wspomnienia jeszcze cię wzruszą, ale i one będą się powtarzały coraz rzadziej... Resztę czas zrobi. Wrócę, powiadasz! Mogę ci wy-

liczyć wielu, bardzo wielu takich, którzy mówili, tak samo jak ty, i nie wrócili. Pożenili się z cudzoziemkami i stali się martwymi członkami, odciętymi na zawsze od macierzystego organizmu.

— Zdaje mi się, że kochana stryjenka bardzo krańcowo zapatruje się na tę sprawę — odezwał się Jerzy. — Jeżeli można wyliczyć imiona tych, którzy nie wrócili, możnaby niemniej i takich znaleźć, którzy powracali pragnąc umrzeć, gdzie się urodzili.

— Tak — odparła z goryczą — wynieśli z ojczyzny swego ducha, w porze jego najczynniejszej działalności, a przyszli złożyć stare, na nic już nie przydatne kości! Nierówna zamiana...

— Stryjenko — rzekł Jerzy, któremu na twarz wystąpił lekki rumieniec — czyż Polak, pracujący na obcej niwie i dorzucający do ogólnego skarbu wiedzy powszechnej swoje zdobycze, nie jest także użytecznym swemu krajowi, który na równi z innymi krajami z tej zdobyczy korzysta? Czyż blask pozyskanej stąd sławy nie pada także na kraj jego ojczysty i nie przynosi mu korzyści, przez zwrócenie na niego oczu świata?

— Korzyści to nader małe i nieopłacające kosztów, jakiemi się je osiąga. Nie wysilajmy się próżno na to, aby zwrócić na nas oczy świata, ale pracujmy sami dla siebie, bez względu czy kto patrzy na nas. Bywały rzeczy bardzo jaskrawe, bardzo bijące w oczy, a przecież świat uda-

wał, że ich nie widzi — odparła staruszka z westchnieniem.

Jerzy zamyślił się.

— Mój chłopcze — mówiła dalej — w dzisiejszych czasach nikt nie powinien odchodzić z domu daleko, bo nie wie czy za powrotem zastanie wszystko co zostawił...

Milczenie zapanowało w pokoju.

— Więc stryjenka jest stanowczo przeciwną memu wyjazdowi za granicę?

— Jestem mu stanowczo przeciwną...

— I bierze mi stryjenka za złe ten zamiar?

— Jerzy! gdy do okrętu wciska się woda szczelinami, a załoga wytęża wszystkie siły, pracując przy pompach i zatykając utwory, jak nazwałbyś tego, coby ręce opuścił w takiej chwili?

Jerzy pochylił głowę.

— Jeszcze jedno pytanie, kochana stryjenko — rzekł, podnosząc ją po chwili. — Okręt płynie samotny między skałami i znikąd nie może spodziewać się pomocy, a niebo jest głuchem na wołanie załogi. Jeżeli zatonie, co powinna zrobić załoga?

— Nie powinien zatonąć — odrzekła uroczyście — zbudowany jest z mocnych materyałów i niejedną już burzę wytrzymał. Jeżeli zatonie, będzie to winą załogi, że nie umiała go bronić dość energicznie, a wtedy powinna iść także

z okrętem pod wodę, żeby ukryć w falach swą hańbę.

Słowa te wymówiła prawie z gniewem, z gorączkowym zapałem; wargi jej drżały, rumieniec wystąpił na twarz. Jerzy patrzył na nią i dziwił się coraz więcej. Z tej strony nie znał jeszcze swojej stryjenki.

— O mój synowcze! — mówiła dalej, hamując się pani Wilczkowa — twoje zapytanie jest tylko jednym więcej argumentem, popierającym moje twierdzenia. Dałeś mi w ręce broń przeciw sobie samemu. Gdybyś był prawo studyował w Warszawie, nie zadawałbyś mi tego pytania. Znać na tobie wpływ uniwersytetu niemieckiego. Stryj popełnił wielką omyłkę, że cię tam posłał. Zawsze byłam tego zdania, że młodzież powinna się wychowywać tam, gdzie ma następnie żyć i pracować, żeby węzeł, łączący ją ze społeczeństwem, nie przerywał się ani na chwilę. Mówisz mi o dokonanych przez siebie zdobyczach, dla nauki i cywilizacyi... Są to piękne rzeczy, mój Jerzy, ale zostawmy je narodom bogatszym i szczęśliwszym, dla nas są one jeszcze zbytkiem kosztownym. Myślmy przedewszystkiem o utrzymaniu naszego bytu, a potem będziemy apostołowali cywilizacyi. Powiesz żem zacofana, ale mój kochany, stara jestem, a doświadczenie nauczyło mnie, że w dobrem gospodarstwie robić należy zawsze najprzód to, co jest pilniejsze.

Jerzy milczał.

— Ale nie potrzebujesz zważać na moje słowa — mówiła dalej — jesteś pełnoletnim i możesz postąpić, jak ci się podoba. Jako blizka twoja krewna i najstarsza z rodu, uważałam sobie za obowiązek, póki czas jeszcze, powiedzieć ci, że nie godzi się dla karyery cofać rąk od pracy nad sprawą ogólną.

— Miała stryjenka zupełną słuszność, mówiąc mi to — odrzekł z pewnem zakłopotaniem — ale przyzna stryjenka także, że jeśli narody muszą walczyć o swój byt, to jednostki także muszą o nim myśleć, bo z nich to przecież składają się narody, a ich dobrobyt odbić się musi na dobrobycie ogółu. Stąd wynika, że moja egoistyczna niby chęć zdobycia powodzenia jest czysto patryotyczną.

— Tak — odparła — ale nie na Wschodzie ani na Zachodzie, bo z dobrobytu twego, tam zdobytego, naród nie skorzysta.

— Gdzież mam go więc szukać?

— W kraju.

— Mówiłem już stryjence, że jedna tylko adwokatura jest mi przystępną i to po zdaniu egzaminu w Warszawie, o co zresztą mniejsza, choć to też jest bardzo kłopotliwe — rzekł Jerzy z odcieniem lekkiej niecierpliwości w głosie — a tam jest ścisk zbyt wielki.

— W Warszawie? — zauważyła spokojnie — ale dlaczego koniecznie masz być adwokatem w Warszawie? Osiądź na prowincyi!

— O! — zawołał tonem głębokiego rozczarowania — prowincya nie pociąga mnie wcale.

Staruszka potrząsnęła głową.

— Smutna to rzecz — rzekła z westchnieniem — że ludzie młodzi a zdolni unikają prowincyi i zrobili z niej w swojem pojęciu, rodzaj wygnania, na które idzie się tylko z musu... Wszystko, co uważa się za inteligencyę, woli się cisnąć w wielkiem mieście i cierpieć tam nawet biedę, niż na prowincyi szukać pola działalności. A jednak w tych wielkich miastach właśnie giną często nieznani, gdy tu, gdzie jest więcej miejsca, mogliby łatwiej i prędzej na wierzch wypłynąć. Zdanie Cezara, że »lepiej być pierwszym w lichej chacie, niż drugim w Rzymie«, nie trafia wam jakoś do przekonania.

— Rzym jest ogniskiem ruchu umysłowego, więc nic dziwnego, że się wszyscy do niego garną — wtrącił Jerzy gorąco — on jest sercem kraju!

— Ale prowincya jest organizmem, w którym wyrabia się krew, nadając ruch temu sercu — odpowiedziała. — Żeby biło mocno i gorąco, organizm musi być silny i zdrowy, a my właśnie chorujemy na bezkrwistość, na brak inteligencyi i nowych energicznych żywiołów, mogących nas zasilić. Jeżeli na kawałku gruntu zasadzimy drzewka owocowe gęsto, jedno przy drugim, to choćby były z najszlachetniejszych gatunków, nie wydadzą owocu, bo nawzajem odbierać sobie będą światło i soki pożywne. Wystrzelą w pędy

bujne, lecz jałowe! Ale spróbuj posadzić jedno od drugiego w kilkunasto łokciowej odległości, a zobaczysz, że i rzesze nakarmią i cień dadzą strudzonym, pod swymi konarami. Gdyby ludzie inteligentni chętniej osiadali na prowincyi, fizyonomia kraju zmieniłaby się wkrótce. Narzekacie że szersze drogi są dla was pozamykane, a tych, które są jeszcze otwarte, widzieć nie chcecie, bo gardzicie wązkiemi ścieżynkami, chociaż niemi często prędzej dochodzi się do celu, niż szerokim gościńcem. Miasta gubernialne nie uważają się za prowincyę, bo są rodzajem małych stolic, ale małe miasteczka, jak nasz Kozłów, znajdują się w opłakanem położeniu. Mamy samorząd gminny, ale na urzędach miejskich wybieralnych zasiadają ludzie, nie mający elementarnego nawet pojęcia o znaczeniu słowa »obywatel«. Jakże możemy go nawet od nich wymagać, kiedy nasi ojcowie miasta, nasi ławnicy, są to głównie Niemcy i żydzi, którzy tylko o geszefcie myślą? Ciężary miejskie rozkładają się nie podług zamożności mieszkańców, ale podług osobistych sympatyi i uprzedzeń panów ławników, a ceny chleba i mięsa naginają się stosownie do stanu ich interesów. Gdzie powinna rządzić miłość dobra publicznego i sprawiedliwość, tam panuje prywata i przekupstwo!

— Dlaczegoż miasto nie wybiera ławników z inteligentnych, więcej na zaufanie zasługujących obywateli? — zapytał Jerzy dziwiący się temu co słyszał.

Zgrom. Zak. Najśw. Serca Jezusowego (Sacré-Coeur) w Warszawie

— Bo obywatele inteligentniejsi i godni zaufania, nie podają się nawet na kandydatów. Nie chcą mieć kłopotu ze sprawami miejskiemi, utrzymując, że każdy swoich własnych ma dosyć! Cóż chcesz, jest to narodowe nasze lenistwo. Wskutek tego rządzą nami ludzie tacy, jak Frytz handlarz drzewa, Niemiec zabity, Lebich piekarz, Höhne młynarz, Niemcy także; Hand żyd, człowiek nieuczciwy; wszyscy bez wykształcenia, bez poczuć ludzkości nawet, i rządzą bez kontroli.

— Jakże to miasto znosi?

— Z wytrwałością i męstwem, godnem lepszej sprawy. Wszyscy złorzeczą i wyrzekają po cichu, ale głośno nikt nie śmie się odezwać. Twój stryj był jedynym człowiekiem, który miał odwagę mówić prawdę i domagać się sprawiedliwości, ale śmierć zamknęła mu usta!...

— I nie znalazł się nikt w liczbie siedmiu tysięcy mieszkańców, coby go zastąpił?

— Nikt — odrzekła z goryczą i topiąc głębokie spojrzenie w synowcu, dodała po chwili: — zostań się ty z nami Jerzy i zastąp go.

— Ach! cóż jabym tu robił! — zawołał zdumiony tą niespodzianą propozycyą.

— Słuchaj! pan R. kapitalista, zakłada fabrykę obuwia mechanicznego i szuka wspólnika. Interes zapowiada się korzystnie: przystąp do współki. O pieniądze się nie troszcz: ja ci dam. Osiądziesz w mieście, wejdziesz w prawa mieszczanina i na pierwszych wyborach wybiorą cię na ławnika.

Jerzy rozśmiał się.

— Z doktora filozofii zostać szewcem, to trochę za wielki przeskok — odrzekł wesoło, bo zabawiło go bardzo takie zestawienie. Pocóżem pracował i uczył się? Na to dość byłoby skończyć dwie klasy! W cóż się obróci moja wiedza prawna.

— Mój chłopcze, znajomość prawa każdemu się przyda i byłoby dobrze, gdyby je wszyscy znali. Wiedząc co jest legalne, a co nie legalne, bronić się można od wielu nadużyć. Niejedno złe u nas z tej nieświadomości właśnie wynika, a źli ludzie radzi z niej korzystają. Wspólnik fabryki obuwia może prędzej przyjść do majątku, niż adwokat, którym ty nawet zostać nie masz ochoty. Pomyśl nad tem.

Jerzy uśmiechał się ciągle.

— A jeżeli ci to jest tak bardzo wstrętne — mówiła dalej, nie zniechęcona tem pani Wilczkowa, to mam dla ciebie coś innego jeszcze, co może twoją wiedzę prawną zużytkować. Hrabia K. przyjął na siebie obowiązki sędziego gminnego, ale, że jest to przedewszystkiem dobry gospodarz, a gospodarstwo dużo czasu pochłania, więc poszukuje pisarza, któryby mu w tem dopomagał, bo znów jako dobry obywatel obowiązków przyjętych zrzekać się nie chce. Nie dalej, jak wczoraj, odwiedził mnie i pytał, czy nie znam jakiego młodzieńca, coby wydział prawny ukończył. Zapewniał mu tysiąc rubli dochodu rocznego i mieszkanie. Miał pewnie ciebie na myśli, bo wiedział, że masz przyjechać. Czy nie chciałbyś przyjąć tego miejsca?

— Zagrzebać się na wsi! — zawołał — za nic w świecie! Wreszcie co za widoki na przyszłość?

— O mój Jerzy! nie jest zagrzebaniem się to, co daje pole do rozwinięcia pożytecznej działalności. Otoż to — mówiła, podnosząc się z krzesła, a wązkie jej wargi drżeć poczęły — mówicie pięknie o miłości ludu, ale gdy się zdarzy sposobność dowieść tej miłości, usuwacie się. Topicie wzrok w jakieś odległe cele, a nie widzicie bliskich. Wszystkie wasze deklamacye pokrywają tylko chęć zrobienia karyery. Jesteście karyerowicze i nie będziecie nigdy dobrymi obywatelami. W dzisiejszem położeniu kraju nie godzi się myśleć egoistycznie o karyerze! Jedź do Paryża Jerzy! Polska nic na tem nie straci.... Jedź i pracuj nad subtelnościami pracodawstwa francuskiego, podczas gdy my tu będziemy marnieli pod rządami bezprawia, a myśl, że nam mogłeś w czemś dopomódz, niech ci spać nie przeszkadza. Jedź tam, gdzie lepiej wynagrodzą twoje usługi; biedna Ojczyzna, nie ma czem za nie płacić!

To powiedziawszy, wyszła.

III.

Rumieńce wystąpiły Jerzemu na twarz przy ostatnich słowach pani Wilczkowej. Czas jakiś siedział nieruchomy i patrzył na drzwi z brwią ściągniętą, bo choć zamknęły się już, zdawało mu się, że widzi jeszcze tę wysoką przygarbioną staruszkę, w której mieszkał duch tak silny, że aż jego filozofia musiała się z nim rachować — i że słyszy jej głos surowy i przepełniony goryczą. Czuł dotąd na sobie jej wzrok wyrażający boleść i zawód, i nie mógł go zapomnieć, chociaż nie były to oczy ani młode, ani piękne, a wyrzut, jaki w końcu usłyszał, wzburzył wszystką krew w dumnym młodzieńcu.

Byłaż to ta sama kobieta, którą znał od dzieciństwa, jako niewiastę cichą, spokojną, łagodną, niewidzącą, jak się zdawało, nic po za mężem i gospodarstwem, odzywającą się nader rzadko ze zdaniem o sprawach publicznych? — choć jak sobie przypominał, zdanie to bywało zawsze stanowcze i trafne. Nie widział jej wprawdzie lat sześć, ależ to nie tak długi przeciąg czasu... co się z nią stało? co ją tak odmieniło? Jakie okoliczności i czynniki wydobyły na jaw stronę charakteru

dotąd nieznaną? Tak nieznaną: Jerzy był pewny, że znał swoją stryjenkę tak dobrze, jak siebie samego, a pokazało się, że nieznał jej wcale. Z czasem miał się przekonać, że i siebie nie znał. Myślał, że jej zaimponuje swoim tytułem doktora filozofii, obrazem świetnej przyszłości, a ona miała swoją własną filozofię, która zaimponowała jemu swoją prostotą i logiką — i nie tylko zaimponowała, ale upokorzyła go choć się do tego nie chciał przyznać. Nazwała go pospolitym karyerowiczem, a nazwa ta bolała go, jak ciężka obelga, choć w rzeczy samej było to tylko właściwe, choć nieco szorstkie nazwanie tego, co miał zamiar uczynić. »Jedź tam, gdzie wynagrodzą lepiej twoje usługi«...

Wyrazy te brzmiały mu ciągle w uszach, bo słyszał w nich grożący dźwięk pogardy. Ta stara, niedołężna, stojąca nad grobem kobieta, gardziła nim, będącym w pełni sił młodzieńczych i zdrowia, nim, któremu świat stał otworem, a życie uśmiechało się wszystkiemi ponętami; gardziła dlatego tylko, że nie chciał zostać szewcem, ani pisarzem sądu gminnego!

Nerwowym, gniewnym ruchem zgniótł trzymaną w ręku serwetę i cisnął ją na stół. Lekki szelest przypomniał mu, że nie jest sam, podniósł oczy i spostrzegł kuzynkę, o której obecności zupełnie zapomiał. Nie mieszała się ona wcale do rozmowy Jerzego z babką, obserwowała go tylko. Jerzy spojrzawszy jej w oczy, spostrzegł odrazu, że jego wielkość zmalała w jej oczach

Nie było już tam owego podziwu dla doktora filozofii, jaki wprzód dostrzegał, ale jakieś chłodne, krytyczne prawie usposobienie. Dotknęło go to, ale nie okazał tego po sobie.

— Czy i ta chce z robić ze mnie szewca?— pomyślał, i sama dziwaczność tego przypuszczenia, wróciła mu dobry humor.

Przysunął sobie talerzek i sięgnął do koszyczka z truskawkami.

— Stryjenka za bardzo krańcowo zapatruje się na sprawę mego wyjazdu za granicę — przemówił, biorąc kilka największych owoców.

— Tego nie powiem — odrzekła krótko.

Jerzy stracił nagle apetyt do truskawek.

— Więc i ty kuzynko potępiasz mnie? — rzekł żałośnie.

— Nie potępiam cię, tylko się smucę — odpowiedziała.

— Smuci cię mój wyjazd? — zapytał z ożywieniem.

Panna Jadwiga popatrzyła na niego w milczeniu.

— Smuci mnie utrata nadziei, jakie w tobie pokładała babka do tej chwili — przemówiła nareszcie. Oczekiwała ona z upragnieniem twego powrotu i myślała, że będziesz dla miasta tem, czem bywali wszyscy Wilczkowie... Miała też nadzieję, że twoja obecność wydobędzie ją z trudnego położenia, w jakim się obecnie znajduje. Liczyła na twoją opiekę, znajomość prawa i energię.

— Czyżby interesa pieniężne...

— O! nie, nie o pieniądze tu idzie, ale o zasady; o ciągłe zatargi z magistratem. na jakie babka od śmierci dziadka jest narażoną, a które kosztują ją wiele zdrowia.

— Starcia z magistratem? czy nie o te grunta między łąkami?

— Sprawa o grunta została od dawna umorzona, bo w archiwach miejskich znalazły się dowody, że od lat trzystu należały do Wilczków. Chodzi tu o rzeczy zupełnie inne....

— Przepraszam, że ci przerywam kuzynko — odezwał się Jerzy. Stryj, jak donosiła stryjenka, umarł nagle wskutek irytacyi. Czy można wiedzieć, co było jej przyczyną?

— Długa to historya — odrzekła posępnie; — między dziadkiem a magistratem toczyła się od dawna wojna o różne sprawy miejskie, a zaostrzyły ją jeszcze zatargi z deputacyą kwaterniczą. Od czasu, jak dziadek dom ten postawił, czyli od lat dwudziestu, obciążano go ciągle kwaterami chociaż przepisy chcą, żeby każdy dom nowy przez cztery lata był wolny od tego ciężaru.

— A więc wojna dwudziestoletnia — wtrącił.

— Jeszcze mury były mokre — mówiła dalej — a już połowa domu zajęta została od kwatery dla oficerów i żołnierzy. Ale, że to były czasy niespokojne i ciągłe przechody wojsk wymagały raz po raz pomieszczenia, więc dziadek słabo protestował, zwłaszcza, że deputacya kwaterniczą obiecywała mu później wynagrodzić owe cztery lata zabezpieczone przepisami. Ale to »później«

nigdy nie nadeszło; kwatery następowały jedne po drugich, a nawet bywały po dwie i po trzy na raz, bo dla przejeżdżających generałów musiał dziadek oddawać swoje prywatne mieszkanie, jako najwygodniejsze w całem mieście, a sam z rodziną mieścić się w jednym pokoju. Tego już było za wiele!

— Być może, iż deputacya kwaternicza nie mogła postąpić inaczej — zauważył Jerzy — w mieście prawdopodobnie brakowało pomieszczenia.

— Przeciwnie, bywały domy wolne od kwater przez sześć, ośm a nawet dziesięć lat z rzędu, ale wszystkie należały do członków deputacyi kwaterniczej, do ich krewnych, przyjaciół, lub mieszczan, którzy potrafili porozumieć się z deputacyą w sposób pewny i skuteczny. Dziadek wiedział o tym sposobie ale użyć go niechciał, bo nie szło mu o oswobodzenie siebie kosztem innych, ale o zasadę.

— Opowiadasz mi dziwne rzeczy. Cóż tedy stryj uczynił?

— Stracił cierpliwość i zagroził deputacyi, że poda na nią skargę do gubernatora; ale deputacya śmiała się z tego po cichu, wiedząc, że nie potrzebuje się niczego obawiać. Byli już tacy co skarżyli, ale skarga posłana do gubernatora, wracała zwykle do naczelnika kozłowskiego powiatu, który ją odsyłał do magistratu po objaśnienia; że zaś magistrat a deputacya to jedno, bo urzędnicy magistratu, jak burmistrz i kwatermistrz, są jedno-

cześnie członkami deputacyi, więc z objaśnień tych wychodziła zawsze czysta, jak kryształ i opromieniona aureolą prześladowania za patryotyczną troskliwość o wygodę wojska. Po kilku niefortunnych próbach przedsięwziętych przez ludzi śmielszej natury, dano pokój skargom, uznawszy za lepsze pokojowe załatwienie sprawy. Kto nie mógł się na nie zdobyć, znosił nadużycia, sarkając po cichu, bo obawiano się narzekać bardzo głośno, żeby jeszcze więcej nie narazić się deputacyi, pozwalającej sobie nawet jawnych żartów, bo gdy uciemiężeni pytali naprzykład, kiedy będą wolni nareszcie od kwatery, odpowiadało im się, że „wtedy, gdy dom spali się lub runie“. Widząc tę obawę, panowie deputaci rośli w butę i coraz bardziej dawali mieszkańcom uczuwać swoją władzę, ściągając z nich dowolne kontrybucye.

— Skarżył więc stryj deputacyę, czy nie?

— Skarżył, ale skarga nic odniosła żadnego skutku, a rozgniewała deputacyę i magistrat. Dotąd bywały z dziadkiem, który zasiadał na ławie rajców, zatargi o niesprawiedliwy rozkład podatków, o taksę żywności i tym podobne rzeczy, pokrywały się jednak te zatargi pozorami zgody; ale od czasu podania owej skargi, wojna ukryta zamieniła się na otwartą. O ile dotąd dawano nam na kwaterę oficerów wyższej rangi, ludzi po większej części przyzwoitych i poważnych, o tyle potem przeznaczono takich, których pobyt był bardzo dokuczliwym. Rąbano nam drzewo nad głowami, wyprawiano hałasy, krzyki, zabawiano

się łamaniem sprzętów i strzelaniem z okien do naszych kur i gołębi.

— I stryj na to pozwolił? — zapytał oburzony Jerzy.

— Dziadek, jak wiesz, był człowiekiem gwałtownym. Rozgniewany pobiegł raz na górę i powiedział kwaterującemu podoficerowi w słowach ostrych, że zapomina o różnicy między swojem a cudzem. Podoficer był nietrzeźwy jak również i jego towarzysze, których podejmował, więc rzekł do swego dieńszczyka: — Wyrzuć tego starego za drzwi!

Jerzy wstał.

— Ale dieńszczyk nie zdążył kroku zrobić, gdy już leżał na ziemi powalony silną ręką dziadka który upadł także, rażony apopleksyą...

Przez chwilę panowało milczenie.

— Jak się nazywał ten oficer: — zapytał Jerzy.

— Garten...

— Niemiec?

— Niemcy są wszędzie; w wojsku, na urzędach, na ławach rajców, w kupiectwie, na kolejach i na roli. Dziadek mawiał, że całe królestwo i cesarstwo jest podminowane prochem niemieckim. Kwatermistrz jest także Niemiec.

— O tak — odrzekł Jerzy w zamyśleniu — oni są wszędzie; przypomina się stara historya konia trojańskiego, która się może powtórzyć w naszych czasach. Jakże się ta sprawa skończyła?

— Babka napisała list do dowódcy pułku i Garten został ukarany aresztem, a nadto, kazano mu dziadka przeprosić, ale zastał go już nieżywego. Umarł po kilku dniach nieprzytomności...

Milczenie znowu zapanowało w pokoju; słychać było tylko kroki Jerzego chodzącego w zamyśleniu i lekki szelest krzewów rosnących za oknem, poruszanych delikatnym powiewem wiatru. Były to bzy i jaśminy, obficie kwiatem pokryte. Siadały na nich wróble i kołysząc się na cienkich gałązkach, wesołym świergotem zapełniały powietrze. Zdawało się, że cały świat oddycha szczęściem i swobodą. Jerzy posępnie patrzył na ten obraz.

— Trzeba było wytoczyć Garnetowi proces kryminalny — odezwał się.

— Chciała tak babka zrobić, ale nie mogła dla braku dowodów.

— Jakichże dowodów trzeba było, jeżeli sam pułkownik uznał go za winnego?

— Tak, ale Garten tłómaczył się, że polowanie na kury i gołębie nie miało miejsca, że rewolwer wypalił przypadkiem, a co do znieważenia dziadka, to i tego nie było. Miał trochę w głowie i nie pamięta co mówił, a dieńszczyk jego utrzymywał, że pan nic wcale nie powiedział. Świadectwo naszej służącej, która znajdowała się wtedy w sieni i rozkaz Gartena słyszała, uznano za niewystarczające, a lekarz powiatowy zeznał, że dziadek wprawdzie umarł na apopleksyą, ale miał do niej skłonność z powodu krótkości szyi.

Jerzy zbliżył się do stołu, nalał sobie kieliszek wina i wypił go duszkiem.

— Jakże wobec tego wypadku zachowali się członkowie deputacyi kwaterniczej? — zapytał.

— Odetchnęli swobodniej, bo ubył człowiek, który im był solą w oku; wyrażali jednak głośno swój smutek z powodu śmierci, „tak zacnego i zasłużonego obywatela“. Całe miasto wyległo na pogrzeb, bo zgon dziadka obudził żal powszechny między ludnością, zwłaszcza uboższą. Przypominano sobie, że jako ławnik bronił biedniejszych obywateli od niektórych podatków; że za jego przyczyną waga chleba była większa; że w czasie powodzi ratował mienie mieszkańców wybrzeża, choć jego własne drzewo, złożone na brzegu, płynęło z wodą; że wreszcie ofiarował swój stary dom na przedmieściu i grunt przy nim, na szkołę elementarną. Przypomniano sobie to wszystko i szemrano na magistrat, że będzie teraz uciskał ludność, bo prawdziwy ojciec miasta i jedyny obrońca, zamknął oczy. Burmistrz z tego powodu powiedział do doktora Jacentego poufnie: „Chwała Bogu, że wilki w tem gnieździe mnożyć się już nie będą, bo za bardzo pracowały na popularność, a to buntem pachnie. Dla dobra miasta musielibyśmy ich stąd wykurzyć.

— Nie wiedział widać, że został jeszcze jeden wilczek — zawołał Jerzy, a oczy jego przytem groźnie błysnęły.

— Gdy wilk dobrowolnie uchodzi, przestaje być niebezpiecznym — odpowiedziała chłodno panna Jadwiga.

Jerzy przygryzł wargi.

— Widzę, że znasz wybornie sprawy miejskie, — rzekł po chwili — gdy ja, jako świeży przybysz, świadomy ich wcale nie jestem. Powiedz mi, proszę, jaka zasada jest tu przyjętą w rozmieszczaniu kwater po domach. Wszakże miasto płaci podatek kwaterunkowy?

— Tak, ale mimo to zmuszone jest dawać kwatery w naturze, za co następnie bierze wynagrodzenie z kasy miejskiej, z owego funduszu kwaterunkowego, który samo nałożyło.

— A zatem strat materyalnych gospodarze nie ponoszą żadnych, z powodu kwater.

— Owszem, ponoszą straty, bo wynagrodzenie za kwatery często nie wynosi nawet połowy tego, coby z prywatnego wynajęcia mieszkań otrzymali. Właściciel domu, mający przez kilka lat z rzędu kwaterę, rujnuje się, zwłaszcza że, oprócz mieszkania, musi jeszcze dawać sprzęty, i dostaje często lokatora, który, przyzwyczajony do władania bronią, każdy sprzęt uważa za nieprzyjaciela, a jeżeli jest młody i pełen zapału, to wprawia się na drzwiach, oknach i ścianach. Dlatego to każdy gospodarz stara się za jakąbądź cenę od kwatery uwolnić, a są tacy, co wolą gdzieindziej wynająć mieszkanie, niż wpuścić lokatorów do domu.

— Smutna rzecz!

— Nie koniec na tem. Przepisy kwaterunkowe oznaczają dla każdej rangi inny rozmiar mieszkania, ale kwatermistrz, w chęci przypodobania się oficerom, daje im często kwatery większe, niż wymagają przepisy: praporszczyk dostaje kwaterę porucznikowską, porucznik kapitańską, i tak idzie po stopniach coraz wyżej, a gospodarz bierze takie tylko wynagrodzenie, jakie jest przywiązane do rzeczywistej rangi kwaterującego. Garten był tylko podoficerem, a mieszkał jak kapitan, bo był to paniczyk i lubił zajmować dużo miejsca.

— Ależ trzeba było temu się oprzeć!

— Dziadek się opierał, ale Garten się pomimo to wprowadził.

— Nie należało dawać kluczy.

— Nikt ich nie żądał! Z rąk wyprowadzającego się oficera. przeszły w ręce Gartena. Kolega pomagał koledze.

— Powinien go był stryj zaskarżyć.

— Do kogo? Naczelnik powiatu, gdy mu dziadek o tem powiadał, odesłał go do pułkownika, a pułkownik nie mógł się zajmować takimi drobiazgami i zawsze był nieobecny, ilekroć dziadek do niego przyszedł.

Jerzy, założywszy ręce w tył, rozpoczął na nowo swoją przechadzkę po pokoju.

— Ale teraz nie macie w tym domu kwatery? — zapytał po chwili.

— Owszem jest. i chcą nam jeszcze dać drugą. Kwatermistrz był tu na pół godziny przed twoim przyjazdem: proponuje on, ażeby babka

przeniosła się na drugą stronę domu, a tę ustąpiła pułkownikowi, bo tamta połowa będzie dla niego za szczupła a dla nas powinna zupełnie wystarczyć, ponieważ od śmierci dziadka, tak obszerne mieszkanie nie jest nam potrzebne. Takie jego zdanie.

Jerzy poczerwieniał.

— Nie widział się jednak z babcią, bo go do niej nie dopuściłam. Przyjęłam go sama i prosiłam, jak mogłam, najgrzeczniej, żeby nas od tego ciężaru uwolnił. Obiecał zrobić, co będzie mógł, a ja wiem, że on może zrobić wszystko, ce zechce.

Od tej kwatery trzeba babcię za jaką bądź cenę uwolnić, bo nowy pułkownik jest tym samym oficerem, który przed dwudziestu laty kazał rozstrzelać Henryka; a chociaż spełnił tylko swój obowiązek, jednakże nie można dopuścić, żeby się ze sobą spotkali. Babcia go zna, bo chodziła prosić go nadaremnie o wydanie zwłok syna. Sama świadomość, że żyje z nim pod jednem dachem, wpłynęłaby szkodliwie na jej zdrowie.

— Masz słuszność — szepnął zamyślony — nie można tego dopuścić.

— Myślałam, że ty mi w tem dopomożesz Jerzy, i oczekiwałam przybycia twego z upragnieniem i niecierpliwością; ale skoro nie chcesz zostać, muszę babkę sama obronić. Będę kołatała do wszystkich drzwi, za któremi znaleść można choćby iskierkę sprawiedliwości: poruszę wszystkie sprężyny, użyję kolejno próśb i skarg... a muszę

oszczędzić babce bolesnych wzruszeń pod koniec jej życia. Ty Jerzy, jedź do Paryża i nie troszcz się o nas!

Powiedziała to z ogniem i siłą, a w wyrazie jej twarzy była taka stanowczość, że młodzieniec cofnął się zdumiony. Gdy przybył tutaj i ciekawem wzrokiem obrzucił dawno niewidzianą kuzynkę, zdawało mu się, że ją odgadł od razu, a tymczasem teraz spostrzegł, że się omylił tak samo jak się omylił w ocenieniu stryjenki, którą zdawało mu się, że znał dobrze. Że Jadwiga była kobietą rozumną, o tem nie wątpił, bo odebrała wychowanie nader staranne i wykształcenie wyższe choć uczyła się w domu — bo starzy Wilczkowie, roztawać się z nią niechcieli; ale oprócz tego, była w niej jakaś przedwczesna dojrzałość i poważne przygotowanie do życia, była odwaga i materyał na bohaterstwo. Łagodne jej rysy dziewczęce, przybierały chwilami wyraz upodabniający je do rysów babki. Piękne, gładkie jak marmur czoło, przecięte było w tej chwili poprzeczną fałdą, nadającą brwiom czarnym, zarysowanym w dwa regularne łuki, pewną surowość — a małe dziecięce usta, wykrojone tak delikatnie, jakby tylko były stworzone do uśmiechów i pieszczot, umiały już układać się w linię prostą, mającą wyraz jakiejś bolesnej stanowczości i goryczy. Jerzy patrzył, ale nie zadawał sobie już pytania, jakie okoliczności wydobyły te rysy z głębi duszy, ani jakie przyczyny złożyły się na tę przedwczesną dojrzałość dziewczęcia, na którego czole powinna

być tylko sama wiosna i w którem wszystko powinno było uśmiechać się do szczęścia. Dość już usłyszał, a reszty się domyślał. Wyprawiała go tak jak stryjenka, do Paryża, z jakiemś bolesnem rozczarowaniem, gryzącem w serce dotkliwie, jak wzgarda — a ogarnął go żal do niej i głęboka za to uraza, że kazała mu odjeżdzać i chciała sobie dać radę bez niego. A jednak niegdyś kochała go tak, że zabawa w której on nie uczestniczył, wcale jej nie cieszyła. Gdy do szkół odjeżdżał, zanosiła się od płaczu a dziś wyprawiała go tak obojętnie, jakby był dla niej zupełnie obcym... Czy rzeczywiście nie najlepiejby zrobił, żeby zamiast tu siedzieć dwa tygodnie, zaraz sobie pojechał?... Co za niestałość w tej dziwczynie! I wierz tu kobiecie! Niegdyś znał każdą jej myśl i jak w książce otwartej, tak czytał w jej duszyczce, a teraz stała przed nim jak zagadka. Czuł, że istniała między nimi jakaś zapora i miał jej za złe, że to ona ją postawiła.

Dwa okna jadalnego pokoju wychodziły na ogród i dziedziniec, a jedno boczne na ulicę. Jerzy odwrócił się od kuzynki i stanął przy tem oknie, z którego widać było wieżę ratuszową, ośmiokątną z głębokimi otworami strzelnic i żelazną na szczycie chorągiewką. Na chorągiewce tej, za każdem poruszeniem wiatru, obracał się herb miasta: koza stojąca na tylnych nogach, z przedniemi podniesionemi, jakby do skoku i długą, poważną brodą, na wiatr rozwianą. Jerzy patrzył czas jakiś na to godło, a do głowy jego cisnął się tłum różnoro-

myśli. Jak tu zostawić samotne te dwie kobiety, które liczyły na jego pomoc i opiekę? Jedna stała nad grobem i lada silniejsze wstrząśnienie, mogło ją weń wtrącić, a druga dopiero wchodziła w życie i nikogo oprócz babki nie miała na świecie... Ale miałże dla nich poświęcić swoją piękną przyszłość i osiadać na partykularzu, którego obraz odmalowała mu kuzynka w barwach wcale nie zachęcających, kiedy najpotężniejsze umysły myślicieli nowoczesnych, dochodziły do przekonania, że egoizm jest wyższym od altruizmu, będącego zawsze dowodem słabości. Nie! to niepodobna! Prawda, że mógłby w tej lichej mieścinie odegrać rolę opatrznościową, rozbudzić życie umysłowe, dać świadomość prawa nieświadomym, słowem, mógłby zrobić bardzo wiele; ale jego plany były szersze, a pchała go do nich ambicya.

Potrzebował rozległych przestrzeni, żeby swobodnie oddychać i czuł, że udusiłby się w Kozłowie. Tak jest, pojedzie, musi pojechać. Czyż ma obowiązek stosować się do zachceń dwóch k biet? Niech każdy myśli o sobie. Walka o byt, to mądre hasło wieku, to prawo natury!

Tu przyszły mu na myśl słowa burmistrza, że »wilki już więcej w tem gnieździe mnożyć się nie będą«.

Wydało mu się, że widzi rozradowane twarze ojców miasta — i głuchy gniew go ogarnął, a z nim razem obudziła się chęć walki, drzemiącą zawsze w tej niespokojnej młodzieńczej

piersi. Ale powściągnął w sobie to uczucie, mogące go zaprowadzić gdzieindziej, niż iść pragnął. Odwrócił się od okna, przeszedł kilka razy po pokoju i usiadł na dawnem miejscu. Panna Jadwiga obserwowała go ciągle; ani jeden ruch jego nie uszedł jej oka. Odgadywała, a raczej przeczuwała myśli nurtujące umysł młodzieńca, on zaś był tak zatopiony w nich, że chwilami zapominał o jej obecności.

Wyjął machinalnie z bukietu stojącego na stole, taką samą różę, jaką ona miała we włosach i wciągnął w siebie jej zapach, a potem również machinalnie rzucił ją na stół.

— Powiedz mi kuzynko — odezwał się, usiłując zwrócić rozmowę na inny przedmjot — jak czas przepędzasz w Kozłowie? musisz się bardzo nudzić w tym zapadłym kącie.

— Kozłowa nie można uważać za kąt zapadły — odpowiedziała — skoro tylko jeden dzień drogi oddziela go od stacyi drogi żelaznej, a poczta przywożąca codziennie listy i gazety, łączy mieszkańców ze światem cywilizowanym.

— I nie czujesz się tu nieszczęśliwą?

— Czyż szczęście jest przywiązane do miejsca zamieszkania? — spytała. — Nieszczęśliwą się czuję, gdy widzę dokoła siebie ucisk i tryumf przemocy nad słabością, ale z tem spotkać się można wszędzie, nie tylko w Kozłowie. Czuć się nieszczęśliwą z powodu, że nie mieszkam w wielkiem mieście, nie przyszło mi do głowy ani razu!

Znać uczennicę stryjenki — pomyślał i pytał dalej:

— Jakież tu macie życie towarzyskie?

— Życie towarzyskie ogranicza się na wzajemnem odwiedzaniu się pań, na tak zwaną kawę lub herbatę i na preferansowych posiedzeniach panów. Przytem raz na rok bywa jedna loterya fantowa na szkoły i jedno przedstawienie amatorskie na straż ogniową. Czasem też zabłąka się tu jaki artysta muzyczny i da koncert.

— A w karnawale?

— W karnawale bywa kilka wieczorków prywatnych, udających się bardzo rzadko z powodu braku młodzieży męskiej, i jeden bal urzędowy wydawany przez naczelnika powiatu, na którym z obowiązku znajdują się wszyscy urzędnicy z żonami.

— Jakto z obowiązku?

— Bo nieobecność któregokolwiek podałaby go w podejrzenie o nielojalność względem rządu; a kto ma rodzinę, a żadnych innych środków utrzymania oprócz skromnej posady, ten lęka się nawet cienia mogącego go narazić. Bal ten nie udaje się nigdy.

— Dlaczegoż to?

— Bo panie nie przyprowadzają z sobą córek, a same po większej części bywają już znacznie w wiek posunięte i tańczą nie z ochoty, ale tylko z obowiązku. Oficerowie narzekają, że panie te obracają się w tańcu bez życia, a w rozmowie odstraszają lakonizmem utrudniającym

wszelką lżejszą gawędkę. Zostawiają je więc po daremnych próbach, własnemu przemysłowi i tańczą z żonami kolegów. Towarzystwo wkrótce rozdziela się na dwie połowy: jedną bawiącą się, drugą obserwującą i ziewającą skrycie pod wachlarzami — a naczelnik, którego celem właśnie było zbliżenie dwóch żywiołów, wpada na cały miesiąc w zły humor i rzuca na wszystkie strony słowa przepełnione goryczą.

Jerzy zamyślił się.

— My z babcią od śmierci dziadka nie bywamy nigdzie.

— Ze wszystkiego co od ciebie słyszę kuzynko, widzę, że prowadzisz życie pustelnicy. Czy nie nudzi ci się ta samotność?

— Nie jestem sama. Żyję z mojemi myślami, książkami i kwiatami; bo ogród babcia powierzyła moim staraniom i to mi daje miłe zajęcie. Nie uwierzysz, jaka to przyjemność, obcowanie z naturą, jak to podnosi, uczy, koi...

Przy tych słowach, oczy jej z miłością spoczęły na grupach zieleni i krzewach obsypanych kwieciem.

— Więc ta młodziutka, zaledwie żyć poczynająca istota, potrzebuje już ukojenia — myślał Jerzy. Gdzie się podziała jej dawna wesołość, jej żywość i swoboda? Śmiech jej srebrny rozlegał się niegdyś w całym domu i było go wszędzie pełno. Ale nie pytał jakie bóle wywoływały tę potrzebę ukojenia, bo zaczynał je rozumieć.

— To wystarczy może za zajęcia umysłu i rąk — odpowiedział — a dla serca?

— Dla serca jest obowiązek i... nadzieja.

— Nadzieja, jaka! — zapytał, wstrzymując oddech.

— Że przyjdzie czas, w którym sprawiedliwość weźmie górę.

Jerzy doznał czegoś w rodzaju uczucia lekkiego zawodu. Spodziewał się co innego usłyszeć, coś więcej osobistego i powiedział sobie, że nie dobrze jest, gdy panny bywają wychowane zanadto poważnie.

— I nie zapragnęłaś ani razu hołdów, zabaw i tego wszystkiego, do czego młodość daje prawo?

— Ani razu!

Młodzieniec poruszył się niecierpliwie.

— Ależ w tym kącie nikt nie zobaczy twojej piękności, ani oceni twego rozumu — rzekł, myśląc, jak pięknie błyszczałby taki dyament w stosownej oprawie.

— Ubliżasz mi kuzynie — odparła z lekkim rumieńcem: — piękność i rozum, wedle mego pojęcia, są darami Bożymi, przeznaczonymi nie na wystawę, ale do uprzyjemniania i rozjaśniania życia tym, których kochamy.

Jerzy pomyślał, że gdyby się kiedy ożenił, to wolałby także sam cieszyć się pięknością i rozumem swojej żony, niż dzielić się tymi jej przymiotami. Świat swój cały, żona w nim samym

tylko widzieć powinna. Był w gruncie trochę egoistą.

Z podwórza dało się słyszeć gwałtowne szczekanie i brzęk łańcucha. Panna Jadwiga spojrzała w okno i zobaczyła, że ktoś się szybko koło niego przesunął.

— Jeszcze jedno pytanie, kuzynko. Słyszę od ciebie tylko o sprawach publicznych i celach ogólnych, ale powiedz mi, czy nie masz żadnych pragnień osobistych? Czy nie marzysz nigdy o szczęściu?

W tej chwili weszła do pokoju Gertruda.

— Proszę panienki — przemówiła z wyraźną niechęcią w głosie — przyszedł pan kwatermistrz i chce się z panienką widzieć.

IV.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy panny Jadwigi.

— Pan kwatermistrz — powtórzyła, spoglądając niespokojnie na kuzyna — był tu przecież przed dwiema godzinami! Czego on może chcieć znowu?

— Nie przyjmuj go — odezwał się Jerzy.

Nie mogę. Tu w Kozłowie zwyczaje stołeczne nie zdobyły sobie jeszcze prawa obywatelstwa, i nieprzyjęcie kogoś, jeżeli się jest w domu, uważa się za obrazę. Nie chcę go obrażać. Musi mieć interes, skoro przychodzi... a może przynosi mi odpowiedź na moją prośbę. Proś pana kwatermistrza Gertrudo. Gdzież on jest?

— Dlaczego ten człowiek chodzi tyłami? — mruknął Jerzy niechętnie — czyż nie ma drzwi frontowych?

Gertruda wyszła i wkrótce temi samemi drzwiami wsunął się reprezentant władzy miejskiej z najsłodszym na ustach uśmiechem. Włosy jego i faworyty były starannie przygładzone, mundur odświętny z naszywkami na kołnierzu, a w dziurce od guzika tkwiła róża herbaciana,

jedna z tych, któremi dziś został obdarzony. Wchodząc, obrzucił bystrym wzrokiem Jerzego i i złożył niski ukłon pannie Jadwidze.

— Przynosi mi pan zapewne dobre wieści — rzekła, wskazując na krzesło.

Kwatermistrz usiadł.

— Nie jeszcze — odpowiedział, obracając na kolanie swoją czapkę. — Przyszedłem właśnie pani powiedzieć, że dziś nie będę mógł nic zrobić, bo burmistrz na cały dzień wyjechał.

Gdy to mówił, oczy jego biegały po pokoju, jakby wietrzył zwierzynę. Wiedział już teraz dla kogo był zrobiony bukiet, który mu się dostał przypadkiem, bo widział taki sam na stole; dla kogo była butelka wina i dla kogo panienka włożyła różę we włosy. Zlustrował ubranie Jerzego, zauważył srebrną cygarnicę porzuconą na kanapie i dziennik wyglądający mu z kieszeni, a złożony we czworo. Zdążył nawet przeczytać do góry nogami tytuł tego dziennika i upewnić się, że nie był krakowski, ani poznański. Zmięta serweta, truskawki nałożone na talerzyk i nietknięte — nic nie uszło jego uwagi, a z twarzy obojga miarkował, że przerwał jakąś drażliwą i niezbyt przyjemną rozmowę.

Panna Jadwiga spojrzała mu prosto w oczy.

— Ależ ja wcale nie oczekiwałam tak prędkiego rezultatu — rzekła z nieukrywanem zdziwieniem, bo to co powiedział na usprawiedliwienie swego przyjścia, dowodziło aż nadto wyraźnie, że było na prędce wymyślone. Sam kwa-

termistrz to czuł, ale na nic lepszego na razie zdobyć się nie umiał. Szło mu tylko o to, żeby się przybyszowi z bliska przypatrzyć.

Pan kwatermistrz podciągnął do góry swój czerwony kołnierz, co miał zwyczaj czynić zawsze ilekroć był zakłopotany i szukał ratunku w poczuciu swego charakteru urzędowego. Zresztą, mniej już teraz dbał o to, co sobie panna Jadwiga i jej gość o nim pomyślą. Dopiął, czego chciał, przypatrzył się młodemu Wilczkowi i nie znalazł go znów tak bardzo dla płci słabej niebezpiecznym, bo pięknym nie był, wedle jego zdania. Zmiarkował też, że dziś na tych spostrzeżeniach musi poprzestać, bo więcej się nie dowie i postanowił skrócić swoją wizytę.

— Wiem — mówiła dalej panna Jadwiga — że każda sprawa potrzebuje czasu, i jeżeli na wstępie zaraz spytałam pana, czy wieści są pomyślne, to dlatego tylko, że nie spodziewałam się dzisiaj widzieć pana po raz drugi. Proszę nie uważać tego za natarczywość.

Kwatermistrz wstał.

— Przepraszam państwa najmocniej, że im przeszkodziłem — powiedział, jak mógł najuprzejmiej — ale sądziłem... to jest, zdawało mi się, że pani rada będzie wiedzieć, że nie zasypiam sprawy. Moje uszanowanie...

— Za pozwoleniem pana — odezwał się Jerzy, którego sposób zachowania się kwatermistrza, a może więcej jeszcze widok róży w dziurce od guzika drażnił niepomiernie — dowiedziałem się,

że panowie chcecie wpakować tu półkownika na kwaterę i radbym wiedzieć, jakiem prawem?

Pan kwatermistrz się zdumiał: od śmierci starego Wilczka nikt nie poważył się pytać go o prawo do tego lub owego. Co to miało znaczyć? Patrzył na młodzieńca osłupiałym wzrokiem i nie mogąc się zdobyć na żadną odpowiedź, powtórzył machinalnie:

— Jakiem prawem... jakiem prawem...

— Tak jest — mówił dalej ostro Jerzy — jakiem prawem? Ten dom ma już jednę kwaterę, a pan chcesz mu dać jeszcze drugą? Pokaż mi pan przepisy, nakazujące właścicielom domów dawać po dwie kwatery na raz. Gdzie one są? Chciałbym je widzieć.

— Łaskawy panie — przemówił kwatermistrz słodkim, ale drżącym od wewnętrznego wzburzenia głosem — pozwoli pan, że go nawzajem zapytam, jakie pan ma prawo mieszać się w sprawy naszego miasta? Magistrat nie ma potrzeby zdawać rachunku ze swego postępowania pierwszemu lepszemu przybyszowi. My pana nie znamy!

— Jestem Wilczek — odrzekł Jerzy wyniośle — i mam prawo a nawet obowiązek bronić domu Wilczków, gdy się im dzieje krzywda!

— A! Wilczek!... — powtórzył pan kwatermistrz z jakimś szyderskim akcentem — bardzo mi to przyjemnie słyszeć... Wilczki odznaczali się zawsze duchem burzliwym... jest już coś niespokojnego we krwi...

— Tak, panie kwatermistrzu — jest w naszej krwi coś, co nie może ścierpieć gwałtu i samowoli. Nie lubimy, żeby nam grano na nosie i śmiałkom takim pokazujemy zęby!

— Usposobienie bardzo rycerskie i romantyczne — odrzekł z niezmienną słodyczą pan kwatermistrz — ale niezbyt bezpieczne w dzisiejszych czasach. Powiem burmistrzowi, żeby przysłał dowiedzieć się, czy pański paszport jest w porządku. Do widzenia, łaskawy panie; mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

— I ja tak sądzę!

Spojrzenia ich skrzyżowały się przy tych słowach, a w obu była nienawiść i groźba.

— Żegnam panią — rzekł jeszcze pan kwatermistrz, zwracając się do panny Jadwigi, która siedziała z twarzą lekko pobladłą — pragnąłem szczerze pani usłużyć, ale widzę, że moje usługi są tu zbyteczne. Kuzyn pani zapewne sam wszystko pomyślnie załatwi. Kwiaty, którymi pani była łaskawą obdarzyć mnie dziś rano — dodał, dotykając ręką róży — zachowam na pamiątkę miłej chwili, spędzonej w jej towarzystwie...

— Gertrudo! — zawołał Jerzy grzmiącym głosem, a gdy służąca się ukazała, dodał — wyprowadź pana kwatermistrza przez drzwi frontowe, żeby nie potrzebował chodzić tyłami.

— Dziękuję, łaskawy panie, uprzejmie dziękuję. Zobaczymy się pewnie niezadługo. Moje uszanowanie.

Podczas, gdy się kłaniał wychodząc, róża wypadła na podłogę, ale nie spostrzegł tego.

— Jerzy — przemówiła z wyrzutem panna Jadwiga, gdy drzwi zamknęły się za kwatermistrzem — cóżeś najlepszego zrobił? Napadłeś na tego człowieka bez żadnej przyczyny z jego strony i teraz mamy wroga!

— Damy sobie z nim radę.

— A, tak! Ty zwłaszcza rozprawisz się z nim bardzo prędko, gdy wyjedziesz z Kozłowa, ale zapomniałeś o nas, My zostaniemy same...

Jerzy zmieszał się.

— Kwatermistrz choćby nam pomódz nie chciał, byłby przynajmniej nieszkodliwym, a po tem co zaszło, będzie paraliżował wszelkie nasze starania. Myślałam, że wojna dwudziestoletnia skończy się nareszcie i odetchniemy swobodniej, a tyś ją na nowo rozpoczął.

Nie mógł zaprzeczyć słuszności tych wyrzutów. Po co się wmięszał tak niefortunnie w sprawy tego domu, skoro miał go wkrótce opuścić! Należało zostawić go własnemu losowi.

— Jadziu! — rzekł nareszcie — wybacz. Może istotnie zanadto się uniosłem, ale nie mogłem zapanować nad sobą i czuję, że drugi raz postąpiłbym tak samo. Ten człowiek nie przyszedł tu w interesie kwatery, sama widziałaś po jego zachowaniu się. Tłómaczył się bardzo niezręcznie i przysiągłbym, że miał jakiś cel inny, a kwatery użył za parawan. Czy to prawda co mówił, że dałaś mu dziś kwiaty?

— Prawda.

— I ta róża, którą miał przypiętą do munduru, pochodziła od ciebie?

— Naturalnie; pochodziła z bukietu, który dostał odemnie.

— A! — rzekł z ironią — więc dlatego nie podobało ci się przyjęcie jakiego tu doznał odemnie... Wybacz, ale nie widziałem, że dażysz swymi względami pana kwatermistrza, czyli sekretarza policyi.

Płomienie uderzyły na twarz panny Jadwigi.

— Jerzy: — zawołała z oburzeniem — zapominasz się. Nie masz prawa przemawiać do mnie w ten sposób.

— Mam prawo głowy rodziny — odpowiedział z rozdrażnieniem. — Jestem jedynym twoim krewnym, a w razie śmierci stryjenki, jedynym opiekunem.

— I chcesz obowiązki tej opieki wypełniać w Paryżu. Zbytek dobroci, kochany kuzynie. Opieki twojej nie trzeba mi zupełnie: dam sobie sama radę!

— Nie doprowadzaj mnie do niecierpliwości; — zawołał, a oczy jego ciskały błyskawice — chcę wiedzieć w jakim celu dałaś mu ten bukiet. Żądam tego!...

— Nie słucham rozkazów — odrzekła zimno i wstawszy skierowała się ku drzwiom.

Jerzy pochwycił ją za rękę.

— Mów, proszę cię, błagam...

— Prosisz? to co innego. Słuchaj więc, byłam w ogrodzie i układałam kwiaty do tego bukietu, gdy przyszedł kwatermistrz. Zrazu rozmawiałam z nim przez sztachety, ale obawiając się żeby go babcia nie zobaczyła, prosiłam aby wszedł do ogrodu. Nie mogliśmy ciągle rozmawiać stojąc, więc wskazałam mu miejsce na ławce.

— Obok siebie, cóż potem?

— Potem prosiłam go, żeby zrobił co może dla oswobodzenia nas, a że bardzo chwalił te róże, więc mu je dałam.

— Chciałaś go przekupić kwiatami?

— Chciałam tą drobną uprzejmością, zjednać go dla naszej sprawy.

— Ty to nazywasz drobną uprzejmością, a on to wziął za zapowiedź innej, lepszej nagrody...

Panna Jadwiga lekko brwi zmarszczyła.

— I ten zuchwalec zawiesza sobie różę na piersiach i ośmiela mówić ci w mojej obecności, że ją zachowa na pamiątkę!... Gdybym był wiedział, że to prawda, wydarłbym mu ją, żeby się nie chwalił przed ludźmi.

— Czy badanie już skończone? — spytała chłodno.

Jerzy nic nie odpowiedział. Spostrzegł on w tej chwili kwiat leżący niedaleko proga i podeptał go gniewnie nogami. Wszyscy mężczyźni tego rodu mieli gwałtowny temperament; burzliwe ich namiętności wybuchały przy każdej sposobności i musieli rozwijać w sobie niemałą siłę woli, żeby je opanować. Był to prawdziwy Wilczek: pannie

Jadwidze patrzącej nań w tej chwili, przypomniał zupełnie dziadka, wyrazem twarzy, ruchami i błyskiem oczu — a więcej jeszcze przypomniał jej protoplastę rodu Wilczków, którego portret malowany na blasze i wiszący nad kamiennym grobowcem, widywała w każdą niedzielę w Farze w głównej nawie. Ta sama duma niepohamowana i stanowczość, ta sama zuchwałość i pragnienie walki.

— Czy filozofia nauczyła cię pastwić się nad niewinnemi kwiatami! — spytała patrząc z żalem na zniszczony owoc swoich starań; róże bowiem, szczególniej przez nią ulubione, większą może niż inne kwiaty otaczała troskliwością.

Słowa te wróciły Jerzemu równowagę. Zawstydził się swych uniesień i biorąc rękę kuzynki, rzekł serdecznie.

— Jadziu, daruj mi — nie powinienem był tak się unosić w twojej obecności, ale sam nie wiem, co się ze mną stało. Widok tego człowieka wzburzył wszystką krew w moich żyłach. Byłaś niegdyś dla mnie bardzo dobrą i broniłaś zawsze swego Jurka przed gniewem stryja, kochałaś mnie nawet troszkę.

— Czy pamiętasz te wiśnie — ciągnął dalej Jerzy — których tak bardzo pragnęłaś skosztować, że aż ja wszedłem na drzewo, żeby ich narwać, a oglądałem się na wszystkie strony, czy kto nie patrzy?

— Gałęź się wtedy ułamała i spadłeś, przyczem zwichnąłeś sobie nogę — rzekła, patrząc na

niego ze wzruszeniem, a głos jej przy tem miał tony dziwnie miękkie.

— A ty pobiegłaś do stryja z płaczem, oskarżyłaś się sama i gdy mnie położono do łóżka, nie chciałaś iść wcale spać, tylko całą noc zmieniałaś mi okłady z zimnej wody. Stryj i stryjenka gniewali się na ciebie, bo Gertruda siedziała także i obecność jej wystarczała zupełnie. Ale panienka uparła się i nie chciała mnie odstąpić.

— Ty zaś z rana obudziwszy się, gniewałeś się na mnie, żem nie spała, nazwałeś »upartą dziewczyną« i tak mnie wyłajałaś, że...

— Że aż rozpłakałaś się i nie jadłaś wcale śniadania, a od tego czasu nie chciałaś wcale patrzeć na wiśnie.

— O tak, bo byłeś bardzo niegrzeczny!

— I nie poprawiłem się wcale, chociaż dwa razy tak duży urosłem, bo oto dzisiaj rozgniewałem się znowu... Gniewasz się na mnie jeszcze?

— Nie, pod warunkiem, że już więcej broić nie będziesz.

Jerzy położył rękę na piersiach.

— Nie będę — rzekł ze skruchą.

— Poprawisz się?

— Poprawię.

— To brzydko być złośnikiem, gdy się już jest takim dużym chłopcem!

— To prawda — szepnął, całując obie jej rączki. Wiesz co? chodźmy do ogrodu poszukać tego naszego drzewa z wiśniami. Czy ono żyje jeszcze? Nie widziałem go już sześć lat!

— Ach, żyje! — zawołała — i będzie miało w tym roku dużo owocu, bo całe obsypane było kwieciem, mnóstwo ma zawiązków; chodź je zobaczyć.

I pobiegli wesoło, zapomniawszy o chwilowem nieporozumieniu, o kwatermistrzu i nieszczęściach wszelkiego rodzaju; młodość unosiła ich jak na skrzydłach, a wspomnienia których szukali, budziły wzajemne ich dla siebie uczucia, przytłumione latami rozdziału. Zapora, stojąca między nimi, znikła — nie było już ani doktora filozofii, ani panny dorosłej, tylko dwoje dzieci. On nie nazywał już jej kuzynką ceremonialnie, ale po dawnemu Jadzią, a jej surowość i powaga stopniały jak lód pod tchnieniem słońca. Była znowu tą dawną, wesołą dziewczynką, której śmiech srebrny i szczebiotanie słychać było wszędzie. Bawili się jak dzieci i byli szczęśliwi jak dzieci, biegali po ulicach ogrodu i ścieżkach, a Jerzy, raz się tu znalazłszy, pytał się o wszystko i chciał wszystko wiedzieć. Były tam krzewy, które sam sadził, były jego kwiaty ulubione, a ze wszystkiem łączyło się jakieś pamiętne dla obojga zdarzenie. Pamięć, raz zbudzona, wydobywała z głębi duszy obrazy, które zdawały się być przez sześć lat upłynionych zupełnie zatarte, a teraz wstawały jak żywe i odzywały się dawnymi głosami. Co chwila dawało się słyszeć to z jednych, to z drugich ust pytanie: »czy pamiętasz?« Jerzy znalazł ogród znacznie piękniejszym, niż go zostawił, a Jadzia musiała mu opowiadać historyę każdego nowego

drzewa, swoje trudy, prace i zawody. Gdy znalazł coś takiego, co było jego dziełem, cieszył się jak dzieciak. Zauważył, że wszystkie ślady jego pracy pielęgnowano tu z nadzwyczajną troskliwością i jakaś radość nieznana rozgrzewała mu serce. Na dużym trawniku stała grupa świerków: między świerkami rosły paprocie, a w trawie, niby rozsypane turkusy, błyszczały gęsto niezapominajki.

— Patrz — mówiła — oto są te paprocie, cośmy po nie chodzili do lasu, a to te niezapominajki, coś je dla mnie z łąki przyniósł, wtedy, kiedy to chorowałam na tyfus, to jest niezupełnie też same, ale z tego samego rodu.

Jerzy spoważniał.

— Byłaś taka blada, jak te płatki jaśminu — mówił zrywając gałązkę z krzewu, rosnącego przy drodze — ale gdy zobaczyłaś niezapominajki, wyciągnęłaś do nich ręce i zarumieniłaś się z radości. Stryjenka zabroniła ci mówić, a stryj wyprowadził mnie z pokoju. Ach! jak ja go wtedy nienawidziłem! Żałowałem, że nie jestem dorosły, bo byłbym go wyzwał na pojedynek. Długo stałem pod twemi drzwiami, trzymając niezapominajki w rękach i płakałem, nareszcie obtarłem oczy i poszedłem zasadzić je tutaj. Gdyś wyzdrowiała i przyszła tu, nie było już kwiatów...

— Ale były krzaczki — odpowiedziała z wilgotnemi oczyma, — a ja cieszyłam się niemi tak, jakbym je widziała kwitnące.

— Powiedziałaś mi wtedy: Jakiś ty dobry Jurku! i rzuciłaś mi się na szyję.

Patrzył na nią, mówiąc to, z jakąś rzewną tkliwością i myślał sobie, że nie chciałby za nic utracić tej bladej niegdyś dziewczynki, której nie przestał kochać, jak się teraz przekonywał i którą odnajdywał w rozkwitającem dziewczęciu. Patrzył, a ona nie płoniła się pod jego wzrokiem, choć przypominał jej chwilę braterskiego uścisku. Serca ich były czyste, a wspomnienia dziecinnych zabaw i dziecinnych uczuć przenikały je jakiemś uroczystem, świętem prawie wzruszeniem, wobec którego milczy namiętność.

Chodzili tak dalej, naprzemian poważniejąc i wybuchając śmiechem, upojeni powietrzem, wonią kwiatów, słońcem i własną młodością. Wiosna była dookoła nich i wiosna w ich sercach. Ręce ich spotykały się często, ale nie drżały we wzajemnym uścisku. — Było im dobrze razem, a Jerzy im dłużej przebywał w jej towarzystwie, im więcej odnajdywał w ogrodzie starych znajomych, tem kąt ten stawał mu się droższym.

Tuż przy parkanie stała obrośnięta winem dzikiem altana.

Jadzia zatrzymała się i rzekła:

— Tutaj złapałeś dwa wróble na samotrzask.

— Miałem dla nich taką śliczną klatkę! Ale cóż, jak zaczęłaś prosić i płakać, że może mają dzieci, tak musiałem je wypuścić. Jakie te dziewczęta mają czułe serca!

Ona rozśmiała się i rzekła:

— Mężczyźni mają zawsze krwawe instynkta, i gdyby ich kobiety nie wstrzymywały, wymordowaliby cały świat.

Jerzy uśmiechnął się. Przypomniała mu ona zawsze kokosz, tulącą słabe pisklęta pod swoje skrzydła. W pokoiku jej bywał prawdziwy szpital dla chorych psów, kotów i wszelkiego stworzenia. Co tylko z inwentarza domowego zachorowało to zaraz brała na kuracyę i pielęgnowała z iście macierzyńską troskliwością. Kury i indyki chodziły nieraz niby inwalidy z plastrami na głowie i po-obwijanemi nogami. Ba, ona nawet muchy nie zabiła! a gdy im truciznę postawiono, to je od niej pokryjomu przed stryjenką odpędzała.

Gdy przechodzili koło stawu, pokazała mu okręcik, który kiedyś dla niej zrobił, a który teraz przywiązany na sznurku do drzewa, znajdował się jeszcze w zupełnie dobrym stanie. Wzruszyło go to poszanowanie jego chłopięcej pracy i uradowało niezmiernie. Niedaleko wody stała owa historyczna wiśnia. Jerzy zatrzymał się.

— Wiesz co, bierze mnie ochota wejść na nią jak wtedy, szkoda, że nie ma jeszcze wiśni. Rumieniły się na gałęziach jak rubiny, a takie były wielkie, soczyste! Trzeba zaczekać aż będzie owoc.

— Przyjedziesz po to z Paryża? — zapytała żartobliwie.

Jerzy nic nie odpowiedział; myśl, że będzie musiał opuścić to miejsce, które niedawno nazwał pogardliwie partykularzem, stanęła przed nim w tej chwili jak przykra mara, którą pragnął jak najdalej odegnać. Nie odpowiadał nic, tylko patrzył na Jadzię, a po twarzy chodziły mu płomienie; ona spuściła oczy w ziemię i westchnęła.

V.

Milczenie, jakie przez chwilę między nimi zapanowało, przerwane zostało stukaniem laską w deski parkanu, tuż około furtki znajdującej się w miejscu, gdzie najbliżej było nosić z rzeki wodę do podlewania roślin. Jadzia drgnęła i postąpiwszy kilka kroków ku parkanowi, zapytała:

— Kto tam?

— To ja! — odpowiedział głos gruby i dobrze już wiekiem zniszczony. — Otwórzcie! byłem na spacerze w lasku i wracając przychodzę zobaczyć nowego filozofa.

— Doktor Jacenty! — zawołał Jerzy i poskoczył otworzyć furtkę.

Doktor wszedł po desce położonej wszerz rowu, oddzielającego ogród od drogi i zastępującej mostek, a przywitawszy się serdecznie, poszukał wzrokiem drewnianej ławeczki i zaraz usiadł na niej.

— Wyrosłeś mi panie Jerzy i zmężniałeś — mówił, przypatrując mu się życzliwie — dorodny z waści kawaler, a czysty Wilczek, z twarzy i postawy. Podobnyś do stryja, jakbyś był jego rodzonym synem. Prawda panno Jadwigo?

KLASZTOR NAJŚW. SERCA JEZUSA
w Grabowie, p. Pyry k/Warsz

Był to człowiek średniego wzrostu, mogący mieć lat sześćdziesiąt; siwizna przyprószyła mu głowę i wązki zarost po bokach twarzy i pod brodą. Twarz ta z wydatnymi rysami, niegdyś piękna, czyniła wrażenie jakiejś lawy zastygłej, jakiejś obojętności graniczącej niemal z ospałością; tylko błyski ironii przebiegające po niej czasami, ożywiały ją na chwilę. Wzrok krótki zmuszał doktora do ciągłego przymrużania oczu, a choć go wzmacniał okularami, niewiele to pomagało. Ubierał się w staroświecki płaszcz z peleryną, po którym go ludzie z daleka poznawali, a gdy mu jeden płaszcz dziękował za służbę, krawiec zaraz mu robił drugi, taki sam. Chodził powoli i wolno mówił, wymawiając dobitnie każdy wyraz; tytoniu nie palił, ale zażywał po staroświecku tabakę.

— I niespokojny duch w panu, jak u wszystkich Wilczków: dopieroś przyjechał, a już zaczynasz broić. Na co ci panie Jerzy drzeć koty z kwatermistrzem? On jest wściekły na ciebie!

— Pan doktor już wie o tem! — zawołał zdziwiony młodzieniec.

— Ha! ha! ha! jak znać zaraz, że dawno nie byłeś w Kozłowie — roześmiał się doktor — my tu wiemy mój dobrodzieju, o każdej rzeczy wprzód jeszcze, nim się ona stanie, a ty się dziwisz, że jestem powiadomiony o tem co miało miejsce przed godziną. W Kozłowie nietylko wiedzą, co kto robi i mówi, ale nawet co kto myśli, a wszystkie ściany mają uszy!

Wyjął z kieszeni tabakierkę z portretem Napoleona III. i zażywszy tabaki, mówił dalej:

— Spotkałem się przed chwilą z kwatermistrzem; mówię wam, że jest wściekły! Nawarzyłeś piwa kochanku i będziesz musiał je wypić. No, ale niechże się dowiem jak to było!

Jadzia zaczęła opowiadać, ale Jerzy, który jeszcze nie stracił dobrego humoru, przerwał jej:

— Ja lepiej opowiem panu doktorowi, bo ta panienka, jak widzę, wszystko przedstawia w gorszem świetle. Onaby chciała, żeby cały świat żył w zgodzie. Pamiętam, że jak się czasem koguty z sobą poczubiły, to zaraz wpadała pomiędzy nich i rozpędzała, a potem brała każdego z osobna na konferencyę i prawiła im morały o miłości bliźniego. A to wszystko dlatego panie doktorze, żeby koguty nie poszły do piekła!

Przepraszam bardzo — odparła z udanem oburzeniem — nie mogłam mieć tej obawy, bo wiedziałam już wtedy doskonale, że wszystkie miejsca zachowane tam zostały dla filozofów!

Doktor rozśmiał się głośno i spoglądając kolejno na oboje, rzekł.

— Już ja w tym razie wolę, że panienka opowie, bo winowajca pewnie chce zmniejszyć swoją winę.

— I zwalić na kogo innego — dokończyła Jadzia, siadając na ławce obok doktora — bo niech pan sobie wyobrazi, że zdaniem Jerzego, wszystkiego narobiły róże!

Jerzy na wzmiankę o różach spochmurniał i już nie przerywał, z czego korzystając panna Jadwiga, opowiedziała swoją południową z kwa-

termistrzem rozmowę i jego poobiednie z Jerzym spotkanie. Doktor wysłuchawszy uważnie, zażył tabaki.

Źle się stało, bardzo źle — odezwał się po chwili — postąpiłeś panie Jerzy jak.. młody człowiek — chciał powiedzieć: jak żak. — Znać w tem brak doświadczenia i spokojnego na rzecz poglądu, a przedewszystkiem brak znajomości ludzi. Nie zadzierać z nim należało, ale go raczej skaptować, rozmówić się po ludzku i choćby potraktować kieliszkiem wina, skoro stało na stole. Mielibyście go jeżeli nie za sobą, to przynajmniej nie przeciw sobie.

Jerzy oburzył się.

— Dyplomacya taka jest dla mnie wstrętną — rzekł namiętnie. Nie lubię szukać dróg krętych — kiedy mam prawo chodzić prostemi. Nie potrzebujemy żadnej łaski od pana kwatermistrza; niech tylko pełni swój obowiązek urzędnika sumiennie i uczciwie, a będziemy wzajemnie z siebie zadowoleni. To mu właśnie dałem do zrozumienia, choć może w nazbyt dobitnych wyrazach.

— Mój kuzyn ma słuszność — potwierdziła panna Jadwiga — na ludzką, uprzejmą nawet rozmowę, zgadzam się, ale nie poprosiłabym pana kwatermistrza, o którego nieprzyjaznych dla naszego domu uczuciach wiem od lat wielu, żeby zasiadł z nami do stołu, bo zdaniem mojem, nie godzi się z nikim łamać chleba obłudnie!

— Gadajcie zdrowi, moi państwo — odrzekł kiwając głową doktor — jak pożyjecie trochę

dłużej, inaczej będziecie mówili. Moje zdanie znów takie: Zapal Panu Bogu jedną świeczkę, a dyabłu dwie, jeśli trzeba.

— Dziadek myślał inaczej — wtrąciła.

— To też umarł, choć mógł był żyć jeszcze z dziesiątek lat, bo był chłop tęgi i dobrze zbudowany. Ileż to razy mówiłem mu: Bój się Boga panie Wilczku, na co panu ta wojna! gryziesz się tylko niepotrzebnie. To już lat dwadzieścia z nimi się kłócisz. Zaproś cały magistrat do Rafta na śniadanie, postaw szampana i jak się razem upijecie, będzie zgoda! Ale ani słuchać o tem chciał!

— Bo też byłaby to nikczemność: — odrzekł Jerzy ze szlachetnem oburzeniem. Sprawiedliwość nie powinna walać się po handlach winnych i restauracyach, ale iść, gdzie ma prawo, trzeźwa, spokojna i nieubłagana, bo tylko wtedy wzbudzić może trwogę i cześć w tych, którzy ją gwałcą.

— Piękne słowa — rzekł posępnie doktor — szkoda, że pozostaną jałowe, jak to drzewo, które pięknie zieleni się, ale nie wydaje owocu.

— Wydałoby owoc — rzekła z żywością Jadzia — gdyby się znalazło kilku, choćby takich obywateli, którzyby szli z nami ręka w rękę.

— Takich obywateli nie znajdziecie, nie tylko kilku, ale dwóch nawet, co mówię — ani jednego, bo nikt nie zechce się narażać. Każdemu chodzi przedewszystkiem o jego własną skórę; każdy zasypia, jak ślimak w swej skorupie i jeżeli kiedy wychyli z niej głowę przez ciekawość, to chowa ją czemprędzej i siedzi nieruchomy, obawiając się

czy się kto nie domyślił, że jest istotą żyjącą, i czuje chwilami, że ma prawo do życia. Byle mógł prowadzić swój handel, swoje rzemiosło, pobierać swoje komorne z domu, lub swój procencik od kapitału, kto go ma, to już i kontent, bo każdy myśli o tem, że byłoby gorzej, gdyby stracił co ma, a bywały już takie czasy i niejeden o nich pamięta.

— Co za nikczemne tchórzostwo! — wybuchnął Jerzy.

— Nie nazywaj tego nikczemnością — odezwała się Jadzia — bo to nie jest nikczemność, tylko nieszczęście. Bywają warunki, wśród których życie zakaża serca pierwiastkami rozkładowymi, warunki, w których obumiera poczucie prawa i godności osobistej. Przebywający w ciemności i zaduchu zakrywają oczy przed światłem, bo ich oślepia i unikają świeżego powietrza, bo ich odurza. Ale czyż można im pozwolić na moralne i fizyczne samobójstwo? Musi się znaleźć ktoś, kto zrobi wyłom w murze, wpuści ożywcze prądy, podniesie w górę serca i orzeźwi umysły!

Doktor pokiwał głową.

— Młodość, młodość mówi przez usta pani, panno Jadwigo. Na co się to wszystko zda? Jeżeli chcesz wojować panie Jerzy, to przygotuj się na to, że będziesz sam jeden, tak, jak był twój stryj i że nawet twoi współobywatele obrócą się przeciw tobie, jeżeli im się będzie zdawało, że odwagą swoją narażasz ich spokój i bezpieczeństwo. Daj lepiej pokój! Będziesz się rwał napróżno i nic nie

wskórasz. Róbcie zresztą co chcecie, ale koniec końcem powiedzcie mi, co zostało postanowionem.

— Na teraz nic jeszcze — odrzekł Jerzy — zobaczymy, co zrobi kwatermistrz.

— Wpakuje wam pułkownika.

— Nie zrobi tego; podamy na niego skargę.

Doktor się rozśmiał.

— Mój panie Jerzy, tylko ze skargami daj sobie pokój; wynajdź jaki inny sposób, jeżeli możesz. Sama pani Wilczkowa podawała już niejedną skargę bezskutecznie.

— Nie mogły być skutecznemi te skargi — odpowiedziała panna Jadwiga — bo babka, skarżąc się na ucisk deputacyi kwaterniczej, nie wymieniła nazwisk uprzywilejowanych przez deputacyę właścicieli domów. Domyśliłyśmy się tego za późno!

— Czyś panienka opowiedziała filozofowi historyę wojny dwudziestoletniej?

— A jakże — opowiedziałam.

— A o sprawie doktorowej L wie?

— Nie.

— No, to ja mu opowiem: Znasz przecie doktorowę, panie Jerzy?

— Ach, doskonale. Wylałem jej raz całą szklankę kawy na suknię i odtąd nazywała mnie zawsze nieznośnym chłopakiem.

— Doktorowa, jak wiesz, ma dom parterowy przy ulicy Klasztornej, a w tym domu na górze dwa pokoje z kuchnią, które zwykle bywały zajmowane na kwaterę. Rok temu, przeznaczono tam pewnego młodego kapitana, bezżennego, który

obejrzawszy mieszkanie, oświadczył, że jest dla niego za szczupłe; że dom zanadto w kącie położony; że z okien niema żadnego widoku i zażądał, żeby dla niego wynajęła w rynku.

— Doktor żartuje! — zawołał Jerzy.

— Nie żartuję. Doktorowa odmówiła, więc deputacya kwaternicza oświadczyła jej, że umieści kapitana w hotelu na jej koszt. Podała skargę do gubernatora, a gdy kapitan naprawdę wprowadził się do hotelu, wyprawiła jeden i drugi telegram. Ale odpowiedź nie przychodziła, bo gubernator nie mógł pominąć zwykłych formalności i zażądał przedewszystkiem wyjaśnień od magistratu Kozłowa.

Wyjął tabakierkę i poniósł sporą szczyptę do nosa. Jerzy słuchał zaciekawiony.

— Widząc, że czas upływa, a rachunek jej w hotelu rośnie, doktorowa zdecydowała się na to, czego od niej żądano: najęła mieszkanie dla kapitana w rynku, za sto dwadzieścia rubli rocznie. Ale pan kapitan dostrzegł wkrótce na ścianie wilgoć i zażądał znowu, żeby mu najęła lokal gdzieindziej. Temu już oparła się stanowczo, więc sam sobie wynajął, ale doktorowa musiała mieszkanie poprzednio skontraktowane, do końca roku zapłacić, choć wynagrodzenia za kwaterę wzięła potem tylko rubli sześćdziesiąt.

— Jest to kobieta niezamożna i dochód z komornego stanowi całe jej utrzymanie.

Tu nastąpiło mocne kichnięcie: Jerzy i Jadzia życzyli doktorowi zdrowia, a on, podziękowawszy mówił dalej:

— Gdy się to stało, nadeszła odpowiedź rządu gubernialnego, oddalająca skargę doktorowej, jako bezzasadną, bo magistrat zdał raport, że kwatera, jaką dawała kapitanowi w swoim domu, była na poddaszu, a zły stan okien, drzwi i pieców, czynił ją niemieszkalną. Ale że to kobieta energiczna, więc postarała się o świadectwo budowniczego, dowodzące, że owe dwa pokoje znajdowały się w mansardach, a nie na zwykłem poddaszu, gdzie ściany bywają nierówne, i że są w zupełnie dobrym stanie, oraz o świadectwa kilku wiarygodnych osób, które znały ten dom, lub w nim mieszkały, i przesłała je gubernatorowi wraz z powtórną skargą, opisującą kaprysy pana kapitana.

— Z objaśnieniem, że owo mieszkanie, wynajęte w rynku, było przez niego samego wybrane — wtrąciła Jadzia.

— Tak jest; ale ta skarga wywołała taki sam rezultat, jak pierwsza, bo magistrat objaśnił pana gubernatora, że doktorowa lubi się z prawdą mijać z zasady, a wiarogodne osoby i budowniczy, z przyjaźni dla niej Koszta próśb i telegramów wyniosły kilkanaście rubli. Opowiadała mi to z żalem i dodała, że te pieniądze, złożone w ręce wiadome, byłyby jej oszczędziły zmartwień, a co najważniejsza, owych stu trzydziestu rubli zapłaconych z góry za mieszkanie dla kapitana. Odtąd nikomu już nie przyszła ochota skarżyć. Jest tu niejaki Miller, pruski poddany, który przez Berlin i konsula niemieckiego w Warsza-

wie, chciał magistratowi kozłowskiemu przytrzeć rogów, i nic nie wskórał, choć to na bajkę wygląda. Niełatwa jest walka z wszechmocnymi! I ja miałem dom, panie Jerzy, a z domem różne nieprzyjemności, podobne tym, o jakich już słyszałeś, a nie skarżyłem.

— Wolałeś je pan znosić? — zapytał Jerzy z nietajonem oburzeniem.

— Wolałem dom sprzedać i pozbyć się z nim wszelkich kłopotów. Po co ja mam się kłopotać? Niech się kłopocze kto inny!

— Niech pan opowie Jerzemu, co pana skłoniło do tego — odezwała się Jadwiga.

— Zabiera się na długą historyę — pomyślał Jerzy, który dotąd stał ciągle oparty ręką o drzewo, i zapaliwszy papierosa, usiadł na kamieniu naprost ławki.

— Widzisz, panie Jerzy, zdarzyło się raz, że pieniądze, należące mi się za kwaterę, kto inny za mnie odebrał i to mnie rozgniewało.

— Jakże się to stać mogło?

— Jak? Najprostszym w świecie sposobem. Dostałem awizacyę, ale nie mogłem zaraz pieniędzy odebrać, bo czasem, jak się ludzie uwezmą chorować, tak człowiekowi nawet odetchnąć nie dadzą. No, ale coś we dwa tygodnie potem idę do kasy, a tu powiadają mi, że pieniądze już odebrane. Pytam się: Kto odebrał? co? jak? Nikt nie wie. Kasyer nie pamięta. Wmawiają we mnie, że ja sam odebrałam, a gdy się zaklinam, przysięgam i usiłuję ich przekonać, że nie, wzruszają

ramionami, uśmiechają się i spoglądają na mnie, jak na waryata, mówiąc, że wreszcie nie wiedzą, ale ja sam musiałem odebrać, skoro sam pokwitowałem.

— Powinien był doktór zażądać pokazania sobie kwitu.

— Oho! szukaj wiatru w polu! Kwity, kochanku, nie zostają w Kozłowie, tylko idą do miasta gubernialnego, a stamtąd odsyłane są do Izby obrachunkowej do Warszawy.

— I cóż doktór na to?

— Co? Nic. A cóżeście chcieli, żebym zrobił?

— Ależ należało to koniecznie wyśledzić! — zawołał Jerzy, nie ukrywając swego zdumienia wobec tak widocznej obojętności.

Doktór machnął ręką.

— Mój panie Jerzy, daj mi pokój. Gdzie będę czego szukał? W moim wieku jeździć do Warszawy, nie jest tak łatwo. A potem chodzić po biurach, od Annasza do Kaifasza, i jeszcze pytanie, czybym co wskórał. Zeszłoby z tydzień, a może i więcej. Przez ten czas mieszkałby w hotelu, bo znajomych niema, a nikt obcy cię do swego mieszkania nie weźmie i jedz w restauracyi, bo ci nikt darmo jeść nie da! To kosztuje kochanku, a tymczasem moja praktyka upada. Pacyenci nie czekają z chorobami, aż wrócę, tylko chorują sobie, kiedy któremu dogodniej, i szukają innych doktorów. Policz to, panie Jerzy, dodaj koszta podróży tam i napowrót, a będziesz miał akurat tyle, ile moja strata wynosiła, skórka by za wyprawkę nie stała!

— Być może, ale gdyby doktorowi udało się wykryć nadużycie, to ogółby na tem skorzystał. Spadłaby kara na winowajców i podobne rzeczy jużby się nie powtarzały!

— Będę tłukł moje stare kości dla ogółu! Niech ogół o sobie myśli! Każdy dla siebie, to podobno hasło dzisiejszej filozofii. Czy nie tak, panie Jerzy? Litujesz się nad Kozłowianami, a nie dałbym grosza za to, że pojedziesz, a nas zostawisz.

— Jerzy jedzie do Paryża — wtrąciła Jadzia, spoglądając uważnie na kuzyna.

Szyderski uśmiech przebiegł po twarzy doktora.

— A co, czy nie mówiłem? Dobrze robisz panie Jerzy, że o sobie myślisz przedewszystkiem. Ja też powiedziałem sobie, żem sam był temu winien, bom się nie dopilnował, więc sprzedałem dom. Odtąd mam spokój.

— To mi przypomina — odezwała się Jadzia, że i nam się należą jakieś pieniądze za kwatery dla przejeżdżających jenerałów, którzy tu jeszcze za życia stryja stawali. Pieniędzy tych dotąd nie można odebrać.

— Trzeba to będzie zbadać — odrzekł Jerzy, i po chwili milczenia mówił dalej. — Więc gdybym chciał podjąć oręż mego stryja przeciwko magistratowi, to nie mógłbym liczyć na to, że doktor przy mnie stanie jako sprzymierzeniec?

Doktor rzucił na młodzieńca przelotne, bystre spojrzenie z pod przymrużonych powiek.

— Nie, nie, kochany panie Jerzy, nie licz na mnie; jestem na to za stary. Walka, to rzecz młodych, kto stoi nad grobem, spokoju pragnie. Dość już żyłem, i wiem co to jest kłaść głowę pomiędzy młot i kowadło, bom tego próbował. Albo ja chcę się narażać na nieprzyjemności? Kto mi każe? Bój się Boga, zastanów się tylko!

— Ale jeżeli tak wszyscy będą mówili, to stan ten nie poprawi się nigdy — zauważyła Jadzia ze smutkiem.

Doktor ruszył ramionami.

— Ha, kto wie, może się tam co w Europie zepsuje, to się i u nas trochę powietrze oczyści. Trzeba czekać.

— Kochany doktorze — rzekła Jadzia, biorąc rękę starca w swoje dłonie — wiesz pan lepiej niż ktokolwiekbądź, że nic tak nie tępi sił żywotnych, jak bezczynne, bierne oczekiwanie. Kozłów nasz najlepszym jest tego dowodem. I na co się zda mówić takie rzeczy — dodała, patrząc mu w oczy z przymileniem — kiedy pan wiesz dobrze, że ani ja, ani Jerzy, nie wierzymy temu. Nie obchodzi pana dobro publiczne? a kto jeździł do Warszawy z deputacyą obywateli, prosić o pozwolenie otworzenia szkoły czteroklasowej? Kto zbierał na nią składki? Kto pokryjomu przed przyjaciółmi płacił wpisy za biednych uczniów, co?

Oczy doktora lekko zapotniały: przymrużył je jeszcze więcej, jakby chciał dojrzeć jakiś daleki przedmiot i rzekł prawie szorstko:

— Com niegdyś zrobił, o tem już wszyscy zapomnieli, i ja już zapomniałem. Mogę nawet powiedzieć, że to nikomu na dobre nie wyszło. Ci, za których opłacałem wpisy, wstydzili się później jąć rzemiosła i stworzyli urzędniczy proletaryat. Oni to siedzą teraz w kasie, w powiecie i w magistracie, na tak nędznych etatach, że zaledwie jest co w gębę włożyć, a pretensye do wielkości nieograniczone! Patrzy to wszystko na ręce tym, którzy przychodzą z interesami, czy im skąd jaka złotówka lub śniadanko nie spadnie. Oni to niezawodnie mogliby coś powiedzieć, gdyby chcieli, gdzie się podziały moje pieniądze za kwaterunek.

Westchnął.

— Jestem pewna jednak, że w razie potrzeby, doktor byłbyś naszym sprzymierzeńcem — odezwała się Jadzia, wracając do poprzednio powziętej myśli.

— Nie, nie, nie liczcie na mnie, proszę was na wszystko, nie liczcie! Nie chcę się do niczego mieszać.

Jadzia rozśmiała się.

— No, no — rzekła z wesołą przekornością — dobrze już, dobrze, damy panu spokój dopóty, dopóki pańskiej pomocy nie będziemy potrzebowali. Prawda Jerzy?

— Jerzy jedzie do Paryża — więc jestem spokojny.

Młodzieniec słuchał tego wszystkiego w milczeniu, puszczając błękitne kółka dymu i spoglą-

dając od czasu do czasu na piękny profil kuzynki, nareszcie odezwał się:

— Radbym coś wiedzieć o samorządzie Kozłowa: ławnicy na jak długo są wybieralni?

— Na czas nieograniczony.

— Ilu ich jest obecnie?

— Trzech: Ofman mydlarz, Lebich piekarz, obaj Niemcy, i żyd Hand, kupiec.

— A więc tryumwirat, zauważył Jerzy z szyderskim uśmiechem.

— Więcej niż tryumwirat, bo do składu należy burmistrz.

— Jakże bywa z rozkładem podatków.

— Do podatków stałych, jak: podymne, ogniowe, transportowe i szarwark pieniężny, nic nie mają, ale rozkładają ciężary miejskie, jak: latarniowe, kwaterunkowe, szpitalne, szkolne. Powinny one być rozkładane w stosunku do dochodów, ale ojcowie miasta nie trzymają się tego przepisu.

— Tylko sympatyi osobistych; mówiła mi to już stryjenka — wtrącił Jerzy.

— Nie są oni tak bardzo uczuciowi, żeby się w sympatye bawili — odrzekł, śmiejąc się doktor — kieruje nimi coś pozytywniejszego, niż sympatya. Hand przed rozkładem podatków chodził do mieszczan i mówił po prostu każdemu: „Chcesz mniej płacić, to poproś mnie o to“. Podatki były w następstwie istotnie rozłożone podług dochodu, nie tego jednak, jaki mieszczanie mieli

z domów, ale tego, jaki sławetny ławnik miał od nich.

Jerzy parsknął śmiechem.

— Przepisy zostały wiernie spełnione — wtrącił.

— Do tego rozkładu podatków powinni być używani mieszczanie, ale zacni ojcowie miasta wolą sami większe ponieść trudy, byle ich dzieciom swoim oszczędzić.

— Czy dzieci nigdy przeciw postanowieniom ojców nie protestują?

— Mieszczanie, jeżeli są niezadowoleni, mają prawo apelacyi do naczelnika: ale ilekroć z tego prawa chcą korzystać, zawsze się zpóźniają, bo nie wiedzą o tem, że podatki zostały zatwierdzone wprzód jeszcze, nim oni się o nich dowiedzieli. Zapewne także dla oszczędzenia mieszczanom niepotrzebnej irytacyi i niepokoju, rzeczy te robią się w sekrecie i załatwiają tak szybko!

— Co za troskliwość!

— Mamy jeszcze trzeci rodzaj podatków, które burmistrzowi ściągać wolno bez kontroli; te są: na mieszkanie dla wikarego, na stróża przy kasie, na stróża przy poczcie, na stróża przy magistracie, na stróża w powiecie i inne tym podobne drobne potrzeby miejskie, które wyliczyć nawet trudno. Ciężary te mieszczanie istotnie ponosić powinni; ale gdyby wszystkie fundusze, które składają, były na ten cel obracane, to stróże mieliby lepsze dochody, niż niejeden urzędnik kozło-

wski, a wikary mieszkałby przynajmniej jak kanonik!

— Smutny obraz przedstawiłeś mi pan — rzekł Jerzy namyślając się — nie wesoło tu żyć w waszym Kozłowie.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić — rzekł doktor sarkastycznie. — Ale nic mi nie mówisz o sobie, panie doktorze filozofii. Czy wynalazłeś już jaki nowy system dla uszczęśliwienia świata? Nie? Eh, żartujesz! Znamy, znamy, znamy ten wiek młodzieńczy w którym się zdaje, że świat jest źle urządzony, i chcemy go nawet inaczej organizować. Wszyscy co przed nami nad dobrem jego przemyśliwali, nie umieli się wziąć do rzeczy, ale my to dopiero potrafimy. Czy nie tak? Ha! ha! ha! Wszystko się wydaje łatwe, prawda? a serce przepełnione miłością, chciałoby świat cały ogarnąć! I to znamy także, kochany panie Jerzy; jest to choroba jak każda inna: trochę gorączki, trochę majaczeń, trochę zawrotu głowy, a potem zimne dreszcze, osłabienie wielkie i... rekonwalescencya. Każdy młody przechodzić ją musi i nawet gdy już zupełnie wyzdrowieje, wspomina o niej czasem z westchnieniem. Jeżeli tobie, panie Jerzy, przychodzą kiedy jakie tego rodzaju majaczenia, niech cię ten stan nie przestrasza, bo to przeminie, jak przemija wszystko. Przechodziłem i ja niegdyś tę chorobę i wiem, że z tego się nie umira. Miałem różne systemy uszczęśliwienia świata i przyszedłem do przekonania, że wszystkie nie zdały się na nic.

Pomiędzy krzewami rosnącymi od strony domu, zabłysnął różowy fartuch Gertrudy, a wkrótce potem ona sama zjawiła się przed rozmawiającymi.

— Starsza pani prosi państwa na kawę — rzekła, a zwracając się do Jerzego, dodała: — Przyszedł od pana burmistrza policyant i pyta się o paszport panicza.

VI.

Pierwszą noc pod dachem Wilczków Jerzy przespał jednym tchem: jednakże sen ten nie podziałał na niego dobroczynnie, bo po przebudzeniu uczuł się jakiś nie swój, a poczucie to zwiększało się, w miarę, jak sobie przypominał szczegóły dnia poprzedniego. Jechał do Kozłowa z zercem lekkiem, swobodnem, różowemi napełnionem nadziejami, a teraz czuł na niem jakiś ciężar. Wierzył w swoją gwiazdę, która przyświecać miała jego drodze na Zachód i doprowadzić go w końcu do przyszłości świetnej, wielkiej i sławnej; a teraz zobaczył nagle, że blask tej gwiazdy bardzo był marny. Do dnia wczorajszego pochlebiał sobie, że potrafi kłam zadać zdaniu tych, którzy twierdzili, że wypadki rządzą ludźmi, bo on wypadkami zawładnie przynajmniej o tyle, o ile się one osobistości jego tyczyć będą — tymczasem jeden dzień, gdzież tam! pół dnia pobytu w lichej mieścinie, dowiodło mu, że było to twierdzenie zbyt śmiałe, bo oto w duszy jego wstawały jakieś nowe uczucia i niepokoje, budziły się jakieś wątpliwości i skrupuły. Przypominając sobie dzień wczorajszy, spostrzegał z niezadowoleniem, że powiedział i

zrobił niejedno, czego powiedzieć lub zrobić nie był powinien, bo to przeszkadzało jego zamiarom wyjazdu.

Stracił dotychczasową równowagę moralną i był nieswój, bo w tem usposobieniu, w jakiem się obecnie znajdował, sam sobie wydawał się obcym. Coś się zepsuło w tej maszynie, zwanej człowiekiem. Był jak aktor, który wyszedł przypadkiem ze swojej roli i nie może w nią wejść na nowo, bo mu coś w tem przeszkadza.

Słońce już było wysoko, gdy tak rozmyślał patrząc w sufit, ale trzebaż było nareszcie przerwać to rozmyślanie, nie doprowadzające do niczego. Wstał, ubrał się i wyszedł do ogrodu; ale te wszystkie miejsca, które wczoraj były powodem słodkich i miłych dla niego wzruszeń, dziś go drażniły do najwyższego stopnia, a że na każdym kroku napotykał wspomnienia lat dziecinnych, więc uciekł z ogrodu, żeby ich się pozbyć. Zamykając furtkę spotkał się z Gertrudą, idącą właśnie po niego na śniadanie.

Pomimo, że Jadzia przywitała go miłym uśmiechem, a stryjenka wyciągnęła do niego rękę tak serdecznie, jakby wczorajsza rozmowa poobiednia nigdy nie istniała, pomimo, że kilkakrotnie wśród rozmowy wtrącono wyraz »Paryż«, jakby dla pokazania mu, że się to już uważa za za rzecz skończoną i że żadnych odradzań obawiać się nie potrzebuje, jednakże to nie tylko nie rozpogodziło czoła Jerzemu, ale wprawiło go w jeszcze gorszy humor. Odpowiadał monosylabami,

zamyślał się, jadł mało, a na kuzynkę prawie nie patrzył. Jeżeli przypadkiem oczy jego na niej spoczęły, mówił sobie, że ładna wcale nie jest, bo ma oczy za duże, usta za małe i za czerwone, twarz znów za białą, a przesada we wszystkiem jest nie dobra. Albo te ręce jej, małe jak u dziecka... do czego to podobne! Ani to do pracy się zdały, ani do czego, chyba do całowania, ale nikt o tem nawet nie myślał. To tylko w życiu zawadza, nie pomaga, takie dwa białe jak alabaster płatki. Patrzył pochmurny, jak te płateczki uwijały się, nalewając kawę i herbatę, smarując chleb, a nawet pochwyciwszy samowar za uszy, odsunęły go nieco na bok, żeby para nie szła wprost na siedzących przy stole, czyli zachowywały się tak, jakby naprawdę miały siłę. Jerzy powiedział sobie, że wszystko na świecie składa się z fałszu i obłudy, i że nigdy niczego pewnym być nie można i westchnął. — Albo te włosy kruczej czarności, a tak obfite, że musiały co najmniej parę funtów ważyć! Czy to nie sprzeciwia się prostemu rozsądkowi, żeby taki ciężar nosić na głowie? Czy to nie przygniata umysłu? Kuzynka jest brzydka i koniec.

Uprzejma gościnność, z jaką mu podawała to i owo, drażniła go jeszcze bardziej: siedział jak na szpilkach i jak tylko pani Wilczkowa skończyła swoją szklankę, a on mógł bez niegrzeczności oddalić się, wstał, bąknął kilka wyrazów niezrozumiałych i poszukawszy swego kapelusza, wyszedł na miasto.

Sześć lat nie był w Kozłowie, a wydało mu się, że z niego nigdy nie wyjeżdżał: ten sam gościniec pełen wybojów środkiem ulicy, a bokami trawą tu i owdzie pozarastały; te same parkany omszałe u góry, a dołem świecące dziurami, stanowiącemi wygodną komunikacyę dla psów, kotów i kur używających niczem niekrępowanej swobody obywatelskiej, choć nie ponosiły ciężarów miejskich, ani podatków nie płaciły. I domy były te same, po większej części parterowe, z wysoko wyniesionymi śpiczastymi dachami, starej ale praktycznej konstrukcyi, wybornie zastosowanej do klimatu, bo w zimie nie zatrzymywały śniegu, a w lecie deszczowi swobodnie spadać dozwalały. Domy stały wszystkie na tem samem miejscu, na jakiem je wyjeżdżając zostawił i śmiały się do niego jaskrawem malowaniem swoich ścian, jakby witając dawnego znajomego, a starożytna wieża kościoła parafialnego, z daleka już patrzyła na niego przyjaźnie, jakby mówiła: — Jak się masz! Znał tu każdy kąt, każde drzewo, każdy kamień, i idąc teraz myślał, na ile też nędz, łez i upokorzeń patrzyły te mury przez sześć lat upłynionych... nędz, wobec których, jak mówił doktor — »bezsilnymi były wszystkie systemy« — bo źródło ich leży w ludzkiej naturze. Chcąc je wykorzenić, trzebaby inaczej stworzyć człowieka!

Ulice były prawie puste: gdzieniegdzie tylko pojawiał |się jakiś przechodzeń: w bliskości rynku dopiero ruch objawiał się większy, bo był to dzień targowy, więc wozy przybywały ze wsi

i stawały na uboczu, pod domami, a właściciele ich stojąc lub siedząc na wozie, sprzedawali przywiezione produkta. Ale targ tego dnia był lichy, z powodu mającego wkrótce nastąpić jarmarku: więc zaledwie kilkanaście fur stało na rynku, a gromadki kupujących tu i owdzie krzątały się tak nieliczne, że można było je porachować.

W Kozłowie wszyscy się znali, a każda nowa osobistość pojawiająca się na ulicy, musiała być zaraz zauważoną i budziła powszechną ciekawość.

Wysoka, zgrabna postać Jerzego nie mogła zostać niespostrzeżoną, a jego kapelusz panama, jakiego nikt jeszcze nie widział w Kozłowie, widocznym był z daleka. W oknach pojawiały się twarze różnego wieku i płci, a przechodnie oglądali się za nim, kiwali głowami, lub uśmiechali się przyjaźnie. Znano go tu małym chłopcem i teraz poznawano odrazu, choć z chłopca wyrósł na młodzieńca. Naprzeciw niego szedł, pogwizdując, młody rzemieślnik w czarnych spodniach, skórzanym fartuchu i czarnej także, mocno zniszczonej kurtce, bo świeciła się z przodu jak lakierowana, a na łokciach przeświecały dziury. Przez koszulę, otwierającą się z przodu, widać było pierś chudą, czarną, ale szeroka jej budowa i potężne ramiona znamionowały siłę. Z pod czapki wyglądała twarz duża, osmolona i dwoje bystrych oczu. Człowiek ten niósł w ręku pęk kłódek na zgiętym w pierścień pręcie żelaznym, i, poznawszy z daleka Jerzego, żwawo postąpił

ku niemu, wołając: — Jerzy, Jerzy! — a gdy młodzieniec, zdziwiony, zwrócił na niego oczy, stanął nagle zmięszany i, zdjąwszy czapkę, wyszeptał nieśmiało:

— To ja, Franek. Jak się pan ma, panie Jerzy!

— To ty! — odrzekł młody Wilczek, uśmiechając się do niego przyjaźnie — nie poznałem cię, taki z ciebie tęgi chłop wyrósł...

— I pan, chwała Bogu, ładnie wygląda.

— No, mój bracie, nie nazywajże mnie panem. Jesteśmy przecież koledzy; siedzieliśmy na jednej ławce w szkole elementarnej i razem zostawaliśmy się na chleb i wodę.

— To było za te ryby, cośmy na nie chodzili z wędką podczas lekcyi — wtrącił ślusarz — i jeszcze nie mogliśmy ich sobie usmarzyć, bo nam je odebrali.

— A tak — odrzekł, śmiejąc się, Jerzy — tobie najwięcej o te ryby chodziło. Mów mi, jak dawniej, po imieniu, a głowę nakryj, bo słońce piecze.

Ślusarz nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, czapkę napowrót z fantazyą nałożył i spoglądając już śmielej na dawnego towarzysza prac i figlów, rzekł z naiwną radością:

— Dziękować Panu Jezusowi, że pana... że cię tam nie przekabacili w świecie, a my tu myśleli, że już pan do nas nie wróci, a jeżeli wróci, to nas pan pewnie nie będzie chciał znać.

— Źle myśleliście o mnie. No, ale powiedz Franek, jak ci się powodzi? Zostałeś, widzę ślusarzem.

— A no tak, bo do czego się człowiek ma wziąć? Stolarszczyzna tylko ordynarna odchodzi, bo co lepsze, to państwo sprowadzają z miasta gubernialnego. Szewcy też nijakiego zarobku nie majom, bo skądciś przychodzi obuwie maszynowe, tańsze od tego, co je szewc w ręku uszyje. Krawcy som ino żydy, to grzech iść do nich w termin kat likowi, a zduny też narzekajom bardzo, bo im ino stare piece przestawiać każe jaki taki, a kto nowy dom stawia, to sobie i materyał i rzemieślników z Prus zwozi, bo granica niedaleka, jakby to nasi nie potrafili tak samo, jak Niemcy. Nawet jak ulice brukujom, to swój zarobić nie może, bo inzinier brukarzy z Warszawy sprowadza.

— Ale tobie roboty nie brak?

— Jest jej tam, chwalić Boga, dosyć, ale ja warsztatu nie mam, ino robię u majstra od sztuki. Już będzie dwa roki, jakem się wyzwolił na czeladnika — dodał z dumą —, ale gdyby nie to, że żona zarabia praniem, toby nam trudno było wyżyć. Chleb drogi i coraz mniejszy, choć zboże tanie. Jak kupimy bochenek trzyfuntowy na dzień, to mówimy sobie, że zjadłoby się więcej, ale kiedy nie ma za co drugiego kupić! A pan, panie Jerzy... a ty co będziesz robił? Powiedział nam pan doktor, że pan... że jesteś bardzo uczony, i my tak sobie mówili z Józkiem, że pewnie pan będzie... że pewnie będziesz księdzem

Jerzy rozśmiał się.

— Księdzem! o nie — rzekł wesoło — nie mam powołania na księdza. Ja także zostałem czeladnikiem, a nawet majstrem.

Franek z zadziwienia aż się uderzył po lędźwiach.

— No, patrzcie się ludzie, czeladnikiem, a od jakiego fachu?

— To jest niby, od prawa: mogę być adwokatem lub rejentem, albo i profesorem.

— Aha! Żeby pan tak... żebyś z nami został, tobyśmy się pana w niejednem mogli poradzić, jako mądrej głowy.

Zegar ratuszowy wybił godzinę dziesiątą: ślusarz złapał się za głowę.

— O la Boga, jak też to czas leci. Ja się tu zagadałem, a majster mi za to głowę zmyje! Bądź pan zdrów!

— Do widzenia rzekł Jerzy życzliwie — przyjdź do mnie Franku do domu, to pogadamy. Powiedz też Józkowi i Antkowi, że chciałbym ich widzieć.

Podał mu rękę: Franek z pewnem zakłopotaniem spojrzał na swoją zasmoloną prawicę, ale, obtarłszy ją energicznie o spodnie, położył na białej dłoni kolegi i serdecznie uścisnął.

A choć wiedział, że mu majster zmyje głowę, nie poszedł prosto odnieść roboty, ale wpadł do Antka, do Józka i do kilku innych jeszcze, żeby im powiedzieć, iż przyjechał młody Wilczek i pyta o swych kolegów ze szkolnej ławy, oraz,

że choć jest taki uczony, że mógłby księdzem zostać i na takiego pięknego pana wyrósł, że to ha! nie zdumniał wcale, ale nazwał jego, Franka, bratem i rękę mu podał, i rozmawiał z nim dobrą chwilę, jak ze swoim równym. Kazał sobie »ty« mówić, jak dawniej — i gdy on, to jest Franek, czapkę zdjął przed nim, jak się należy, bo co pan, to pan, tak on zaraz powiada: »Włóż bracie czapkę, bo słońce piecze«. To tak!

Opowiadanie Franka miało ten skutek, że Jerzy spotkał drugiego, trzeciego, czwartego kolegę i wkrótce towarzyszyła mu już gromada dawnych towarzyszy zabaw, a nawet ich krewnych i przyjaciół. Wszyscy chcieli go widzieć, a on ze wszystkimi witał się serdecznie i wypytywał życzliwie o ich losy. Wszyscy narzekali na mały zarobek, a duże podatki, na drożyznę chleba i żalili się, że mięso jest sprzedawane nad taksę.

— Macie przecież swoich ławników — odezwał się nareszcie Jerzy — im to powiedzcie.

Ten, który najwięcej narzekał, szewc z profesyi, machnął ręką.

— I, i, na co się to zdało! Niemiec Polakowi sprawiedliwości nigdy nie uczyni. Gdyby ławnicy byli z pomiędzy nas, to co innego, ale tam żaden nie jest polskiej wiary!

— Pocóżeście takich wybrali?

Szewc poskrobał się w głowę.

— A, bo jak człowiekowi taki zacznie gadać a obiecować Bóg nie wie co, że podatków nie będzie, że to i owo, tak się da skusić i po-

tem z tego wszystkiego nie ma nic, bo jak ławnikiem zostanie, to człowiekowi potem figę pokazuje.

Jerzy wzruszył ramionami.

— Ha! samiście sobie winni! Ale jeżeli zboże tanie, a chleb drogi, powinniście na ławników wołać, żeby cenę zniżyli; jeżeli waga zła, powinniście wołać; jeżeli mięso sprzedaje się nad taksę, powinniście wołać także. Jeżeli za wielkie nakładają na was ciężary, wołać, wołać i wołać. Nie macie to gęby?

— Aha! to mi potem rzeźnik wcale mięsa nie sprzeda. Byli tacy, co się skarżyli i potem tego żałowali; raz nawet jedna urzędniczka była w takim przypadku, że jej rzeźnicy wcale mięsa sprzedać nie chcieli, a to dlatego, że zaskarżyła jednego.

— I nie było mu nic, hyclowi — wtrącił drugi. — Spisano protokół, pół roku minęło, zanim go wsadzili do kozy; a ona tymczasem byłaby musiała pościć, bo się rzeźnicy z sobą porozumieli, gdyby nie to, że druga dla niej kupowała.

Jerzy zżymnął się.

— Eh! dudki jesteście! Gdybyście się między sobą trzymali i uradzili mięsa nie kupować, dopóki rzeźnicy cen nie spuszczą, to nie wy do nich, ale oniby do was przyszli.

— To prawda, ale kiedy to tak trudno o zgodę: jeden chce tak, drugi inaczej i zawsze się człek boi narazić... Ja u niego mięsa nie ku-

pię, to on do mnie po buty nie przyjdzie, ino do żyda, co sprzedaje te moskiewskie, maszynowe, za psie pieniądze.

Jerzy poklepał go po ramieniu.

— Mój bracie, jeżeli te buty maszynowe są tanie i dobre, choćbyś ty nie raz, ale trzy razy na dzień do niego po mięso chodził, to on do ciebie po twoje nie przyjdzie. A jeżeli buty maszynowe okażą się gałgańskie, a ty robisz obuwie mocne i trwałe, to choćbyś wcale mięsa nie jadał, on je u ciebie kupi. Narzekacie na Niemców i żydów, a pozwalacie im się za nos wodzić: ławnicy są dla was, a nie wy dla ławników! Jak oni mają myśleć o waszych potrzebach, kiedy wy się boicie o własne wasze dobro upomnieć, choć macie do tego prawo? jak mają was szanować, kiedy wy boicie się odezwać, choć wam na głowach kołki ciosają? Coście wy za mieszczanie, co za obywatele! Tchórze jesteście!

Jerzy wypowiedział te słowa z energią, która zaimponowała słuchaczom. Lud korzy się zawsze przed siłą, a siłę tę widzieli w stojącym wśród nich młodzieńcu; więc choć rzucił im w oczy obelgę, nie wzięli mu tego za złe, ale jeszcze wyżej podniósł się przez to w ich oczach.

— Dobrze mówi! — zawołał pierwszy szewc: — ławnicy są dla nas, a nie my dla ławników! Oni nas powinni słuchać, nie my ich, rozumiecie!

— Czy my to nie mamy prawa upominać się o swoje? odezwał się drugi.

— Czy my to nie obywatele? — odezwał się trzeci. — My tu siedzimy z dziada pradziada a te przybłędy psami przyjechały i chcą tu nami poniewierać!

— Poniewierają nami, a bez nas pozdychaliby z głodu, bo gdyby w faterlandzie mieli co jeść, toby tu nie przyszli!

— A nie!

— Nie damy sobie w kaszę dmuchać!

— Nie damy!

— Oho!

— Niech nami uczciwie rządzą, a nie, to...!

— Niech wcale nami nie rządzą. Po co mają rządzić? Niech sobie idą gdzie pieprz rośnie! Co ty będziesz u Niemca uczciwości szukał, kiedy on w Matkę Boską nie wierzy!

— Lepiej ławników wybrać swoich, a ze szwabami precz! A nie podoba się, to marsz do faterlandu! Wolna droga!

— Mądryś! nie wiesz to, że wybory są na czas nieograniczony i że trzeba czekać, aż ci, których wybraliśmy, poumierają?

— Bo ci to który szwab będzie chciał odejść, kiedy sobie gębę zepsuł na polskim chlebie? Tam podobno i piwo nie jest takie czarne jak u nas, ale rzadkie jak lura, a kwaśne, że aż się gęba od niego wywraca na lewą stronę! Głupi by był, żeby chciał. Żeby to ich tak do granicy ciupasem odtransportować, to co innego. Przecie oni naszych wyganiają.

— A to ich wygnać, wygnać, fora ze dwora! Będzie dla nas więcej chleba i nie będą odbierali zarobku naszym rzemieślnikom!

— Fora ze dwora! powtórzyło kilku chórem, — fora ze dwora!

Niejedne oczy ponuro błysnęły, przy tych słowach i niejedna pięść mocniej się w kułak zacisnęła! Jerzy zrozumiał jak to trzeba być ostrożnym w rzucaniu słów, żeby nie rozdmuchać uśpionych namiętności i nienawiści plemiennych; zrozumiał, że lud ciemny, nieoświecony, to materyał palny, który przy silniejszem wstrząśnieniu może wybuchnąć i rozlać się szeroko niszczącem płomieniem. Widział to i postanowił być ostrożniejszym.

— Moi przyjaciele — rzekł spokojnie — nie o to idzie w jaki kto sposób Pana Boga chwali, tylko czy żyje uczciwie i spełnia obowiązki swoje względem siebie i gminy. Wy tu wszyscy wierzycie w Matkę Boską, a czy możecie śmiało powiedzieć, że macie czyste sumienie, że żaden z was nikogo nie oszukał, że nad interes gminy, nie przenosicie własnego interesu, choć sami członkami tej gminy jesteście i w jej ogólnych korzyściach, macie też swoją korzyść? Narzekacie na Niemców i żydów, a wybieracie ich, bo choć sumienie mówiło wam, że to będzie ze szkodą dla gminy, ale ten, co was namawiał, żebyście za nim głosowali, obiecywał pewnie każdemu z osobna jakieś wyłączne dla niego korzyści, przed któremi interes ogólny w kąt poszedł. Czy nie? Co tu gadać!

Jedni głośno, drudzy nieco ciszej zaprzeczali, ale szewc mający na sumieniu sześć funtów cukru otrzymanego w podarunku od Handa i garbarz, który dostał dwa garnce mąki od Liebicha, milczeli.

— A skoro nie jesteście bez winy — nie powinniście też rzucać na nich kamieniami — mówił dalej Jerzy, przytaczając słowa z pisma świętego, co w słuchaczach jeszcze większe dla mówcy zyskało uznanie. — Miejcie odwagę domagać się tego co się wam należy, bez hałasów, bez burd, ale energicznie i stanowczo. Powinniście wziąć się wszyscy za ręce, działać zgodnie i stać przy swojem. Jak ławnicy zobaczą, że umiecie być obywatelami, to będą musieli uszanować waszą wolę. Ale jeżeli jeden nie będzie śmiał ust otworzyć przeciwko drożyźnie mięsa, dlatego, że mu go rzeźnik potem nie sprzeda, a drugi, że u niego butów nie kupi, to nigdy nie będziecie nic znaczyli, a ławnicy będą was wodzili za nos tak jak dotąd. Gromadą działajcie, gromadą, bo człowiek pojedyńczy jest słaby, ale w gromadzie jest siła!

Szczupłe kółko otaczające zrazu Jerzego, zwiększało się powoli; ten i ów przystanął i słuchał. Jeden siwy mieszczanin, kiwający głową od czasu do czasu, na znak, że podziela zdanie mowcy, odezwał się.

— Panie Jerzy! piekarz Lebich jest nietęgi i nie długo pociągnie. Będziemy musieli wybierać nowego ławnika na jego miejsce, więc wybierzemy pana.

— Pan się zna na rzeczy i wie, czego miastu potrzeba. Pan zna prawo, a my, nawet nie wiemy co nam wolno, a co nie; nie mamy nikogo takiego, coby nas tego po ludzku nauczył. Od czasu, jak stryj pański, świeć Panie nad jego duszą, zamknął oczy, nikt się naprawdę o miasto nie troszczy.

— Dobrze mówicie, Garwoliński — zawołał Franek — takiego nam trzeba, coby się znał na prawie. Niech pan z nami zostanie... chciałem powiedzieć, zostań z nami Jerzy, a wybierzemy pana... Pan, chciałem powiedzieć ty, masz w małym palcu więcej rozumu, niż my wszyscy razem w głowie.

— Zasiądziesz tam, gdzie siedział twój stryj i twój dziad — mówił dalej stary. — Wilczkowie bywali zawsze dobrodziejami dla miasta, bądź i ty dobrodziejem naszym i zostań z nami!

— Zrobimy pana naczelnikiem straży ogniowej, na miejsce tego szwaba Bungego, bo po co mamy dłużej słuchać komendy niemieckiej? Teraz właśnie będą nowe wybory; Bunge przez pięć lat z rzędu był wybierany, niech sobie odpocznie.

— Ależ on was organizował, jemu więc ten zaszczyt się należy.

— Cóż z tego! zawsze milej słuchać swojego, niż obcego!

— On nam kładzie coś paskudnego do piwa, zamiast chmielu, żeby było gorzkie. Mówił mi to parobek z jego browaru. Za to samo wart iść precz.

— A nieprawda! zawołał drugi — tam paskudnego nic niema, bo ja się na piwie znam, ino wody leje za dużo!

— Może się lepiej znasz odemnie, co!

— To się wie, że lepiej.

— Ej, bo jak ci dam w gębę, to ci się słono zrobi!

— Spróbuj ino, spróbuj! wołał wyzwany, rozpychając gromadę łokciami i usiłując się dostać do wyzywającego, ale Jerzy powstrzymał go skinieniem i wzrokiem.

— Bunge odbył kampanią francuską i zna doskonale obroty wojskowe, a ja wszystkiego służyłem tylko kilka miesięcy. On was lepiej wyćwiczy!

— A niech ta! my chcemy pana i basta!

— Moi przyjaciele — przemówił Jerzy — poruszony takimi objawami życzliwości — wdzięczny wam jestem za wasze zaufanie i radbym zostać z wami, ale nie mogę. Niema tu dla mnie chleba, muszę go szukać gdzieindziej. Ale póki stąd nie wyjadę, nie poskąpię wam mojej rady. Gdy będziecie chcieli dowiedzieć się czego odemnie, to przyjdźcie, a będę wam rad z całego serca.

— Wiecie co kumie — przerwał mu ślusarz Franek — możemy się spodziewać, że nam chleb stanieje, bo burmistrz pognieważył się z Lebichem.

— A ty skąd to wiesz?

— Jego ciotka mówiła to do mojej żony, że jest na niego zły za to, że nie dostał w tym miesiącu haraczu.

— Jakiego haraczu? zapytał Jerzy.

— A bo widzi pan... widzisz tak: burmistrz z ławnikami co miesiąc ustanawia taksę, a jeden z zaufanych piekarzy zbiera od kolegów składkę dla burmistrza, stosownie do możności. Co kto może to daje. Mniej niż dwa złote, nie może już być. Oto panom piekarzom w tym miesiącu strzeliło coś do głowy, że mu nic nie dali; więc nie może patrzeć na Lebicha, bo to on zawsze zbierał i podobno chce go koniecznie na czem złapać.

— Niech pośle po bułki i zważy je, to go złapie od razu — mruknął Garwoliński.

— Ale! on dla burmistrza największe wybierze!

Rozmowa toczyła się na rynku i byłaby pewnie zwróciła uwagę władz gdyby nie to, że to był dzień targowy; stragany i wozy z nabiałem i jarzynami zasłaniały rozmawiającą gromadkę, a gwar targujących i wołanie przekupek, zagłuszały ich wyrazy. Nie mogło to jednak ujść uwagi burmistrzą, który się po rynku przechadzał i młodsze wieśniaczki szczypał w policzki, prawiąc im tłuste koncepta; to też wkrótce ciemnozielony jego mundur z czerwonym kołnierzem i tu się pojawił. Średniego wzrostu a wspaniałej tuszy, pan burmistrz zwracał uwagę szczególniej swoim potężnym brzuchem i krótką szyją, której zawsze było za ciasno w mundurowym kołnierzu, bo chodził rozpięty.

Łysy, z twarzą trochę czerwoną i rubaszną, nie budził w nikim obawy ani zaufania. Znano

go z tego, że nosił płaszcz na dwóch ramionach i — choć nikomu szkodzić nie lubił, ale też i nikomu nie pomógł. Idąc, kołysał się na grubych a krótkich nogach i zdaleka już kłaniał się Jerzemu.

— Czołem, panie Wilczek, czołem! Widzę, że pan nie tracisz czasu, bo od pierwszego dnia zaraz pracujesz na popularność w Kozłowie.

— Witam pana prezydenta — odrzekł młodzieniec, odpowiadając ukłonem na ukłon. — Jakże tam pan znalazł mój paszport? w porządku?

— Nie miałem jeszcze czasu rozpatrzyć się w nim — odpowiedział, choć to nie było prawdą, bo go już oglądał. — Czy wolno wiedzieć, co była za narada?

— Właśnie mieliśmy iść do pana prezydenta.

— Do mnie? a o cóż to idzie? zapytał zdziwiony.

— Kozłowianie narzekają, że Lebich ich krzywdzi na wadze bułek i chleba, więc radziłem im, żeby szukali opieki u pana prezydenta, jako gospodarza miasta.

— Krzywdzi nas ten łotr, panie prezydencie! — zawołał Franek — zboże jest za bezcen, bo nawet żydy kupować go nie chcą, a chleb drogi, i jeszcze nie waży tyle ile powinien!

— Niech pan prezydent nie pozwala na krzywdę biednych mieszczan — zawołał drugi.

— Do kozy tego oszusta! — krzyknął trzeci.

Burmistrz uśmiechnął się. Sprawa ta była mu dziwnie po myśli; to co słyszał, dogadzało jego tajemnym pragnieniom, ale udał obojętnego. Pogładził się po brzuchu i rzekł:

— Panowie obywatele: dobro miasta jest moim celem i staram się nad niem czuwać o ile to jest w mojej mocy.

— Wiemy! wiemy!

— Ale nie mogę także pozwolić, aby ubliżano dobrej sławie obywatela, tak szanownego jak pan Lebich, bez żadnych przeciwko niemu dowodów. Niech który z was pójdzie do piekarni i kupi funt chleba czy bułek, ale nie mówiąc dla kogo, to je zważymy na wadze miejskiej przy świadkach. Proszę panów z sobą do ratusza. I pan chodź także z nami, panie Wilczek, spiszemy protokół.

Dwaj mieszczanie i Jerzy poszli z burmistrzem, a jakiś stolarczyk skoczył po bułki i wkrótce z niemi przyleciał. Położono je na wadze miejskiej i przekonano się, że brakowało aż ćwierć funta. Burmistrz sam spisał protokół a podpisali go nie tylko świadkowie ale i jeden ławnik znajdujący się tam przypadkiem, Hand, bo burmistrz chciał, żeby wszystko było zrobione jak najformalniej. Jerzy podpisał się też jako świadek.

Gdy wyszedł z ratusza, gromadka mieszczan oczekująca na rezultat wagi, otoczyła go zaraz. Młodzieniec opowiedział im co się pokazało i co zostało zrobione, dodając, że piekarz ukarany będzie aresztem. Wiadomość ta wywołała wielką radość, a Franak zawołał:

— Patrzcie, jaką ten nasz Jerzy ma mądrą głowę! Ledwie się pokazał na ulicy, już to zrobił, że będziemy mieli większe bułki. Wiwat Jerzy Wilczek!

I wyrzucił czapkę w górę.

Burmistrz, który stał we drzwiach, spodziewając się podziękowania mieszczan dla siebie jedynie, i to podziękowania gorącego, zmarszczył się na ten wykrzyknik, a na szerokiem jego obliczu rozlał się wyraz niechęci. Przypomniał sobie, że zanadto pośpiesznie przejrzał paszport Jerzego i że zdaje mu się iż był niezupełnie w porządku.

VII.

Jerzy wrócił w wybornym humorze do domu, i opowiedział zaraz paniom o owocach swojej pierwszej wyprawy na rynek Kozłowa. Przyjęły one tę wiadomość z różnem wrażeniem. Jadzia objawiła głośno swoją radość i zachęcała kuzyna do pozostania w mieście na zawsze; stryjenka, choć pochwaliła go za to co uczynił, wstrzymała się od wszelkich namawiań. Znała ona dobrze charaktery mężczyzn z rodu Wilczków i wiedziała, że jeżeli na coś nie zdecydują się od razu, najlepiej ich zostawić własnemu rozmysłowi. Mieli w sobie ducha przekory; namawiani, trzymali się tem uporniej przy swojem.

Przy pierwszej z synowcem rozmowie, rzuciła nasiona myśli, które powoli kiełkować w nim miały, podsycane wpływami otoczenia: resztę zostawiała Opatrzności, usunąwszy się sama na stronę. I pokazało się, że postąpiła trafnie; milczące zachowanie się stryjenki, wobec gorących namawiań kuzynki, wywarło już pewien skutek. Jerzy był podrażniony tą rzekomą obojętnością i przypomniał sobie z goryczą wczorajsze jej słowa: Jedź do Paryża Jerzy, »Polska nic na tem

nie straci«. I przyszła mu szalona ochota pokazać wszystkim, podczas krótkiego swego tutaj pobytu, że właśnie straciłaby wiele... a sam ten wyraz »straciłaby« dopuszczający możliwość pozostania, dowodził, że w niewzruszonem wczoraj postanowieniu, zrobił się już pewien wyłom.

Przy obiedzie, który Jerzy jadł z apetytem, był wesoły, rozmowny i rzucał iskrzące dowcipy, a gdy jeszcze wypił dwa kieliszki wina węgierskiego i zapalił cygaro, świat wydał mu się pięknym jak nigdy, choć ten świat znajdował się na partykularzu. Świadomość, że wdaniem się swojem w sprawy miejskie spełnił czyn dobry dla współobywateli, napełniała go niewinną dumą i poczuciem własnej wartości. Wszystkie kłopotliwe myśli odsunął od siebie, postanawiając używać wakacyi w całem znaczeniu tego wyrazu, a resztę zdać na los.

Tak upłynęło dni kilka: Jerzy nie myślał o Paryżu, tylko żył teraźniejszością, a teraźniejszość wydawała mu się wcale miłą. Chodził po ogrodzie z Jadzią, grał z nią na 4 ręce, czytał, rozmawiał z doktorem i kuzynką o sprawach miejskich, a rankami polował w mokradłach na dzikie kaczki, w których to wycieczkach towarzyszył mu zawsze pies doktora, wybornie do polowania ułożony. Około dziesiątej wracał zwykle z przytroczoną do torby zwierzyną, którą z dumą oddawał Getrudzie.

W mieście była cisza zupełna, tylko między uboższą rzemieślniczą ludnością odbywały się

czasem rozmowy, jakich dawniej nikt nie prowadził w Kozłowie. Mieszczanie przystawali na ulicy i gromadzili się po dwóch, po trzech, po czterech i gawędzili półgłosem, a jeżeli który z ławników pojawił się w bliskości, milkli i rozchodzili się wkrótce. Z magistratu nikt nie przychodził do domu pani Wilczkowej w interesie kwatery, i Jerzemu już zdawało się, że to były »strachy na Lachy«. Jadzia tylko nie była spokojną, a cisza ta budziła w niej czasami przeczucie burzy.

Jednego dnia Jerzy wracał z wycieczki z obfitszym niż zwykle połowem, bo niósł aż dwie sztuki przytroczone do torby i cieszył się zawczasu wrażeniem, jakie ta zdobycz sprawi na wszystkich domowych, a zwłaszcza na Getrudzie, tem bardziej, że oba ptaki choć młodziutkie, były dobrze odżerowane. Szedł przyśpiewując sobie piosenkę myśliwską, a dźwięczny jego silny głos rozlegał się po łące...

Dzień zapowiadał się upalny, ale jeszcze wszystko oddychało świeżością poranku. Łąka błyszczała od rosy, a jaskry i niezapominajki świeciły w słońcu, jakby je kto posiał brylantami. Buty Jerzego sięgające do kolan, nosiły na sobie ślady chodzenia po błotach i moczarach; pies równie jak pan, obłocony, biegł przodem z dorównywującą panu fantazyą, a nie mogąc śpiewać — wesoło sobie od czasu do czasu poszczekiwał. Im bliżej domu był Jerzy, tem większa w psa wstępowała ochota: biegł pędem kilkadzie-

siąt kroków, stawał, patrzył na Jerzego i nie mogąc się go doczekać, pędem znowu do niego wracał i szedł jakiś czas obok, patrząc naprzemian na niego i na kaczki, jakby chciał mówić; Żeśmy się spisali, to spisali! co też to o nas dziś w domu powiedzą!...

I znowu ruszał naprzód z wywieszonym ozorem, żeby znowu po chwili wędrówkę odwrotną powtórzyć.

Daleka wycieczka nie utrudziła Jerzego — przeciwnie, czuł się po niej fizycznie i moralnie raźniejszym, tylko głód mu coraz bardziej dokuczał, więc z przyjemnością myślał o śniadaniu. Ujrzawszy zdaleka parkan ogrodu pani Wilczkowej, przyśpieszył kroku.

U furtki stała Jadzia, jakby czekała na niego, a Jerzy spostrzegłszy ją, uczuł żywsze uderzenia serca i pomyślał sobie, iż nieźle byłoby, gdyby się to tak codzień, zawsze, do końca życia powtarzać mogło.

— Dzień dobry kuzynko — odezwał się wesoło, a uśmiech jego i wyraz twarzy pokazywały, jak miło było mu na nią patrzeć.

Jadzia odpowiedziała mu bladym uśmiechem na uśmiech, a w oczach jej był niepokój. Ale Jerzy tego nie zauważył na razie. Ucałował podaną sobie rączkę i mówił dalej.

— Miałem dziś kapitalną wyprawę! wstałem o trzeciej rano i gdy słońce wschodziło, byłem już pod lasem. Szedłem ciągle brzegiem rzeki i tak doszedłem do chaty rybackiej, za którą są

kępy i gęsto rosnące sitowia. Myślę sobie: tam będą dzikie kaczki. Gdyby tak można zajść je z nienacka! Ale ty mnie nie słuchasz?

— Owszem, słucham cię; mów dalej.

— Tak sobie myślałem; ale cóż, jak się tam dostać bez szelestu, kiedy najmniejszy ruch w trawie, płoszy ptactwo! Wtem widzę na brzegu łódkę przyczepioną do drzewa, a przy niej wiosło. Wskakuję do niej, pies za mną, odbijam i płynę wprost między kępy, a ruch wiosła nie sprawia głośniejszego szelestu, nad szelest ryby pluskającej w wodzie. Ale ty mnie nie słuchasz?

— Ależ słucham! Cóż dalej było?

— Podjeżdżam pod same kępy i widzę stado kaczek przysiadłe w sitowiu i nieprzeczuwające niebezpieczeństwa. Mój pies skacze w wodę, a całe stado zrywa się przestraszone. Mierzę, strzelam, i jedna kaczka bęc, spada napowrót w wodę. Przewraca koziołka, chwilę słychać trzepotanie skrzydeł i pies mi ją przynosi. Wtem druga, która widocznie pozostała w sitowiu, podlatuje, ale jakoś słabo, i tę trafiłem od razu. Byłem rad, że nie towarzyszyłaś mi na polowanie, Jadwisiu, bo przy tobie nie mógłbym z tak spokojnem sumieniem zabijać. Mówiłabyś zaraz, że pogrążę całą familię w żałobie, że mają dzieci... A bardzo być może, że je miały, bo słyszałem w sitowiu pisk i trzepotanie. Więcej już nie strzelałem, bo całe stado zakotłowawszy się w powietrzu, zniknęło, a i tak spisaliśmy się ładnie. Prawda piesku?

Pies, który podczas opowiadania pana, patrzył mu w oczy, kręcąc ogonem, szczeknął potwierdzająco, a Jerzy pogłaskał go.

— Spojrzyj tylko, co za wspaniała sztuka! — mówił, podnosząc ptaka w górę. Co za pierś! Trafiłem w samo serce. Ale co tobie jest Jadwisiu? Czy cię wzruszyło moje opowiadanie? One dzieci nie miały, przysięgam ci, a ten pisk w trzcinie, to było proste złudzenie! To są do piero podlotki zaledwie wypierzone, które jeszcze wartości życia nie znały.. A choćby nawet tak było, to czyż nie lepiej, że zginęły przed utratą ideałów i złudzeń młodości i przed poznaniem psich zdrad i podstępnych zamiarów człowieka! Ale ja już widzę, że tobie coś jest... Czy stryjenka zachorowała?

— Nie, tylko kwatermistrz przysyłał dowie dzieć się, czy się już przeniosła na drugą stronę, bo pułkownik za kilka dni przybędzie.

Jerzy zmarszczył brwi.

— Jakąż dałaś odpowiedź? — zapytał.

— Że stryjenka nie ma zamiaru wyprowadzać się ze swego mieszkania.

— Dobrze.

— Policyant odszedł, ale po chwili wrócił z zaproszeniem dla ciebie na posiedzenie deputacyi kwaterniczej, do ratusza. Odbędzie się ono o godz. jedenastej.

— Hm! dziwi mnie to, że mi wyświadczają ten zaszczyt. Wiedzą przecież, że nie jestem właścicielem tego domu.

— Ale oświadczyłeś kwatermistrzowi w mojej obecności, że jesteś Wilczkiem i masz prawo bronić interesów domu Wilczków. Wzięli cię za słowo, a może mają jakiś cel ukryty...

— Bardzo dobrze, czy stryjenka wie o tem?

— Nie!

— Doskonale. Każ mi dać śniadanie, bom bardzo głodny.

Budynek ratuszowy w Kozłowie, miał charakter niejednolity, okazujący, że się na niego różne czasy składały. Był to ciężki, niezgrabny czworobok, z gotyckiemi oknami i wysoką wieżą z zegarem. Fasada jego widocznie za czasów stanisławowskich przebudowywana, ozdobiona została, a raczej zeszpecona przystawką wspartą na dwóch greckich kolumnach, co wyglądało przy całości, jak kwiatek przy kożuchu. Przystawka pokryta była blachą, gdy resztę dachu pokrywała stara, szczerniała, mchem tu i owdzie porosła dachówka. Na wieży pod dachem, a nawet w przystawce, setkami gnieździły się wróble, a tak były oswojone, że nie bały się odgłosów bębna i fruwały świergocąc wesoło, nad bagnetami żołnierzy.

Sala radna magistratu mieściła się na górze, bo cały dół zajęty był na pomieszczenie więźniów i na odwach.

Prowadziły do niej kamienne, dobrze już wydeptane schody i duże drzwi dębowe z żela-

znem okuciem i zamkiem, ozdobionym wytworną ślusarszczyzną, przedstawiającą winne liście splątane z koźlemi głowami. Sala była obszerna, sklepiona, a okna zakratowane i głęboko osadzone w murze, grubym na półtrzecia łokcia, wpuszczały skąpe światło do środka, co nadawało jej poważny, ponury prawie charakter. Skutkiem tego, pomimo trzech okien, środek tylko bywał oświetlony jako tako, a kąty pogrążały się w ciemnościach. Czuć tu było stęchliznę i wilgoć, a mury nie rozgrzewały się nawet wśród największego upału. Dlatego to może wystawiono tu niegdyś z kolorowych kafli olbrzymi komin, na którym dawniej płonęły całe kłody drzewa — ale obecnie, czy to dla drożyzny tego materyału opałowego, czy dla innych jakich przyczyn, nie użytkowano już tego komina, tylko postawiono tuż obok niego niezgrabny piec z cegieł i pobielono go wapnem, a komin patrzył wciąż na salę swoją pustą okopconą niegdyś od ognia paszczą, paszczą tak ogromną, że mógł był w nią schować się człowiek. Stawiano w nim różne niepotrzebne drobne rupiecie, i dla przyzwoitości zasłaniano starą politurowaną deską, której ornamentacya wskazywała, że pamiętała świetniejsze czasy, będąc częścią składową jakiegoś rzeźbionego sprzętu. Pod ścianami stały szafy gdańskie, zapełnione aktami miejskimi: u niektórych zupełnie drzwi brakowało, a u innych tylko jednej połowy, ale były i całe, na klucz zamknięte. Rzeźby zdobiące te szafy, pokryte były grubo

kurzem, a gzymsy powyłamywane, boki zaś pokaleczone gwoździami, zastępującemi wieszadła. Gdyby ci, co gospodarowali ruchomościami magistratu, znali byli wartość tych zabytków, jużby ich tu nie było — ale dzięki ich nieświadomości pod tym względem, zachowały się dotąd.

Na ścianach, ponad szafami wisiały portrety kilku burmistrzów, a między nimi portret dobroczyńcy miasta i fundatora kościoła, Jerzego Wilczka, który rządził miastem przez lat czterdzieści i miał ten zaszczyt, że przyjmował w jego murach dwóch królów. Była to twarz rozumna, ale groźna, a czerwona delia z sobolowym kołnierzem i złoty łańcuch na szyi, uzupełniały charakter oryginalnej postaci. Naprzeciw tego obrazu, na miejscu najwidoczniejszem, wisiał drewniany krzyż, a pod nim portret panującego cesarza, w otoczeniu jego koronowanych poprzedników. Niegdyś wisiały tu portrety królów, ale je na strych wyniesiono. Dziwnem się może zdawać niejednemu, że ten sam los nie spotkał burmistrzów; ale burmistrze nie mieli takiego znaczenia, żeby aż warto ich było skazywać na wygnanie, a zakrywali mocno już zniszczone ściany i pozwalali niejako fundusze, przeznaczone na konserwacyę budynku, obracać na pilniejsze potrzeby, wedle uznania burmistrza. Ściany zatem, jako od góry do dołu zakryte szafami i obrazami, nie raziły niczem, tylko sufit raził trochę swoim szarym kolorem, a pomalowane na nim aniołki trzymające herb miasta, miały wybladłe

od wilgoci twarze i puste otwory zamiast oczów. Burmistrz już nieraz sobie mówił, że trzeba ten sufit pobielić, ale odkładał to z roku na rok; tymczasem pająki snuły swobodnie w jego zagłębieniach przędzę i przysłuchiwały się obradom, łapiąc muchy dla rozrywki.

Na samym środku sali, stał podłużny stół okryty czerwonem suknem, pokapanem stearyną i poplamionem atramentem, a na stole stał duży żelazny krucyfiks, leżały papiery, stała puszka blaszana z pieczęcią miasta i duży ciężki metalowy kałamarz z paczką piór. Stół otaczały krzesła rozmaitego kalibru, bo było tam parę wyplatanych, jedno miękkie, kilka prostych drewnianych stołków i jedno duże krzesło dębowe z poręczami i wysokim grzbietem gotyckim. W zdobiącej je rzeźbie, widać było często powtarzające się wilcze głowy i wilcze łapy na krzyż złożone, herb rodu Wilczków, co dawało przypuszczenie, prawie pewność, że było niegdyś własnością sławnego burmistrza. Ale nikt na niem nie siadał, bo otyły burmistrz Czarkow nie zmieściłby się między jego poręcze, a dla naczelnika powiatu, bywającego często na posiedzeniach, stał tam umyślnie miękki, wyścielany fotelik. Skoro zaś ci najwięksi dygnitarze miasta na krześle burmistrzowskiem nie siadali, nie śmiał też usiąść na niem nikt inny i stało zawsze puste. Czasami kładziono na niem akta, które potrzebowano mieć pod ręką. Dwie wielkie ławy dębowe, stojące niegdyś po obu stronach stołu, podsunięte pod ściany,

służyły za stoły do papierów nie mogących się już w szafach pomieścić. Stosy tych papierów leżały też na podłodze, pod szafami i na piecu.

Podłoga sama znajdowała się w nader smutnym stanie, kawałami spruchniała i pokryta plamami atramentowemi. Z całej tej sali wiało jakieś tchnienie wieków średnich, a kilka sprzętów nowoczesnych, jakie się tam znajdowały, wyglądały jakby przypadkiem zabłąkane.

W tej to sali, przy stole, siedzieli w tej chwili członkowie deputacyi kwaterniczej. Na honorowem miejscu, w fotelu pod ścianą ozdobioną portretem cesarza, zasiadł naczelnik powiatu, Gonczarow. Nie należał on wcale do składu deputatacyi, ale uważał tę instytucyę za tak ważną, że pozwalał sobie czasami prezydować na obradach. Szczupły, nerwowy, z wykwintnemi manierami, pielęgnował ze szczególną starannością swoje paznokcie, których kształt i połysk były przedmiotem nieustanej jego troskliwości i uwagi. Gdy wyciągnął białą, delikatną, chudą ale wypieszczoną jak u kobiety rękę, z długimi palcami, brała poczciwych mieszczan kozłowskich pobożna obawa — był bowiem w tej ręce charakter, był wyraz mówiący, że pan naczelnik umie sięgać głęboko i co ujmie, to dobrze trzyma. Twarz ściągła, bladawa, miała pewną arystokratyczną dystynkcyę, a jasno blond faworyty wpadały w kolor kasztanowaty. Duża łysina podwyższająca jego czoło, nadawała mu wyraz myślący i rozumny. Brwi były rzadkie, zaledwie widoczne, skóra pod

niemi po każdem silniejszem wzruszeniu nabiegała krwią, co zawsze niedobrym bywało znakiem, a nerwowe przyzwyczajenie do mrugania oczami, nie pozwalało w nie patrzeć swobodnie. Na bladych wązkich ustach spoczywał zawsze uśmiech dyplomatyczny.

Miał on wielką pretensyę do znajomości ludzi i położenia, i pragnął odegrać rolę polityczną, mogącą go podnieść na wyższy stopień w hierarchii urzędniczej. Marzeniem jego było przekonać Polaków o potrzebie porzucenia wszelkich marzeń, zlania się z wielką wszechrosyjską całością; wyrozumowawszy sobie, że ważnym środkiem do urzeczywistnienia tego planu, będzie zbliżenie towarzyskie dwóch stroniących od siebie wzajemnie żywiołów, dawał od czasu do czasu bale.

Dotąd nie udawało mu się to jakoś, a choć to niepowodzenie niejedną kroplę goryczy wsączyło do jego serca, pragnącego całą Słowiańszczyznę objąć w jednym uścisku, nie tracił jednak nadziei, ale pracował dalej w obranym kierunku, powtarzając sobie przysłowie, jakiego się podczas pobytu w Polsce nauczył: »Nie od razu Kraków zbudowany«. Nie opuszczał więc rąk, ale szukał różnych sposobów do urzeczywistnienia swoich ideałów. Gdy który obywatel wiejski przyjechał za interesem do biura powiatu, zapraszał go do swego salonu, obsypywał grzecznościami i obiecywał przyjechać na polowanie, którą to obietnicę następnie święcie wypełniał. Pani naczel-

nikowa wskutek tego miewała tyle zwierzyny, że prawie odzwyczaiła się od wołowiny i cielęciny. Na tych polowaniach Gonczarow zapijał z upodobaniem miód staropolski i pierwszy wznosił toast: »Kochajmy się«. Pochlebiał sobie, że mu to wyrabiało popularność; to też wydziwić się nie mógł, że mimo tej popularności, szlachta nie brała udziału w jego balach. Ktoś mu jednak wytłómaczył, że szlachta polska jest na wskróś ideami arystokratycznemi przejęta i nie lubi się łączyć z mieszczanami. Wydał więc bal oddzielnie dla samej szlachty; ale zdarzyło się tak nieszczęśliwie, że u jednego szlachcica był pożar, a wszyscy bliżsi i dalsi sąsiedzi tak głęboko jego klęskę odczuli, że nie mogli przyjąć zaproszeń i bal świecił pustkami. Gdy się temu dziwował Gonczarow, rozumiejący do pewnego stopnia sąsiadów, w bliższych z tamtym żyjących stosunkach, ale nie pojmujący dlaczego dalsi się nie stawili, wytłómaczono mu znowu, że szlachta polska ma owczą naturę: co jedna owca zrobi, to zaraz wszystkie za nią.

Literatura miała w nim wielkiego protektora: poważał Dostojowskiego, cenił Szczedryna, ale uwielbiał tylko jednego Katkowa, za jego talent, jak mówił — choć nie zgadzał się z nim w wielu punktach, zarzucając mu zbyteczną krańcowość. Gonczarow lubił we wszystkiem równowagę i jakkolwiek łączył się chętnie i jawnie z »zapadnikami«. w gruncie jednak był »samobytnikiem« a wszystko to powlekał pokostem »słowianofilstwa«,

godząc w swej duszy z rzadką sztuką trzy narodowe stronnictwa. Rozpowszechniał jak mógł wszechsłowiańską kulturę, polecając swoim urzędnikom prenumeratę »Moskiewskich Wiedomosti«. Od czasu, jak on rządził powiatem, przychodziło do Kozłowa aż dziesięć egzemplarzy tego pisma.

Taki to człowiek siedział na głównem miejscu w sali radnej. Obok niego po prawej ręce, pierwszy zajął miejsce burmistrz Czarkow, którego postać okazała, korpulentna i twarz rumiana, była istnem przeciwieństwem pana naczelnika. Ten nie szukał innej popularności jak przy kieliszku, a nie marzył o innej roli politycznej, nad utrzymanie się na stanowisku jakie, zajmował, bez ściągnięcia na siebie niezadowolenia jednej ze stron, pomiędzy któremi wisiał: rządzącej i rządzonej. Stąd można go było porównać do wahadła kołyszącego się ustawicznie w tę i ową stronę, i tem właściwiej, że z powodu otyłości pochylał się zawsze w stronę postępującej nogi. Dwa żywioły, o których połączeniu marzył naczelnik, złączone były właśnie w osobie pana burmistrza, syna Polki i Rosyanina — a on sam pracował bardzo nad tem, aby zachować między niemi należytą równowagę; że zaś było to zbyt trudnem, więc naprzemian to jednej to drugiej stronie dawał przewagę, stosownie do okoliczności. Z Polakami był Polakiem i choć milczał, bo w mówieniu bywał zawsze ostrożnym, głębokie z swej potężnej piersi wydobywał westchnienia i wtedy mówił sobie, że się w nim

odzywa krew matczyna. A gdy się w gronie Rosyan znajdował, gdzie nie było ani jednego Polaka, wtedy wymowie swej swobodne puszczał wodze i odzywała się w nim »szeroka natura«. Był to głos krwi ojcowskiej. Jak już wspomnieliśmy, człowiek ten nie lubił nikomu wchodzić w drogę, nikomu szkodzić, zwłaszcza jeżeli sam na tem nie korzystał i każdą sprawę wolał zawsze zgodnie załatwić. Jeżeli chodziło o jakiś interes drażliwy, wolał się wyręczać kim innym i umiał zawsze w porę zachorować. Siłą inicyatywy nie grzeszył, bo umysł miał ciężki. Dla tej może przyczyny miłował nad wszystko spokój i niczego nie obawiał się więcej, jak wszelkich zaburzeń wewnętrznych w kraju, jak wszelkich buntów i wojen, bo olbrzym ten nie miał wcale odważnego serca. Mieszczanie nie lubili go, ale nic też tak bardzo przeciw niemu nie mieli, mówiąc:

— Wiemy jaki ten jest, a nie wiemy jakiegoby nam dano na jego miejsce.

Pomimo ciężkiego umysłu, nie brakło burmistrzowi pewnej przebiegłości, której też nie mało ciągle potrzebował, nosząc płaszcz na dwóch ramionach. O swoje zdrowie nader był troskliwy i choć wyglądał jak tur, narzekał na piersi i pijał kozie mleko, tak zwane »prosto od krowy«, a zjadliwi ludzie mówili o nim, że »doi kozę«. Kto zaś aluzyi zawierającej się w tych wyrazach na razie nie zrozumiał, temu dodawano sposobem objaśnienia, że burmistrz choruje także na głowę

i słabą miewa pamięć, na dowód czego przytaczano następującą anegdotkę: Pewien mieszczanin chcąc u siebie w dziedzińcu wystawić obórkę i uniknąć formalności, jakich dopełnić trzeba przy wyrabianiu pozwolenia inżyniera na to i długich starań przez magistrat, wybrał krótszą drogę: przyszedł zameldować o tem burmistrzowi — wiedział bowiem od innych, będących nieraz w takiem również położeniu, że ustne zezwolenie wystarcza. Pan burmistz jednak wysłuchawszy interesu, zapytał: — Coś pan za jeden? — Jakto? — pyta tamten zdumiony — pan prezydent mnie nie zna? Ja jestem ten a ten! Burmistrz pokiwał głową mówiąc: Nie! ja cię nie znam kochaneczku, jak cię kocham, tak cię nie znam wcale. Mieszczanin myślał, myślał, myślał, nareszcie skoczył po rozum do głowy, zanurzył rękę w kieszeń i wyciągnął stamtąd ryty na stali portret cara Aleksego i gdy go pokazał burmistrzowi, tamten zawołał zaraz zachwycony taką lojalnością interesenta. — A! teraz to cię znam, ty jesteś Psarski!

Po lewej stronie naczelnika, naprzeciw burmistrza, siedział znajomy nam już sekretarz policyi i zarazem kwatermistrz Kurtz, a drobna jego figurka niknęła w porównaniu z tymi dwoma dostojnikami, z których jeden cienki i długi wyglądał jak tyka, a drugi był pękaty jak beczka. Jeżeli jeden i drugi odznaczali się pewną inteligencyą administracyjną, to on, niepozornie wyglądający na pierwszy rzut oka, odznaczał się

bystrością i rozwiniętą, a raczej nabytą w długoletniej służbie policyjnej, zdolnością wszystkowidzenia. Naczelnik zapalał się namiętnie do swoich idei; burmistrz choć ociężały, wybuchał czasami jak siarka w jednej chwili, żeby w tejże chwili zagasnąć — a kwatermistrz powściągliwy, ostrożny, noszący w sobie głęboko ukryte swoje uczucia i urazy, pomysły i plany, nie unoszący się nigdy, a zawsze rozważny, przywodził na pamięć tych żołnierzy Moltkego i Steinmetza, co to po bitwie nie zapomnieli nigdy nie tylko poprzyszywać sobie brakujących guzików, ale zabierali nawet guziki pogubione przez Francuzów.

Kto wie, czy nie te guziki właśnie zbudowały gmach potężnego cesarstwa niemieckiego? Kurtz był także żołnierzem wielkiej armii: nie tej wprawdzie co pod Sedanem walczyła, ale innej niemniej ważnej, która przygotowywała zwycięztwo dla tamtej, swoją cichą, niewidoczną a pracowitą działalnością. Urzędnik rosyjski nie zapomniał ani na chwilę, że był Prusakiem.

Za nimi po obu stronach stołu siedzieli jeszcze inni członkowie deputacyi kwaterniczej, wybrani z pośród mieszczan. Najprzód Fryc, handlarz drzewa budulcowego, tęgi mężczyzna, którego powierzchowność cała, twarz i ubranie, pokazywały, że był w dobrym bycie i że mu towarzyszyło nieustanne z siebie zadowolenie. Bo i jakże nie miał być zadowolonym, kiedy fortuna jego wzrastała ciągle; cywilizował on kraj po swojemu i szerzył kulturę niemiecką jak umiał.

bo kupując za bezcen lasy od szlachty zadłużonej, wyrębywał je i wysyłał wodą do Prus. Dzięki jego sprężystości i energii tam, gdzie przez wieki całe była cisza przerywana tylko szelestem liści i śpiewem ptaków, rozlegały się odgłosy siekier, tarcie pił, znamiona przemysłu i ruchu handlowego, a gdzie były ciemności okiem nieprzejrzane, igrały teraz swobodnie promienie słońca.

Dzięki jemu, szlachta miała za co wyjeżdżać za granicę, a lud wiejski miał zarobek. I to był także żołnierz wielkiej armii, bo gdy kraj ogołocony zostanie z lasów, a ziemia pozbawiona tych naturalnych zbiorników wilgoci, sprowadzających deszcze, wyschnie i przestanie rodzić pszenicę; gdy szlachta nie mogąc się na roli utrzymać wyprzeda swoje majątki — wtedy przyjdą gromadami koloniści niemieccy, kupią ziemię za bezcen, zasadzą na nowo lasy i wrócą ziemi rodzajność, ziemi, na której już panować będą. Ale pan Fryc nie miał tak rozległych widoków; on poprostu myślał tylko o tem, jak majątek powiększać, a miał głowę do interesów dobrą. Opinii politycznych nie wyznawał żadnych, ale trzymał się tej strony, po której była siła, bo ona dawała mu opiekę; o względy słabszej nie dbał wcale, bo i po co miał dbać, kiedy mu ona nie była potrzebną? Od lat dwudziestu pięciu mieszkał w Kozłowie za pruskim paszportem; synowie zaś jego jeździli do Prus odbywać służbę wojskową i stamtąd sobie żony przywozili,

nie było zatem ani jednej nici łączącej go z krajem, którego chlebem żył przez ćwierć wieku. Obok wielkich przymiotów narodowych, jak pracowitość i oszczędność, miał Fryc słabość wielką do honorów. Rad przestawał z figurami urzędowemi i czuł się szczęśliwym, jeżeli pan naczelnik zrobił mu tę łaskę i wyciągnął do niego swoją białą delikatną rękę. Był on naczelnikiem deputacyi kwaterniczej.

Obok Fryca siadywał zawsze młynarz Hoehne, jasny blondyn z piegowatą twarzą i zaspanemi oczyma, człowiek flegmatycznego temperamentu i myślący o tem tylko, jakby przy ogniu publicznym upiec swoją własną pieczeń i podlać nawet, jeśli się da, sosem z innego spływającym mięsa. Cichy, powolny, mało mówił ale dużo myślał i wymyślił nieraz więcej, niż ci, którzy dużo gadali. On także opinii politycznych nie miał i uważał je za głupstwo, ale fortunę gromadził i wprawiał w podziw mieszczan ciągłem jej powiększaniem, przez przykupywanie ziemi. Miał pięciu synów ożenionych i dla każdego wybudował oddzielny folwark. Te pięć kolonij było to pięć pruskich placówek, bo i sam Hoehne i jego synowie mieszkali w Królestwie za paszportami.

Piątym nakoniec członkiem deputacyi kwaterniczej był żyd Hand. Na pochwałę jego powiedzieć należy, że choć brał udział we wszystkich sprawach miejskich, nie lubił się naprzód wysuwać i siadywał zawsze skromnie na końcu.

Był to człowiek średniego wzrostu i średniego wieku, szczupły, bladawy, z cerą chorobliwą, wypukłemi, czarnemi oczyma z lekko zaczerwienionemi obwódkami. Nos miał długi i cienki, usta wązkie, uśmiechające się rzadko, przyczem widać było zęby białe jak perły. Rzadkie, czarne kędzierzawe włosy przylegały mu do skroni, a bródka śpiczasta wpadała w barwę rudawą i także była rzadka. Niezmiernie ruchliwy nie mógł spokojnie usiedzieć i kręcił się ciągle na swojem krześle, a oczy jego biegały niespokojnie po obecnych. Jego opinie polityczne, choć odznaczały się lojalnością względem rządu, stały jednakże po stronie słabszej, z której przeważnie korzystał. Lubił się nawet manifestować ze swoim patryotyzmem, używając od czasu do czasu wyrażenia: »my Polacy«.

Był jeszcze jeden członek deputacyi, restaurator Służalski, ale ten rzadko bywał na posiedzeniach, bo sprawy miejskie, a w szczególności sprawy kwaterunkowe, nic go nie obchodziły.

On się kwatery nie obawiał, bo był tylko lokatorem — ale od godności członka się nie usuwał, bo mu to dawało pewne znaczenie w mieście. Deputacya też nie miała mu tego za złe, bo nawet jego obecność krępowałaby ją w niektórych rzeczach. Taki człowiek, wybrany z żywiołu rdzennie miejscowego, najpożyteczniejszym był właśnie jako nieobecny, bo i swobodę zostawiał deputacyi i chronił ją od zarzutów, jakoby nie miała tego żywiołu na względzie.

Z takich to osób składało się zgromadzenie zasiadające owego dnia w sali radnej. Narada toczyła się w języku miejscowym, bo naczelnik władał nim nieźle i używał go chętnie, chcąc się weń wprawić, uważał to bowiem za potrzene do zyskiwania sobie popularności między szlachtą. Władał nim dobrze i burmistrz — a zresztą, język urzędowy niedostępny był dla pp. Fryca, Hoehnego i Handa, którzy znown mówili dobrze tylko po polsku i po niemiecku; ten znów ostatni język niedostępny był dla burmistrza i nie wypadało im wreszcie używać go, gdy opinia publiczna w Rosyi zwracała się przeciw Niemcom, gdy tu i owdzie przebąkiwano o wojnie, a organ Katkowa zionął nienawiścią dla sąsiadów.

VIII.

— Mój przyjaciel, hrabia Reden, byłby bardzo zadowolony z tego mieszkania, jestem pewny — mówił naczelnik, oglądając swoje paznokcie — bo to wielki miłośnik ogrodu i lubi jadać na świeżem powietrzu. Ale to podobno trudna będzie sprawa!

— Nie było w tem nic trudnego, dopóki mieliśmy do czynienia z samemi kobietami — odrzekł kwatermistrz — bo te nastraszyć bardzo łatwo; ale zjawił się tam jakiś bratanek nieboszczyka i ten nam będzie bruździł.

— Nie wiem, czy tak łatwo byłoby panu trafić do końca z panią Wilczkową — odezwał się burmistrz dobrodusznie. Uciekałeś zawsze od niej, jak dyabeł od święconej wody.

— Mniej jednak niż panowie — odrzekł Kurtz z lekkiem podrażnieniem w głosie — bo żaden z was iść tam nigdy nie chciał, tylko zawsze wysyłaliście mnie. Musiałem jej się jednak nie bać, skoro przeprowadziłem zawsze, com chciał.

— Ale coś się pan przytem nasłuchał komplementów!

— Herod baba! — zauważył naczelnik.

Burmistrz zaczął się śmiać.

— Herod baba — powtórzył — pan naczelnik chyba nigdy jej nie widział. Wysoka, szczupła, zgarbiona staruszka, ale ma w sobie coś takiego, że człowiekowi słowa marzną na ustach. Trzeba widzieć pana kwatermistrza jak z nią rozmawia, byłem z nim raz i wiem, co się z nim działo, bo od śmierci starego Wilczka, Wilczkowa patrzy na niego jak na kata. On sam powiadał, że go ciarki przechodzą, choć się teraz tego zapiera. Mówi stara niewiele, ale co słowo, to duser, a nasz pan Kurtz tak zawsze wymowny, traci wobec niej rezon i wszystkie dusery połyka.

— Mam szacunek dla wieku — odezwał się kwatermistrz — nierad, że burmistrz wywodzi tak szczegółowo tę sprawę przed naczelnikiem.

Gonczarow leciuchno się uśmiechnął.

— Słusznie — rzekł — bardzo słusznie. Należy starszych szanować.

— Ja tam chodzić nie lubię, bo jestem słaby w nogach — mówił dalej burmistrz, udając, że nie widzi niezadowolenia kwatermistrza — i stać nie mogę, a stara Wilczkowa i sama nie siada i siedzieć nie prosi.

— Dumna sztuka! — wtrącił znowu naczelnik.

— Ale ostatni raz, jakoś lepiej udało się panu kwatermistrzowi, bo nie ze starą się widział,

tylko z jej wnuczką, a to mu tak przypadło do gustu, że tego samego dnia jeszcze drugi raz tam poszedł!

Naczelnik po tych słowach obrócił się do kwatermistrza i zapytał:

— Czy ładna?

Zapytany chciał coś odpowiedzieć, ale burmistrz, który dzisiaj widocznie uwziął się na niego, wyręczył go mówiąc:

— Jak malowanie: lica, krew z mlekiem; brew jak aksamit; włos kruczy, a co za oczy!.... Lat ośmnaście najwyżej!

Gonczarow, słuchając tego, zaczął oczyma mrugać bardzo prędko. Był on wielkim wielbicielem płci pięknej i szukał u Polek popularności, tak samo jak u Polaków, ale zaniechał tego od czasu, gdy jedna, której powiedział komplement, odparła ten komplement nader energicznie. Odebrało mu to wszelką ochotę do dalszych prób.

— Nie widziałem tej panny nigdzie — rzekł z widocznem zajęciem.

— Bo ona bywa tylko w kościele — odparł burmistrz — nigdzie więcej. Gdy nasz pan kwatermistrz poszedł tam drugi raz, znalazł na stanowisku kuzynka, który się z nim bardzo krótko rozprawił i jak sam utrzymuje, został nawet przez tego młodzieńca obrażony.

— Przepraszam pana prezydenta — to wcale nie ja Fryderyk Kurtz, zostałem obrażony, tylko obrażono w mojej osobie urzędnika, i cały

magistrat powinien to wziąć do serca. Trzeba nauczyć rozumu tego młokosa. Wezwałem go tu na posiedzenie w imieniu deputacyi, na godzinę jedenastą: powinien nadejść lada chwila. Zobaczymy, czy wobec pana naczelnika będzie miał tę samą śmiałość.

To mówiąc, spojrzał na zegarek.

— Pan kwatermistrz utrzymuje, że młody Wilczek jest niebezpiecznym agitatorem — mówił dalej nielitościwy burmistrz, będący dziś w wybornym humorze — i że dla dobra miasta trzeba go się stąd czemprędzej pozbyć, bo go podpatrzył, że codzień spaceruje z panną po ogrodzie! — Wszyscy się rozśmieli, a kwatermistrz rozdrażniony do najwyższego stopnia, zawołał:

— Nie spacery z panną, ale inne ważniejsze rzeczy mi się nie podobają. Młody Wilczek miewa jakieś narady z rzemieślnikami; nie dalej jak wczoraj, widziałem kilku wychodzących z jego domu. Mieszczanie od tygodnia shardzieli i patrzą na nas z ukosa, a Garwoliński dziś się odezwał, że nie oni są dla ławników, ale ławnicy dla nich.

— Patrzcie go — odezwał się zgorszony Fryc — a to mądrala!

— Przebąkują, że chcieliby go zrobić naczelnikiem straży ogniowej, choć zaszczyt ten należałby przedewszystkiem synowi pana Fryca, który odsłużył wojskowość w Prusach i zna doskonale komendę, jeśli Bunge ma ustąpić.

Na wzmiankę o pruskiej komendzie, Gonczarow lekko brwi zmarszczył.

— Młody Wilczek chodzi codzień ze strzelbą na polowanie, choć nie prosił pana naczelnika o pozwolenie na broń. Młody Wilczek nareszcie zdaniem mojem, jest niebezpiecznym agitatorem, demagogiem, socyalistą i wszystkiego złego spodziewać się po nim można.

— Doktor filozofii — wtrącił Gonczarow, chętnie uchodzący za uczonego i mający przeto pewną słabość do uczonych.

— Tacy właśnie najgorsi. Nie potrzebujemy tutaj filozofów!

Burmistrz na wyraz »socyalista« uczuł pewien niepokój, bo bał się wszelkich rozruchów, a naczelnik nie brał tych słów na seryo. Namiętna mowa kwatermistrza, niezwykłego się unosić, była mu wskazówką, że źródło niechęci jego dla Wilczka znajdowało się w sercu; przyglądał się paznokciom i uśmiechał się, bo go to bawiło.

Zegar na wieży wybił godzinę jedenastą i jednocześnie wszyscy usłyszeli, że ktoś idzie po schodach na górę.

— Punktualny! odezwał się naczelnik i pomyślał, że ludzie punktualni i systematyczni, bywają często niebezpieczni.

Wszyscy przysłuchiwali się w milczeniu odgłosowi tych kroków, a na twarz kwatermistrza zaczęły występować plamy. Woźny otworzył drzwi i wygłosił:

— Pan Jerzy Wilczek.

To imię i nazwisko wymówione razem w tem miejscu, zrobiło wrażenie, było bowiem imie-

niem i nazwiskiem człowieka, który przez długie lata przewodniczył na obradach w tej sali. Naczelnik mimowoli rzucił okiem na portret. Młodzieniec wszedłszy, lekkim ukłonem powitał zgromadzenie i nie czekając zaproszenia, usiadł w wielkiem dębowem krześle, wprost Gonczarowa, a na jedynym próżnym stołku, stojącym przy stole, na którym usiadłby niezawodnie każdy skromny mieszczanin, położył swój kapelusz i niedużą, ale grubą książkę. Oparłszy ręce na poręczach, powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

— Myślałby kto, żeśmy się tu dla niego tylko zeszli — myślał burmistrz, niemile dotknięty tą swobodą i pewnością siebie młodzieńca — i że on nam tu będzie prezydował. A jak zaraz trafił do starego krzesła burmistrzów! Gdyby tak chciał zostać na stałe w Kozłowie, to trzebaby go stąd za jaką bądź cenę wykurzyć! Kto wie, co znaczą te konszachty z mieszczanami i czy mu się nie roi zostać z czasem głową miasta.

Fryc, Hoehne i Hand, przypatrywali mu się z nieukrywaną ciekawością, a Gonczarow coraz rzucał okiem na przeciwległą ścianę, porównywając twarz młodzieńca z twarzą sławnego burmistrza, a uderzony nadzwyczajnem między nimi podobieństwem, nie mógł wyjść z podziwu i mówił sobie, że gdyby temu okryć ramiona delią i włożyć złoty łańcuch na szyję, nie byłoby między nimi innej różnicy, nad różnicę młodości z wiekiem dojrzałym.

— Wezwaliście mnie panowie, więc jestem — przemówił Jerzy — słucham co macie mi do powiedzenia.

Członkowie deputacyi spojrzeli po sobie zdziwieni.

— A to pyszałek! — rzekł do siebie kwatermistrz, przyzwyczajony do pokornego i trwożliwego zachowania się mieszczan kozłowskich — po jakiemu on do nas przemawia?

— Naczelnik mu nie zaimponował — mówił do siebie burmistrz, w duchu uradowany trochę z tego; nie bardzo bowiem lubił, gdy dygnitarz ten wtrącał się do spraw miejskich i zabierał miejsce honorowe. Tutaj w ratuszu, on był tylko panem, tak samo jak naczelnik był panem w powiecie, gdzie on mu się nigdy nie wtrącał.

Naczelnik dystyngowanym ruchem poprawił się na siedzeniu i mrugając oczyma zabrał głos, przyczem używał liczby mnogiej, zwyczajem monarchów i autorów.

— Wezwaliśmy tu pana w sprawie kwaterunkowej. Deputacya uznała za potrzebne pomieścić w domu wdowy Wilczkowej, pańskiej krewnej, komenderującego pułkiem hrabiego Redena, jako w jedynem miejscu odpowiedniem dla niego. A ponieważ pan zajmujesz się jej interesami, jak nas objaśnił obecny tu pan kwatermistrz, przeto chcemy się z panem porozumieć.

— Pan kwatermistrz, jak widzę, lepiej wie co się u nas dzieje, niż my sami — odrzekł

z lekką ironią Jerzy. — Interesami mej krewnej nie zajmuję się wcale, bo przyjechałem tu tylko na wakacye i nie mam zamiaru bawić w Kozłowie dłużej nad dwa tygodnie.

Burmistrz spojrzał nieco życzliwiej na młodzieńca. Oświadczenie, że wkrótce wyjedzie z Kozłowa, usuwało na bok wszelkie obawy, a między niemi obawę pokuszenia się o stanowisko burmistrza, gdy miasta powiatowe w Królestwie otrzymają taki jak w cesarstwie samorząd, o czem chodziły pogłoski.

— Ale przypuszczenie pana kwatermistrza — mówił dalej Jerzy — tylko co przez pana naczelnika przytoczone, jest dla mnie promieniem światła, na które nie powinienem zamykać oczów. Wdzięczny mu jestem, że mi wskazał to, o czem nie pomyślałem: być może, iż skorzystam z jego życzliwej wskazówki i zostanę.

Burmistrz skrzywił się na te słowa, a kwatermistrz rzucił pełne złości spojrzenie na mówiącego. Zrozumiał on groźbę zawierającą się w tych uprzejmych na pozór wyrazach.

— Szczęśliwie bardzo się stało, że panowie obrali drogę bezpośredniego porozumienia się ze mną — mówił dalej Jerzy — bo to uproszcza sprawę, przez postawienie jej od razu na właściwym gruncie. W imieniu mej stryjenki, pani Wilczkowej oświadczam, że nie podejmujemy się dostarczyć kwatery dla pana pułkownika. Nie jesteśmy do tego obowiązani!

Na takie dictum, zgromadzenie osłupiało; nawet naczelnik przestał oglądać swoje paznokcie:

zaczął przypatrywać się młodzieńcowi napół zdziwionym, napół gniewnym wzrokiem. Od śmierci starego Wilczka nie słyszano w tej sali nic podobnego. Jeżeli który z mieszczan chciał co od deputacyi uzyskać, to przychodził z pokorną prośbą, ale do tak kategorycznych oświadczeń, panowie członkowie nie byli przyzwyczajeni. Zdumienie zawiązało im usta. Burmistrz nasrożył się wielce, ale milczał, tylko kwatermistrz wybuchnął.

— Jak pan śmiesz mówić tu podobne rzeczy! Kwatera dla hr. Redena ma być w domu pani Wilczkowej i będzie.

— Nie będzie — odrzekł zimno Jerzy. — Co z pana za urzędnik, kiedy nie znasz przepisów! Paragraf 9-ty przepisów administracyjnych dla Królestwa Polskiego o powinnościach kwaterunkowych, mówi: że »tylko w takim razie można dublować kwaterunek, jeżeli pomieszczenie dla wojska jest niewystarczające«: pan zaś wiesz równie dobrze jak ja, że pomieszczenia w mieście nie brakuje, bo w wielu domach mie-mieszkania stoją pustkami dla braku lokatorów. W paragrafie 7-ym zaś wyraźnie powiedziano, że rozmieszczenie kwater ma być dokonywane z wygodą dla wojska, ale bez przeciążenia mieszkańców«, pan zaś chcesz ich do ostatka zgnębić.

To powiedziawszy, położył na stole przyniesioną z sobą książkę i poszukawszy części czwartej, gdzie były »wskazówki o powinnościach i posługach gminnych«, wskazywał odnośne paragra-

fy. Idąc do ratusza, młodzieniec postanowił sobie zachowywać się o ile można powściągliwie i dyplomatycznie, choć to było niezgodne z jego charakterem; ale jawnie wrogie usposobieni dla niego tych co go wezwali, zniweczyło to postanowienie! Teraz już walka szła na ostre!

— Prawodawca wydając te przepisy, miał na względzie dobro poddanych i zabezpieczenie ich od krzywd wzajemnych — mówił dalej młodzieniec — a panowie postępując wbrew jego przepisom, znieważacie jego pamięć. Panowie nadużywacie swojej władzy i wyzyskujecie położenie, a czyniąc tak, oddajecie złą przysługę rządowi, bo budzicie niezadowolenie w umysłach, które powinny czuć się zupełnie bezpiecznymi pod panowaniem monarchy i korzystać z błogosławieństw pokoju. Czyniąc tak, dopuszczacie się wykroczenia przewidzianego w paragrafie 274 i 275 ustawy karnej, wykroczenia przeciwko bezpieczeństwu i całości państwa, bo nie miłość dla rządu budzicie waszą działalnością, ale żal i niechęć. Złymi jesteście patryotami panowie i ani państwo, ani ten w którego imieniu działacie, nie będą wam za to wdzięczni!

Zgromadzeni pobledli, nawet naczelnik zapomniał o wrodzonej dystynkcyi i gryzł wąsy drżącemi wargami. Słowa młodego Wilczka wypowiedziane głosem donośnym i silnym, rzuciły postrach. Nad stołem sali radnej zapanowała cisza, podczas której słychać było tylko miarowe kroki szyldwacha, odbywającego wartę pod ra-

tuszem. Groza jakaś zawisła w powietrzu, jakby wśród zgromadzenia stanęło nagle widmo znieważonego monarchy, otoczonego paragrafami kodeksów. Jeden tylko żyd Hand nie stracił przytomności; oczy jego biegały kolejno po wszystkich, badając sprawione temi słowy wrażenie i z min członków deputacyi odgadły, że Jerzy od tej chwili mógł być uważany za przepadłego, że postanowili go się pozbyć za jakąbądź cenę. Naczelnik pierwszy oprzytomniał i szepnął:

— A to wąż!

Zmienił jednak taktykę i w jednej chwili przedzierżgnął się w dyplomatę. Uśmiechnął się i rzekł mrugając oczyma.

— Kochany panie Wilczek, nie unoś się pan tak bardzo; zaprosiliśmy tu pana żeby sprawę wspólnie rozważyć, a nie możemy jakoś przyjść do porozumienia.

— Postawiliście panowie kwestyę w ten sposób, że porozumienie okazuje się niemożliwe — odrzekł zimno Jerzy.

— Pan Kurtz utrzymuje, że oprócz domu pani Wilczkowej, w całem mieście odpowiedniego pomieszczenia dla pułkownika niema — mówił dalej naczelnik. — Żaden dom nie jest tak piękny, tak suchy, ani tak zdrowo położony, jak ten dom właśnie.

— Wdzięczny jestem panu naczelnikowi za łaskawą o nim opinię — wtrącił Jerzy z lekką ironią.

— Przybycie pułku do Kozłowa jest wielkiem dla miasta dobrodziejstwem, bo nie tylko,

że zyskuje na bezpieczeństwie, ale handel się ożywia, mieszkania podnoszą się w cenie.

— Chleb drożeje — wtrącił znów Jerzy — co jest także korzystne dla piekarzy!

Burmistrz uśmiechnął się.

— Rzemieślnicy, zwłaszcza szewcy i krawcy, mają dużo roboty — mówił dalej Gonczarow, udając, że tamtych słów nie słyszał.

— Zaszły więc świeżo bardzo szczęśliwe zmiany pod tym względem — zauważył Jerzy — bo dotąd jedynie rzemieślnicy z cesarstwa mieli monopol dostaw dla wojska. Zapewnie mamy to do podziękowania głównemu gospodarzowi miasta panu prezydentowi.

— Szelma! — pomyślał burmistrz — wszystko wie i widocznie kpi sobie ze mnie.

— Tak jest — potwierdził naczelnik — tak, zgadłeś pan. Inicyatywie pana burmistrza zawdzięcza Kozłów, że naznaczono tu postój dla pułku, bo za jego staraniem poszła do komendantury warszawskiej prośba opatrzona licznymi podpisami obywateli. Trzy miasta powiatowe ubiegały się o to jednocześnie. Pojmujesz pan, że za odznaczenie jakiego Kozłów dostąpił, powinien przyjąć w swoje mury przybywający pułk z otwartemi rękami, ze staropolską gościnnością i starać się, żeby mu na niczem nie zbywało. Komenderujący pułkiem hrabia Reden, musi mieć także kwaterę odpowiednią swoim potrzebom, swojej randze i swojemu urodzeniu; miasto powinno mu jej dostarczyć, jest to obowiązek mia-

sta! Zgadzasz się pan ze mną panie Wilczek, czy nie?

— Podzielam najzupełniej zdanie pana naczelnika.

— Aa, przychodzimy nareszcie do porozumienia. Wszystkie lepsze mieszkania w mieście są zajęte, tylko w domu pańskiej krewnej jest kilka pokoi próżnych. Czy nie tak panie kwatermistrzu?

— Tak jest panie naczelniku, ale że to mieszkanie jest cokolwiek za szczupłe, więc proponowałem żeby pani Wilczkowa do niego się przeniosła, a swoje była łaskawą ustąpić panu hrabiemu. Sądzę, że taka kombinacya byłaby dogodną dla obu stron, bo pani Wilczkowa od śmierci męża zamknęła dom zupełnie i szczuplejsze mieszkanie będzie nawet dla niej dogodniejszem.

— Pani Wilczkowa będzie panu kwatermistrzowi wdzięczna za troskliwość o jej wygody — odezwał się Jerzy, któremu oburzenie zabarwiło policzki — ale gdyby to istotnie uważała za lepsze dla siebie, uczyniłaby to już dawno, bez pańskiej porady. Pokoje próżne, o których panowie wspominacie, są już wynajęte. Ale i to objaśnienie jest zbyteczne, bo dom mojej krewnej posiada już jedną kwaterę, a i ta nawet znajduje się w nim nieprawnie, skoro od zbudowania go, zatem od lat dwudziestu, ani razu jeszcze nie dozwolono mu korzystać z czteroletniego uwolnienia od kwatery, zawarowanego przepisami.

Naczelnik nic nie odpowiedział. Dopóki sprawa przedstawiała mniej więcej legalnie, chętnie interweniował; ale gdy weszła na tory w których urzędnikom cesarskim zarzucano nieprawne postępowanie, mieszać się dalej już nie chciał. Zagaił posiedzenie, próbował skłonić strony do zgody, więc zrobił swoje; teraz gdy sprawa plątać się zaczęła, zostawiał resztę burmistrzowi, ciekawy będąc jak on się też z tego wykręci. Wyjął z kieszeni mały elegancki pilniczek i zaczął nim wygładzać paznokcie.

— Panie Wilczek — odezwał się burmistrz, który zrozumiał ten manerw — pojmujesz pan, że są położenia, które... w których... okoliczności, gdzie litera prawa ustępować musi konieczności i poświęceniu dla dobra publicznego. Takie położenie, chciałem powiedzieć taka okoliczność, nastręcza się teraz właśnie.

Tak mocno odchrząknął Gonczarow słuchający uważnie tej niezbyt płynnej wymowy, on co słynął właśnie z elokwencyi, lekko się uśmiechnął.

— Taka okoliczność teraz właśnie się nastręcza — powtórzył burmistrz. — Człowiek, który... to jest człowiek zasłużony, który... Ech! co tu długo gadać! pan pułkownik jaśnie wielmożny hr. Reden potrzebuje kwatery, a u pani Wilczkowej stoi mieszkanie pustkami. Czy należy tu dodawać jakiekolwiek objaśnienie? Czy należy tłómaczyć, co pani Wilczkowa zrobić powinna i co jestem pewny, że zrobi? Panie Wilczek, po pańskim rozumie, po pańskiej uczoności spo-

dziewamy się, że pan będziesz się starał nakłonić swoją krewnę, to jest, swoją szanowną i czcigodną krewnę, żeby postąpiła jak prawdziwa obywatelka!

Oczy Jerzego utkwione w tej chwili w burmistrza, zaczęły ciskać takie błyskawice, że on nie bardzo odważny z natury, poczuł silny niepokój i spuścił pod stół swoje. Gonczarow rzucił przelotne spojrzenie na obu i dalej wygładzał paznokcie.

— Dziękuję panu prezydentowi za pochlebne wyobrażenie, jakie ma o mojem rozumie i zaufanie jakiem mnie raczy zaszczycać — przemówił Jerzy ze spokojem, który miał w sobie coś mrożącego — ale dziwno mi, że panowie poświęcenia żądacie od kobiety, gdy wam samym tak piękna nasuwa się sposobność, dla zrobienia z siebie ofiary.

Moja krewna jest stara, stojąca nad grobem, oddana modlitwie i zobojętniała już dla wszystkich spraw tego świata, więc o potrzebie takiego poświęcenia nie może mieć pojęcia, gdy wy panowie, rozumiejący ten wyraz w całej jego doniosłości, jak to ze słów pana prezydenta widzę, macie wyborną sposobność stwierdzić czynem swoje zasady, i ofiarnością dać przykład miastu. Pan prezydent oto sam jeden i bezdzietny, zajmuje siedm pokoi i mógłby przyjąć na kwaterę pułkownika; pan kwatermistrz ma także siedm pokoi, a choć ma drobne dzieci, mógłby jednak ustąpić większą część panu hrabiemu, bo jest

wdowcem i nie potrzebuje tak obszernego mieszkania. Albo co lepiej jeszcze, mógłby z tego mieszkania przenieść się do innego szczuplejszego, tak jak proponował pani Wilczkowej. Sądzę, że to byłoby dla obu stron dogodne, zwłaszcza, że od śmierci żony, pan Kurtz prowadzi życie odosobnione i w mniejszem mieszkaniu byłoby mu dogodniej.

Kwatermistrz zatrząsł się z gniewu, słysząc swoje własne słowa teraz przeciwko sobie samemu zwrócone.

— Pan Fryc ma obszerną dwupiętrową kamienicę, a w niej żadnej kwatery do lat sześciu. — mówił dalej Jerzy.

— Przepraszam bardzo! — wybuchnął Fryc, który się dotąd wcale nie odzywał — miałem na kwaterze jenerała!

— Istotnie, miałeś go pan przez cały tydzień, czyli akurat tyle czasu, ile było potzeba dla odnowienia mieszkania w innem domu, gdzieście go panowie pomieścili.

— Niech go dyabli wezmą z jego wiadomościami — pomyślał Fryc i umilkł zadąsany.

— Pan Lebich ma piękny obszerny dom z ogrodem, w którym od lat dziesięciu żadnej kwatery nie było, nie wiadomo czemu, czy może dlatego, że wybudował piec do chleba w starym klasztorze, który jest budynkiem skarbowym. Pan Lebich nie tylko, że żadnych ofiar dla państwa nie ponosi, ale jeszcze wymaga od skarbu poświęceń i kosztem jego ciągnie dla siebie

dochody. Ciekawym z czyjego rozporządzenia tak się w budynkach skarbowych rozgospodarował? Tak to moi panowie: gdzie powinna rządzić miłość dobra publicznego i sprawiedliwość, tam panuje prywata i przekupstwo!

— Dyabeł, nie człowiek — szepnął Fryc — jak on się tego wszystkiego podowiadywał.

A Höhne, który dotąd słuchał z zaspanemi oczyma, przebudził się nagle i czerwony z gniewu — zawołał:

— Co panu do tego? Kto pana prosi, żebyś się mieszał w nasze sprawy? Nie jesteś pan ławnikiem i nie masz prawa troszczyć się o interesa miasta; pilnuj pan lepiej siebie, żebyś pan wyszedł cały za jego bramy. Myśmy tu nie przyszli na sądy, tylko na naradę nad pomieszczeniem pułku. Jeżeli pan masz co przeciwko nam, to nas możesz skarżyć!

— Uczynię tak niezawodnie — odrzekł spokojnie Jerzy — i jeżeli nie znajdę sprawiedliwości w mieście gubernialnem i w Warszawie, poszukam jej w Petersburgu. Oświadczam to panom, bo lubię walczyć z otwartą przyłbicą.

Między członkami deputacyi powstał śmiech: groźba skargi rozweseliła wszystkich.

— I owszem — wołali — i owszem! Skarż nas pan co prędzej panie Wilczek, prosimy o to bardzo.

— Koniec końców, dasz pan dobrowolnie kwaterę dla pułkownika, czy nie? — zapytał burmistrz, któremu żołądek od godziny już przy-

pominał o obiedzie i którego złość ogarniała, że posiedzenie wlecze się tak długo.

— Nie, panie prezydencie, nie tylko nie dam, ale w imieniu pani Wilczkowej proszę o zupełne zwolnienie jej domu od kwatery na cztery lata, tak jej się to z prawa należy. Sądzę, że już nic więcej do powiedzenia sobie nie mamy.

— Głupiec! — mruknął burmistrz półgłosem do naczelnika, a Fryc szepnął do ucha Höhnemu, że młody Wilczek sfiksował na piękne.

Kwatermistrz targający nerwowym ruchem swoje faworyty, odezwał się wśród ogólnego milczenia.

— Kiedy tak, to dom wasz wybrany zostanie na pomieszczenie szpitala pułkowego, a wtedy czcigodna pani Wilczkowa będzie wolała sama się z niego wynieść. Wybierajcie państwo co wolicie? Miasto potrzebuje lepszego pomieszczenia na szpital, niż je posiada do tej pory, a hygieniczniejszego położenia, jak to, w którem się znajduje dom Wilczków, nigdzie niema.

— Wobec tych względów, wszystkie inne muszą ustąpić na bok, chorzy nasi żołnierze będą się napawali zapachem pięknych herbatnich róż!

Na wzmiankę o różach Jerzy zakipiał gniewem.

— Panu jednakże żadna się nie dostanie — odparł, rzuciwszy nań wzrokiem pełnym najwyższej pogardy — bo dla tych co omijają drzwi

frontowe i chodzą kątami, mamy na dzień mocne zamki, a na noc spuszczamy psy z łańcucha.

Gonczarow zauważył, że rzeczy zaszły za daleko i postanowił się wmieszać. Kwatermistrzowi zabierającemu się do odpowiedzi, nakazał spojrzeniem milczenie i zwrócił się do Jerzego, który wstał i sięgnął po swój kapelusz, zabierając się do odejścia.

— Pan polujesz podobno codzień panie Wilczek?

— Tak jest panie naczelniku, ale tylko na własnych gruntach.

Gonczarow przygryzł wargi.

— Nie o to idzie — rzekł — udając, że nie zrozumiał aluzyi, tylko czy pan masz pozwolenie na broń?

Jerzy wyjął z kieszeni pugilares, a z pugilaresu małą żółtą kartkę opatrzoną podpisem oberpolicmajstra miasta Warszawy.

— Bardzo dobrze — odrzekł Gonczarow obejrzawszy ją starannie; — Jesteś pan w porządku. Pardon, mille pardon. Au revoir!

— Patrzcie jak młody Wilczek kąsa! — Jeszcze mu broda nie urosła, a już chce nam tu koniecznie burmistrzować.

— Dam ja ci twoje zamki! — syknął kwatermistrz, grożąc za nim pięścią.

— Natura się w nim wcześnie odzywa — dopowiedział burmistrz.

— On chce zostać głową miasta — wtrącił Höhne. — Gdyby tego na myśli nie miał, nie wchodziłby w konszachty z mieszczanami.

— Niech spróbuje! — mruknął przez zęby burmistrz.

— Wiecie co, panowie — odezwał się Hand, który przez cały ten czas tylko patrzył i słuchał — mnie się zdaje, że najlepiejby go było ugłaskać...

— »Wilk chowany, przyjaciel jednany, nic nie wart« — wtrącił Fryc — czy pan nie zna tego polskiego przysłowia?

— Byli jednak tacy, którzy nam stawali jeżem, a potem ugłaskać się dali...

— On nie z takich — przerwał burmistrz. — Rękę, coby go pogłaskać chciała, ugryzie. Ja go znam od małego chłopaka.

— Ugłaskać go — wybuchnął kwatermistrz — co tam będziemy głaskali wściekłego psa. Strzelić mu w łeb jak psu i basta!

Gonczarow wstał i naciągając rękawiczki, rzekł szyderczo:

— Co się dziś panu stało, panie Kurtz? Nie poznaję pana. Widocznie ta piękna panna głęboko panu w sercu uwięzła. Zapomniałeś się pan kilka razy, a po tem z czem się wyrwałeś teraz, powinienbym kazać pana aresztować... Ale bądź pan spokojny — dodał, klepiąc go po ramieniu — pamiętam o pańskich zasługach i o pańskim patryotyzmie. Ja nic nie słyszałem.

Kwatermistrz coś niezrozumiałego wybąknął, a całe zgromadzenie powstało, bo naczelnik opuszczał salę. Gdy wyszedł, burmistrz usiadł na jego miejscu.

— A jednak trzeba złapać na czemś tego Wilczka i uczynić go nieszkodliwym — rzekł zachmurzony.

— Tak, trzeba go złapać! — powtórzyli wszyscy, oprócz Handa i nastała chwilowa cisza. Wszystkim przyszło na myśl, że z człowiekiem, który się domaga sprawiedliwości w imię panującego monarchy nie można zadzierać tak otwarcie, ale trzeba wynaleźć jakiś sposób, któryby go oddał w ich ręce.

Z sufitu spuszczał się powoli ogromny pająk i schwycił nagle przelatującą muchę. Mucha brzęczała, szamotała się, ale tak była w sieć zaplątana, że wydobyć się nie mogła. Kwatermistrz patrząc na to uśmiechał się.

— Bądźcie panowie spokojni — rzekł tajemniczo — ja już go złapię, jak pająk tę otomuchę...

IX.

Jerzy postąpił tak, jak to był deputacyi kwaterniczej zapowiedział: tego samego dnia jeszcze zredagował i wyprawił w imieniu wdowy Wilczkowej skargę do gubernatora. Treściwie opowiedział, kiedy dom był stawiany; jak nigdy nie korzystał z ulg, oznaczonych przepisami; jak dom ten był formalnie prześladowany ciągłemi kwaterami; jak inni, uprzywilejowani obywatele, wolni byli od ciężarów po lat dziesięć nawet — wymienił ich nazwiska i numera ich domów; jak pomimo to, że w domu Wilczków jest już jedna kwatera, deputacya chce w nim pomieścić jeszcze drugą, w osobie pułkownika — a że właścicielka broni się od takiej niesprawiedliwości, więc przez zemstę chcą tam wpakować szpital wojskowy. W konkluzyi, prosił o zupełne uwolnienie od kwatery na lat cztery i o zwołanie komisyi dla rozpatrzenia i zbadania bezprawnych czynów deputacyi.

Gdy zapieczętowaną już kopertę sam dla pewności niósł na pocztę, posłyszał, że ktoś woła na niego po nazwisku:

— Panie Wilczek! panie Wilczek!

Odwrócił się i zobaczył we drzwiach kolonialnego sklepu stojącego członka deputacyi,

Handa. Żyd zdaleka dawał mu jakieś znaki, których młodzieniec na razie nie zrozumiał; nareszcie zaczął kiwać na niego palcem, ale widząc, że Jerzy nie myśli posłuchać tego wezwania, wybiegł ze swego sklepu i obejrzawszy się bojaźliwie na wszystkie strony, rzekł prędko:

— Ja panu co powiem: temu oszustowi Lebichowi za ten chleb nie będzie nic!

Jerzy lekko brwi zmarszczył.

— Skąd pan wiesz o tem? — zapytał zimno.

— Hand nie gada nigdy na wiatr — odrzekł sentencyonalnie — nie będzie mu nic, bo oto w tej chwili są na śniadaniu u Rafta.

— Kto z kim?

— Burmistrz z Lebichem. Lebich funduje. Był tu u mnie w tej chwili chłopak po cytryny do kawioru, i mówił mi, że ten oszust kazał postawić szampana!

Jerzy uśmiechnął się gorzko.

— Jak to nieładnie, że oni pana także nie zaprosili, panie Wilczek — mówił, oglądając się znowu bojaźliwie — przecież myśmy oba asystowali przy wadze.

— Aa — pomyślał Jerzy — jestem w domu. Pan Hand jest obrażony, że go w zaproszeniu pominięto i dlatego zdradza przedemną swoich sprzymierzeńców.

— To tak, jakby oni z panem żyć nie chcieli. Prawda? To jest wielkie ubliżenie.

— Przeciwnie, panie Hand, to dowód szacunku właśnie ze strony tych panów. Zgaduja

widocznie, że ja nie ze wszystkimi żyję. Żegnam pana.

I odszedł w swoją stronę.

— Dumna sztuka! — mruknął do siebie żyd, patrząc za nim — może i to prawda, że on się nie da ugłaskać.

Wracając do domu, Jerzy przystanął na chwilę na moście i oparłszy się o baryerę, patrzył zamyślony na krajobraz, przed jego oczyma rozpostarty. A był to krajobraz piękny, choć tak często powtarzający się w różnych stronach naszego kraju: miasteczko rozłożone po obu brzegach rzeki, błyszczało białością swoich ścian, czerwonością dachów i tonęło wśród zieleni ogrodów. Niewielkie wzgórza, otaczające je z dwóch stron, podzielone na skiby, jaśniały różnymi kolorami rosnących na nich zbóż — a wśród tych łanów, rozstawione rzędem wiatraki, stały niby olbrzymy legendowe na straży plonów, które ziemia miała dopiero wydać. Dalej, z pośród drzew wynurzał się stary klasztor Bernardynów, a krzyż jego, błyszczący w słońcu jak złoto, zdawał się nieść błogosławieństwo polom. Poniżej na łące pasły się krowy mieszczan, a tuż za niemi koszono pierwsze trawy, przyczem szczęk kos i nuta śpiewanej piosenki dochodziły do uszu Jerzego.

Młodzieniec stał i dumał, a im dłużej patrzył na ten krajobraz, czyniący wrażenie jakiejś sielskiej szczęśliwości i spokoju, tem silniejsze pierś jego ogarniało wzruszenie; wiedział bowiem dobrze, że tam tych pożądanych gości nie ma. Bo

nie może być szczęścia i spokoju, gdzie obawa o bezpieczeństwo własne, o chleb powszedni, pozbawia godności osobistej i powoli znikczemnia dusze..., gdzie myśl targana ustawicznym niepokojem wchodzi na błędne drogi... Nie może być szczęścia tam, gdzie istnieje ucisk i samowola, gdzie jest przewaga siły nad prawem, gdzie ręka niewidzialna kładzie na usta pieczęć, a na chęci wędzidło, i sięgając do głębi dusz, paraliżuje szlachetne pierwiastki.

Czy jednakże on, Jerzy, mógłby w czemś zmienić to położenie? O tak, mógłby to zrobić, czuł w sobie siły po temu, a walki się nie lękał. Zgnieść, zdemaskować szajkę łotrów rządzących miastem, a siedm tysięcy ludzi odetchnie swobodniej. Podniosą się serca i umysły, a na oswobodzonym z chwastów gruncie, szlachetne wyrosną rośliny. Europa nic się o nim nie dowie, ale za to rodzinne miasto będzie go błogosławić tak, jak błogosławi dotąd pamięć sławnego burmistrza, który przecież był tylko zacnym i rozumnym obywatelem. Być dobrym duchem tego miasta, czy to nie więcej warte niż niepoślednia nawet sława w szerokim świecie?...

— Niech się pan tak mocno nie opiera na baryerze — odezwał się tuż zanim głos męski, obcym nacechowany akcentem — poręcz ta onegdaj naderwaną została przez wóz jadący z ciężarami i jeszcze jej na nowo nie umocniono. Mógłbyś pan wpaść do wody.

Jerzy odwrócił się i zobaczył wysokiego, przystojnego mężczyznę w średnim wieku, z gę-

stą ciemno-bląd brodą. Miał na sobie popielate palto z lekkiego kortu, a na głowie okrągłą czapkę z daszkiem, którą otaczał lampas niebieski. Młodzieniec uchylił kapelusza i podziękowawszy za przestrogę, chciał odejść, ale mężczyzna ów zatrzymał go skinieniem.

— Przepraszam pana, zdaje mi się, że mam przed sobą pana Wilczka.

— Tak jest — odrzekł Jerzy z pewnem zdziwieniem — czy mogę nawzajem zapytać z kim mam przyjemność mówić?

— Jestem baron Stern, komisarz włościański. Słyszę o panu od tygodnia, a potem, czego się dziś dowiedziałem, zapragnąłem poznać pana osobiście i powiedzieć panu jak cenię ludzi odważnych.

To mówiąc, wyciągnął rękę, której Jerzy dotknął z pewną nieufnością.

— Zawahałeś się pan — powiedział baron smętnie — ale nie powinienem się temu dziwić. Wszystkie figury urzędowe w Kozłowie stają do pana jeżem, więc i mnie pan podejrzywasz, że muszę mieć gdzieś kolce ukryte.

Jerzy uśmiechnął się na to porównanie. Zaczęli mówić o spawach miejskich i młodzieniec miał sposobność przekonać się, że baron jest człowiekiem rozumnym, nie jednostronnym, zgadzającym się często w poglądach z jego własnymi poglądami. Gdy się rozstawali, baron rzekł z odcieniem wyraźnej życzliwości.

— Czy nie mógłbym w czem być panu użytecznym? Jeżeli pan znajdziesz się kiedy w po-

łożeniu kłopotliwem i będziesz potrzebował poparcia, to proszę nie zapominaj o tem, że masz we mnie przyjaciela.

Jerzy podziękował baronowi i oddalił się, a idąc rozmyślał nad nową znajomością, zrobioną tak niespodzianie i nad przyjaźnią, którą mu narzucał ten człowiek, dość zresztą sympatyczny. Na rynku spotkał burmistrza. Dygnitarz ten tylko co wyszedł z handlu winnego, w błogiem usposobieniu zadowolenia z siebie i świata. Czerwony, spocony, szedł kołysząc się na swoich krótkich nogach, a duże jego wyłupiaste oczy były uśmiechnięte. Spostrzegłszy Jerzego, widocznie się ucieszył, że będzie mógł nareszcie wypowiedzieć to, co mu w tej chwili najbardziej leżało na sumieniu, i czego rad był pozbyć się jak najprędzej.

— Wiesz pan co, panie Wilczek — rzekł zatrzymując się i biorąc Jerzego za guzik od paltota — z Lebichem się skończy. On zapłaci karę na szpital.

— Doprawdy? — zapytał Jerzy ironicznie — a cóż będzie z protokółem, który pan prezydent spisał własnoręcznie?

— Co będzie z protokółem — powtórzył burmistrz, który się tego pytania nie spodziewał — co będzie z protokółem, hm, hm, cóż ma być? ... Schowa się.

Młodzieniec popatrzył na żywe rumieńce pana burmistrza i widząc, że pora do rozmowy nie trafnie była wybrana, rzekł:

— No, no, pogadamy o tem kiedy indziej!

I minął go. Burmistrz stał przez chwilę na tem samem miejscu, a na twarzy jego odmalowało się wielkie zakłopotanie.

— Hm — rzekł do siebie — co ten waryat chciał powiedzieć przez to: pogadamy kiedy indziej. Co on miał na myśli? O czem my mamy gadać, kiedy już wszystko zostało u Rafta obgadane!

Obejrzał się za Jerzym, postąpił kilka kroków jakby chciał za nim podążyć i wrócił się. Następnie znów postąpił kilka kroków i znów się wrócił, a tymczasem sylwetka Jerzego malała coraz bardziej w oddaleniu. Chwilę trwało to wahanie, a burmistrz stał na miejscu i laską rzymaną w ręku odgarniał źdźbła słomy, które wóz przejeżdżający niedawno na bruku zostawił. Nareszcie machnął ręką i poszedł dalej. Wino, które pił niedawno uderzało do głowy: burmistrzowi zrobiło się gorąco i rozpiął mundur.

— Jest we mnie polska natura — rzekł do siebie — lubię winko i mam tęgą głowę. Po kim innym, to zaraz byłoby znać, że sobie podchmielił. Po mnie nic! Ale co ten waryat myślał? Czego on chce od poczciwego Lebicha? to złoty człowiek!

Przez kilka dni następnych Jerzy nie widział ani burmistrza, ani kwatermistrza, ani żadnego ze sławetnych rajców Kozłowa, bo prawie nie pokazywał się na mieście, tylko siedział w domu i wertował kodeks, albo chodził po ogro-

dzie z Jadwigą i grywał z nią na cztery ręce. Widocznie nie nudziło mu się na tym partykularzu, bo choć dwutygodniowe wakacye, jakie sam sobie wyznaczył, zbliżały się do końca, nie zabierał się jakoś do wyjazdu. Ale chociaż on nie widywał żadnej z figur urzędowych, figury urzędowe jednak interesowały się nim i wiedziały o każdym jego kroku. Czerwony kołnierz pana kwatermistrza przesuwał się często tamtędy. Jeżeli okna były otwarte, gorliwy ten urzędnik zapuszczał bystry wzrok do wnętrza mieszkania, badając nie tylko osoby, ale wszystkie przedmioty znajdujące się w pokoju. Jeżeli przypadkiem spostrzegł na ulicy jaki papierek podrzucany wiatrem, to się wnet schylał, podnosił go, rozwijał i czytał, powtarzając sobie, że wytrwałe usiłowania muszą nareszcie przynieść pożądane owoce. Czasem, gdy na drodze oddzielającej ogród Wilczków od rzeki nie było nikogo, przykładał oko do szpary w parkanie. W wycieczkach tych mógł się przekonać, że choć Jerzy Wilczek nie był mężczyzną uderzającej piękności, jednak musiał być miłym kuzynce, bo kwatermistrz widywał ich bardzo często razem.

Jednego dnia kwatermistrz, już po zachodzie słońca szedł jak zwykle tą drogą, między szeregami wierzb i mierzył oczyma wysokość parkanu, zbudowanego jeszcze przez starego Wilczka z grubych dwucalowych desek. Oceniając trwałość słupów dębowych, myślał jak wyborne brzoskwinie mogłyby rosnąć pod tym parkanem,

zwłaszcza, gdyby do górnej beleczki łączącej z sobą deski, przymocować daszek dający ochronę od wiatru i zbyt skwarnych promieni słońca. Ci Polacy mają w sobie jakąś pańską niedbałość, czy też brak w głowach tej klepki, która uczy korzystania z każdej piędzi ziemi, z każdego cala deski. Jakby to dobrze było, gdyby tak piękny majątek przeszedł w inne, gospodarniejsze ręce! Z tej strony naprzykład posadzone jest wino i rozpięte na łatach sosnowych; lecz tam dalej nic niema przy parkanie oprócz róż, które wprawdzie piękną są ozdobą, ale nie przynoszą procentu od tak znacznego kapitału, jaki ten parkan reprezentuje. Gdyby on tu był właścicielem, miałby i wino i róże i wszystko co potrzeba — nietylko na użytek kuchenny i domowy ale i na sprzedaż. Hm, onby jeszcze coś więcej zrobił: ogród zamieniłby w ogród spacerowy dla publiczności; w altance byłby elegancki bufet, a w bufecie piwo bawarskie, butersznity i kawa. W niedzielę grywałaby tu zawsze muzyka wojskowa, poczciwi mieszczanie mieliby rozrywkę, a jemu dziesiątki płynęłyby do kieszeni jak woda. No, i kwatery nigdy nie byłoby w tym domu!

Było to piękne marzenie, ale niestety marzenie trudne do urzeczywistnienia, od czasu jak przyjechał tu ten młokos, którego nienawidził z całej duszy. Ale otóż i on: idzie z głową podniesioną i papierosem w ustach, jakby cały świat miał za nic i zdąża prosto do ławki.. Ławki tej nie było widać z grobli, na której znajdo-

wał się kwatermistrz, ale wiedział dobrze, gdzie ona się znajduje, bo siedział na niej z panną Jadwigą w owym pamiętnym dniu, gdy dostał od niej bukiet róż i obiecał bronić dom jej od kwatery. Musiał na niej teraz ktoś siedzieć, skoro Jerzy dążył tam tak śpiesznie. Jakoż nie omylił się, bo wkrótce usłyszał szmer rozmowy. Pan kwatermistrz wielkim był miłośnikiem wiedzy i ilekroć gdzieś toczyła się rozmowa, uważał zawsze za pożyteczne wiedzieć o czem mówiono — i to wiedzieć dobrze. Przekroczył rów i przyłożył oko do poprzecznej szczeliny.

Na ławce plecami do parkanu zwrócona, siedziała panna Jadwiga w lekkiej czarnej sukni, odbijającej ślicznie od jej alabastrowej szyjki i czarnych włosów śpiętych w bogaty węzeł. Pochylona była nad jakiemś szyciem i co chwila zwracała się z uśmiechem do kuzyna, a wtedy pan kwatermistrz miał sposobność podziwiać jej cudowny profil. On, uśmiechniętej nie widział jeszcze nigdy — i nawet domyślać się nie mógł, że uśmiech miała tak uroczy. Jerzy oparty o boczną poręcz ławki, mówił coś do niej z wielkiem ożywieniem; ale nie musiała to być rozmowa o miłości, bo od czasu do czasu wpadały mu do ucha takie wyrazy, jak: »magistrat«, »nadużycia«, »burmistrz«, — nareszcie usłyszał całe zdanie:

— A największy łotr ten kwatermistrz!

Zacisnął zęby i cofnął się, bo też i nie miał już czego więcej słuchać. Oboje wstali i zniknęli w zaroślach ogrodu; widział tylko, że ona opie-

rała się na ręku kuzyna, a on podpierał się jej parasolką. Potem zabrzmiał zdaleka jej śmiech srebrny, dźwięczny, od którego aż mrowie przeszło kwatermistrza — a z jej śmiechem złączył się śmiech młodzieńca. Był to wesoły duet dwojga młodych, którym było z sobą dobrze. Pan kwatermistrz stał chwilę jak ogłuszony, a biała szyja panny Jadwigi stała mu ciągle przed oczyma. Tam za tym parkanem byli ludzie szczęśliwi, a on nigdy szczęśliwym nie był, chyba wtedy, gdy się ożenił z Miną i to dlatego tylko, że wziął dwa tysiące talarów — bo Mina była brzydką i małżeństwo skojarzyło się z rozsądku, nie z miłości. Ale zawsze była to kobieta dobra i pamiętała o jego wygodach. Odkąd umarła, oszukiwały go płatne sługi. Od dawna już upatrywał między pannami Kozłowskiemi, którąby wybrać na dozgonną towarzyszkę, ale jakoś mu się nie wiodło. Córki pastora miały pieniądze i pastor go nawet trochę ciągnął, ale patrzały na niego z góry i czekały także na pastorów, trzymając kwatermistrza w odwodzie — a znów córka Fryca, która miała na niego ochotę, była brzydsza od Miny. Takiej jak panna Jadwiga nie było w całem mieście, ba w całej okolicy nawet! I pod innym względem także szczęśliwym nie był. Nikt go nie lubił, a mieszczanie szyderczo go przezywali.

Usłyszał znowu zbliżające się kroki, obrót na zawiasach furtki wiodącej na podwórze, trzask klucza w zamku, i domyślił się, że niema już po-

co stać dłużej pod parkanem, bo ogród opustoszał. Przekroczył napowrót rów, przyczem obsunął się jedną nogą w błoto; wycierając but o bujne liście trawy, rozmyślał, kędy roztropniej będzie powrócić do miasta: krótszą drogą przed frontem domu pani Wilczkowej, czy dłuższą przez łączkę i przedmieście. Wybrał to ostatnie, bo nie chciał być tu widzianym — gdy otwarcie jednego z bocznych okien i kilka akordów wziętych na fortepianie, zatrzymały go na miejscu. Piękny, męski baryton, rozległ się w pustej ulicy, a pieśń tchnęła młodzieńczą werwą i jakiemś staroszlacheckiem zacięciem. Pan kwatermistrz słuchał i czuł, że go ogarnia jakieś nerwowe rozdrażnienie, które wzmogło się jeszcze gdy barytonowi z niemniejszą werwą odpowiedział dźwięczny, melodyjny kontralt. Strofy następowały tak dalej po sobie naprzemian i przeplatane były przegrywką. Słów nie można było słyszeć z miejsca na którem stał kwatermistrz, to też pchany jakąś niewytłómaczoną ciekawością, podsunął się pod okno.

Panna Jadwiga siedziała przy fortepianie na taborecie, w wdzięcznej, lekko w tył przegiętej postawie; palce jej przebiegały po klawiszach, a oczy zwrócone były na kuzyna, który giestami dopomagał sobie do lepszego uwydatnienia treści śpiewu. Oboje mieli twarze rozweselone i widocznie bawili się wybornie.

W tej chwili właśnie, lekki, podłużny cień padł na klawisze, panna Jadwiga spostrzegła

kwatermistrza, urwała i nuty, które wprzód były rozłożone na pulpicie, szybko, jak mu się zdawało, innemi nutami zasłoniła.

— A, to tak! — rzekł do siebie — panicz śpiewa tu zakazane pieśni, a ona ukrywa je przez obawę o niego.

Skłonił się uprzejmie pannie Jadwidze i odszedł, a raczej zdawało się, że odszedł, bo spacerował po ulicy, dopóki zmrok nie zapadł. Wtedy podsunął się ostrożnie pod to samo okno: w pokoju nie było nikogo, fortepian zostawiono niezamkięty, a przez drzwi otwarte do drugiego pokoju, widać było całą rodzinę zgromadzoną przy stole.

Widział surową twarz pani Wilczkowej, rozjaśnioną w tej chwili dobrotliwym uśmiechem, prawdziwą twarz matrony; widział Jerzego czytającego głośno gazetę, i widział pannę Jadwigę krzątającą się koło stołu, nalewającą herbatę i usługująca naprzemian, to kuzynowi, to babce. Wszystkie jej ruchy były wdzięczne, a oczy przy świetle lampy zwieszającej się od sufitu, błyszczały jak czarne dyamenty. Kwatermistrz po raz pierwszy widział ją w oświetleniu wieczornem i wydała mu się jeszcze piękniejszą. Długo patrzył na ten rodzajowy obrazek, zanim przypomniał sobie po co tutaj powrócił.

Obejrzał się; na ulicy było cicho jakby makiem zasiał, a w oknach domków błyszczały małe, drobne światełka. Fortepian stał tuż przy oknie: kwatermistrz wspiął się na palce, obejrzał za

siebie po raz drugi, przegiął się trochę, wyciągnął rękę i ostrożnym ruchem wsunął palce pod zwierzchni zeszyt nut, wyciągnął z pod niego niewielki pojedyńczy arkusz i schował do kieszeni paltota. Potem szybkim krokiem skierował się do ratusza, gdzie w sali radnej na górze jasne błyszczały światła.

Zdawało mu się, że ma skrzydła u ramion, tak lekkim i elastycznym stał się nagle krok jego — bo też znalazł nareszcie to, czego tak gorąco pragnął. Winszował sobie, że mu przyszło dziś na myśl spacerować w pobliżu ogrodu Wilczków, bo inaczej nie byłby słyszał śpiewu, którego duch od razu wydał mu się jakimś nielegalnym, buntowniczym. Kto śpiewa pieśni zakazane, ten i do wszelkich spisków bywa pochopnym; usunąć więc i nieszkodliwem uczynić takie indywiduum, jest to przyłożyć rękę do oswobodzenia państwa od różnych podziemnych socyalistyczno-rewolucyjnych knowań. Kto wie, czy ten papier szeleszczący mu teraz lekko na piersiach, nie będzie dla niego stopniem do orderu lub awansu, na złość temu nieznośnemu grubasowi, któremu się zdaje, że na wieki będzie burmistrzem. Rząd umie wynagradzać swoje wierne sługi; a niechaj cały magistrat, niech sam naczelnik powie, czy który urzędnik dał tyle dowodów czujności i gorliwości służbowej, co on? Nie lubiono go mimo to wszystko, wyśmiewano — tem gorzej, a raczej tem lepiej! Prześladowani uczą się na sobie jak prześladować trzeba.

Gdy stanie na stanowisku o jakiem skrycie marzył, będzie drwił wtedy z tych głupich mieszczan i idyotycznych urzędników.

Wszyscy ławnicy i cała deputacya kwaternicza zgromadzeni byli w ratuszu, nie wyłączając restauratora, który tak rzadko zjawiał się na posiedzeniach, a dzisiaj przybył na wezwanie, i naczelnika siedzącego na głównem miejscu. Trójramienny starożytny świecznik stojący na środku stołu, oświecał twarze zgromadzonych, pogrążając w mroku resztę sali. Przed burmistrzem leżała depesza. Gdy pan kwatermistrz wszedł do sali, gwar ustał, a burmistrz zawołał:

— Gdzieżeś się pan podziewał do licha, panie Kurtz! od godziny szukają pana po mieście, a do domu posyłałem aż trzy razy. Sprawa jest pilna. Przyszła depesza, że pułk przychodzi jutro.

— A kwater dla pułku jeszcze niema — zauważył naczelnik, oglądając swoje paznokcie; chwalebna zaiste gorliwość ze strony miasta... Gdzież pan byłeś?

— Nie traciłem czasu na próżno — odezwał się przybyły, a twarz promieniejąca wewnętrznem rozradowaniem i oczy błyszczące, dały do myślenia wszystkim, że pan kwatermistrz dokonał jakiejś ważnej zdobyczy.

— Czy pan przypadkiem nie odkryłeś gdzie kontrabandy? — zapytał burmistrz.

Na słowo »kontrabanda«, Hand nadstawił uszy i niespokojne spojrzenie utopił w przybyszu.

— Odkryłem coś ważniejszego — odrzekł, bo zdobyłem dokument oddający w nasze ręce tego smyka, młodego Wilczka!

Naczelnik podniósł głowę i wpatrzył się w kwatermistrza przymróżonemi oczyma.

— Cóż takiego? — zapytał z ożywieniem — pewnie jakie socyalistyczne pisma lub broszury?

— Aresztować go! zawołał Lebich — niech pan naczelnik rozkaże zrobić to dziś jeszcze, natychmiast, bo jutro może umknąć!

— Postawić wartę przy domu — wtrącił Höhne.

— A może te pisma lub broszury zostały mu przypadkiem podrzucone — odezwał się nieśmiało Służalski, może on nic nie winien...

— Ale! podrzucone — pochwycił Lebich. — Mój panie, dobry pan sobie jesteś! Porządnym ludziom nie podrzucają się takie rzeczy.

Wszyscy zaczęli razem mówić; powstał gwar w którym nic zrozumieć nie było można.

Kwatermistrz spoglądał po zgromadzonych, ciesząc się wrażeniem, jakie sprawił.

— Jestto coś gorszego jeszcze niż socyalizm wymówił powoli i dobitnie.

— Spisek! pewnie wpadł na trop spisku! mruknął burmistrz — do dyabła, czemu to nie ja! Gotowi mu dać krzyż, gdy ja tylko marny trzygroszniak noszę.

— Do rzeczy! do rzeczy! — przemówił Gonczarów, marszcząc brwi, bo ta zwłoka zaczynała go niecierpliwić.

Jerzy Wilczek jest po prostu buntowszczyk — wybuchnął kwatermistrz — podejrzywałem go już dawno o to. Śpiewa pieśni zakazane, rewolucyjne, słyszałem sam na własne uszy. Gdy mnie zobaczył przechodzącego koło okna, zląkł się widocznie.

— Lże! — pomyślał Gonczarow — Wilczek nie jest tchórzem.

— Zląkł się i ukrył zeszyt, z którego śpiewał ze swoją kuzynką, ale ja go śledziłem bacznie i przyniosłem z sobą ten dokument.

— Czyś pan go czytał? zapytał naczelnik.

— Nie — odrzekł kwatermistrz — nie miałem gdzie, bo dla pochwycenia papieru, musiałem czekać zmroku i prosto ztamtąd tu idę.

— Pokaż go pan?

— Oto jest — odrzekł kwatermistrz, wyjmując z kieszeni nieduży, we czworo złożony arkusz, na którym było kilka strof wierszy wypisanych pięknym czytelnym charakterem, a między niemi nuty pojedyncze, na prędce ołówkiem nakreślone.

Naczelnik obejrzał papier na obie strony i rzekł podając go burmistrzowi.

— Z nas wszystkich, pan najlepiej podobno czytasz po polsku. Proszę, czytaj pan głośno.

W zgromadzeniu nastała taka cisza jak w kościele. Wszyscy czuli, że ten żółtawy, gęstemi liniami poznaczony papier stanowić będzie o losie człowieka. Burmistrz przysunął świecznik, odchrząknął i wyraźnie a głośno czytać zaczął.

— »Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!«

— Coś jak w książce do nabożeństwa — zauważył Lebich.

— Pewnie modlitwa za Ojczyznę — pomyślał zaniepokojony Służalski.

— Mości panowie, proszę się uciszyć. Zaczynam jeszcze raz:

„Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Z wielką alteracyą przybywam w te strony:
Jak dokuczliwe insekta
Serce obsiadły afekta“.

— Insekta, afekta, jakieś szczególne nabożeństwo... zauważył restaurator.

— To nic — pochwycił Lebich, — ja sam mam książkę do nabożeństwa po pierwszej żonie, która była katoliczką i wiem, że są tam modlitwy pod tytułem »Afekt gorący przed Najświętszą Panną« i »Afekta strzeliste«,

Burmistrz odchrząknął znowu i czytał dalej:

„Powiedzże mi aśćka moja miłościwa,
Czy nie próżno do niej konkurent przybywa;
I czy haniebna rekuza,
Nie da amorom harbuza“.

— Coś zbyt wielka poufałość z Najświętszą Panną — odezwał się Służalski, a ławnicy zaczęli się śmiać. Kwatermistrz zaczerwieniony wyciągnął rękę po papier, ale burmistrz przytrzymał go i czytał dalej:

„Powiedz czy daremnie bije serce w łonie,
Czy nie próżno pędzę skarogniade konie,
By ukochanej niewieście
Pozostać miłym nareszcie".

Tutaj śmiech i gwar powstał jeszcze większy; kwatermistrz coś mówił blady ze złości, ale nikt go nie słuchał, a burmistrz zawołał:

— A to infamis ten Wilczek! Policya nie ma tu z nim nic do roboty, ale należałoby go oddać świętej inkwizycyi, gdyby jej był dotąd kościół rzymsko-katolicki nie skasował, za żarty, jakie sobie stroi z Matki Boskiej.

„A kiedy tak waszeć swe konie szanujesz,
Że jechać w konkury, to już ich żałujesz,
Niech konie stoją w stajence
Ja sobie waści nie nęcę!
Niechaj Jezus Chrystus będzie pochwalony,
Z wielką konfuzyą opuszczam te strony.
Toć się do rzeki nie rzucę,
Gdzieindziej afekt mój zwrócę".

— Panie prezydencie — zawołał kwatermistrz — którego twarz mieniła się różnymi kolorami podczas tego czytania — to nie to! Przewróć pan arkusz na drugą stronę. To nie to, tylko tamto!

— Zaraz, zaraz mości dobrodzieju — odrzekł burmistrz, któremu wąsy ruszały się od śmiechu. Lubił on krotochwile i cieszył się, że mógł się śmiać z kwatermistrza. —

Kwatermistrz przygryzając wargi usiadł napowrót, a burmistrz odkrząknąwszy czytał:

„Ależ mój asindziej, nie bądź taki chybki,
Co masz sobie szukać w innym stawie rybki,
Gdy rybka w siatkę złapana,
Czeka przysięgi waćpana.
Możesz kazać wyprządz swoje skarogniade,
Własną moją ręką sianka im nakładę.
Jedna im praca zagraża
Zawieźć nas do ołtarza.
Mościa dobrodziejko, najsłodsza jagódko!
Dręczyłaś mnie srodze, lecz to trwało krótko,
Więc się do stópek twych ścielę
Za tydzień nasze wesele!“

Kwatermistrz nie mógł już tego znieść dłużej. Rozdrażniony do najwyższego stopnia, zawołał:

— Dość już tych żartów! Panie naczelniku, niech pan nie pozwala dalej czytać tych głupstw i drwić ze zbytniej może gorliwości urzędnika. Mówiłem, że to nie to, tylko tamto na drugiej stronie.

— Czytać wszystko — zawyrokował naczelnik, który także lubił krotochwile, a nie mógł upodobaniu temu często folgować, żeby nie narazić powagi swego urzędu. Dziś, gdy się sposobność sama nadarzyła, rad jej był, choć obojętnego udawał. Nie przestając wygładzać paznokci, rzucał z pod przymróżonych powiek szyderskie na Kurtza spojrzenie i uśmiechał się.

— Na tej stronie niema już nic więcej — powiedział burmistrz i odwrócił kartę.

Kwatermistrz odetchnął. Burmistrz odkrząknął znowu i czytał:

„Ale wiedz asińdziej, nie mówiąc nikomu.
Że ja lubię zawsze być panią w swym domu:
I musisz zawsze to wiedzieć,
Że będziesz w pantoflu siedzieć!
Niechaj Jezus Chrystus będzie pochwalony:
Od powietrza, głodu i od takiej żony,
Broń mnie Jezusie, Ty Chryste,
Toć to skaranie jest czyste!
Gdzieżeś się to aśćka tego nauczyła,
Żeby żona męża tak za nos wodziła
I pantoflem go straszyła?
Nic z tego asińdżko miła!
Czekaj sobie aśćka, aż ci się ktoś zdarzy,
Któremu z pantoflem byłoby do twarzy.
Ja słysząc takie androny
Gdzieindziej poszukam żony.“

Po każdej strofie dostojne zgromadzenie wybuchało śmiechem, a po ostatniej powstała taka wesołość, że aż brzęczały okna sali. Śmiali się panowie rajcy, śmiał się burmistrz tak bardzo, że aż mu się brzuch trząsł, śmiał się dystyngowany naczelnik, zapomniawszy zupełnie o powadze swego urzędu. Nawet surowe twarze burmistrzów zdawały się ze ścian uśmiechać. Jak Kozłów Kozłowem, nie było tak wesołego posiedzenia w ratuszu.

Żołnierz stojący na warcie przy schodach zaniepokojony hałasem wzmagającym się ciągle, udzielił swego spostrzeżenia woźnemu, który pobiegł na górę, otworzył drzwi, a że był człowieczyna jowialny i śmiejący się z byle czego więc choć nic wiedział o co chodzi, porwany ogólnym prądem, zanosił się także od śmiechu.

Jeden tylko kwatermistrz siedział ponury, gniewny i szarpał faworyty, klnąc w duchu swoją omyłkę — bo, że to była omyłka, nie mógł wątpić. Gniew jego powiększyła jeszcze okoliczność, że naczelnik widocznie dla dokuczenia mu, kazał dokument do aktów dołączyć.

X.

Nazajutrz zrana przy śniadaniu, odebrał Jerzy list z Paryża: było to w ogrodzie pod werandą, której dobrze już pociemniałe od słońca szczeble, oplatał groszek pachnący. Drobne jego różowe kwiatki błyszczały wdzięcznie wśród zieleni, a miła, łagodna woń mieszała się z aromatyczną wonią kawy gotującej się w maszynce na stole.

Promienie słońca przeciskając się z góry przez niezbyt gęstą jeszcze zasłonę z liści, kładły swoje smugi na stole i na ziemi. Jedna z nich padała prosto na charakterystyczną głowę pani Wilczkowej, nadając połysk srebra jej siwym włosom, wyglądającym z pod czarnego koronkowego czepca, a twarzy pomarszczonej od starości i cierpień, jakiś blask pogody.

Z dobrotliwym uśmiechem słuchała opowiadań synowca o stadzie dzikich kaczek napotkanych o świcie w szuwarach: jak do nich stawał Aport, pies doktora, jak je mały pastuszek, szukający swoich gęsi spłoszył, co było zbrodnią wołającą o pomstę do nieba.

O planach na przyszłość nie było nigdy mowy między nimi. Staruszka unikała starannie

tego przedmiotu, choć Bóg jeden tylko wiedział jak pragnęła młodzieńca w kraju zatrzymać, jak gorąco codzień modliła się o to. Cieszyła się skrycie jego stopniowo wzrastającem zajęciem się sprawami miejskiemi, jak również i rozrywkami, które sobie wynajdywał, bo to nie pozwalało mu się nudzić. Oznaczone z początku dwa tygodnie jako termin wyjazdu, zbliżały się do końca, a o wyjeździe jakoś nie było mowy. Nikt o nim nie wspominał, chociaż wszyscy myśleli.

Jadzia przyniosła talerz skibek chleba wiejskiego, pokrajanych cieniutko, posmarowanych masłem i postawiwszy go na stole, zabrała się do nalewania kawy. Jerzy przerwał nagle opowiadanie i patrząc na jej wdzięczne ruchy, na lekko zarumienioną twarzyczkę i gałązkę czeremchy we włosach, którą jej był przyniósł z rannej wycieczki — myślał sobie, że życie jest wcale miłe na tym partykularzu. Czy Jerzy był już zakochany, trudno na to odpowiedzieć; ale jeżeli był, to miłość nie odebrała mu jeszcze apetytu. Ze smakiem pił wyborną kawę i uprzątał skibki chleba z talerza — a gdy kuzynka żartując z jego niepowodzeń myśliwskich, zróbiła uwagę, że mu one jednak humoru nie odebrały, utrzymywał, że tak właśnie filozofowi przystało.

W tej chwili Gertruda przyniosła listy i gazety. Pani Wilczkowa przejrzała paczkę i podała synowcowi list jeden mówiąc:

— To do ciebie Jerzy — poczem z pozorną obojętnością rozwinęła arkusz gazety i zagłębiła się w czytaniu.

Młodzieniec spojrzawszy na adres rozerwał kopertę szybkim, gorączkowym ruchem i w miarę jak list przebiegł oczyma, twarz jego mieniła się odbiciem różnych sprzecznych uczuć. Były tam błyski niespodzianej radości i chmurki żalu, ale te drugie ustępowały coraz bardziej pierwszym. Dawny człowiek budził się w Jerzym z całym dawniejszym egoizmem i ambicyą, przytłumionemi chwilowo przez wpływy otoczenia i pragnienie przyczynienia się do dobra współbraci. Krewny matki pisał, że mówił o nim z księciem C., i że książe obiecał dopomódz mu swymi stosunkami — a obietnica ta rozpalała wyobraźnię Jerzego, ukazując mu w perspektywie ziszczone jego najświetniejsze marzenia. Kto wie do czegoby mógł dojść, wszedłszy na drogę dyplomatyczną — i czy zakopując się tu na partykularzu i zrzekając wszystkiego dla ideałów prowincyonalnych, nie popełniłby grzechu samobójstwa duchowego. Krewny pisał mu jeszcze, że może liczyć na bezpłatne mieszkanie i życie u niego — a to wielce ułatwiało Jerzemu spełnienie zamiarów, usuwając od niego troskę o chleb powszedni. Mógł przeto spokojnie zabrać się do pracy nad broszurą, którą spodziewał się zwrócić na siebie uwagę.

I o tych wszystkich pięknych planach on zapomniał, ale odpędzał je sam, jeżeli mu na myśl przychodziły, ulegając wpływowi dwóch kobiet, chcących zeń zrobić bohatera prowincyonalnego! I on sam uległ im nawet tak dalece,

że jak drugi Don Kiszot gotów był wystąpić do walki z wiatrakami. Należało więc coprędzej wyrwać się z tego otoczenia, ubezwładniającego jego wolę i rozmiękczającego serce... I tak już dosyć okazał słabości. Jak błyskawica przemknęła mu przez głowę myśl, że w tej słabości właśnie jest może siła największa, najbardziej bohaterska, bo interes braci każe stawiać wyżej nad swój własny — ale to jest poezya, to mrzonki nie mające żadnej pozytywnej podstawy. »Był las, nie było nas; nie będzie nas, będzie las!« Egzystował Kozłów dotąd, egzystować nie przestanie choć on wyjedzie. Niechaj Kozłowianie sami myślą o sobie i radzą sobie jak mogą i umieją. Chcieliby z niego zrobić trybuna ludowego; no! gdyby to Kozłów był Rzymem a on jak Cola Rienzi mógł nim zawładnąć i rządzić wedle swej woli, to co innego.

Ale w Kozłowie rola ta nie była wcale ponętną; nie obiecywała w perspektywie najdalszej ani władzy, ani majątku, ani nic, prócz miłości i wdzięczności gołych jak sam trybun obywateli — nic, prócz przekonania, że się działa w imię sprawiedliwości i abstrakcyjnej nagrody we własnem sumieniu, które nie było także niczem innem jak abstrakcyjnem pojęciem, wytworzonem przez wiekowe tradycye i nawyknienia.

Dosyć tego: trzeba raz skończyć z dziecińskwami, niegodnemi doktora filozofii. Zresztą kto wie, czy jeżeli mu szczęście posłuży, nie zdoła więcej zrobić dla miasta, niż gdyby teraz w niem

pozostał! Może Kozłowianie właśnie kiedyś błogosławić go będą za to, że odjechał. Mądre te rozumowania jednakże nie zupełnie zadowalały Jerzego. List ten, pomimo świetnych obietnic rzucił na jego duszę cień wątpliwości i niepokojów. Dobry jego humor i wesołość pierzchnęły, a uczucie miłej swobody i spokoju z któremi mu było tak dobrze, przepadło! Ale to były zapewne resztki niemęskiej słabości...

List z Paryża rzucił także cień na piękną twarzyczkę Jadwisi. Nie spuszczała ona oczu ze swego kuzyna, śledząc na jego twarzy każde drgnienie i odgadując myśli — a w miarę tego badania, pogodna ta przed chwilą twarzyczka, przybierała wyraz bolesnego, wzmagającego się ciągle niepokoju, a oczy stawały się coraz smutniejsze. Ale gdy Jerzy wsunął napowrót list do koperty, pochyliła się nad jakąś w piśmie illustracyą, zdającą się pochłaniać całą jej uwagę.

Dwa wróble skaczące po ścieżce zbliżyły się pod sam dach werandy, a widząc, że nikt na nie nie zważa, zaczęły z nadzwyczajną szybkością zbierać okruszyny chleba. Jerzy patrzył machinalnie na ptaki, myśląc, dlaczego on miałby zadowalać się tylko okruchami życia, kiedy ma sposobność czerpać z pełnego stołu... Życie szarego, skrzętnego wróbla, nie dla niego; szerokich przestrzeni pragnął, orlego lotu...

Jadzia odwróciła kartę, a szelest ten spłoszył ptaszki i młodzieńca przebudził z zamyślenia. Podniósł głowę i popatrzył uważnie na obie

kobiety; ale jednej zobaczył tylko wierzch czarnego koronkowego czepka z nad gazety, a drugiej piękna główka pochyliła się tak nad czytaniem, że twarzy prawie nie było widać, tylko szlachtne linie czoła i niezmierne bogactwo włosów. Jerzy lubił patrzeć na tę główkę i często go ogarniało wtedy jakieś słodkie rozrzewnienie; ale w tej chwili zły był na ten urok działający na niego bezwiednie. O! ileż dałby za to, żeby kuzynka była brzydką i niezgrabną; byłoby mu lżej powiedzieć, co miał do powiedzenia i łatwiej odjechać...

Ale czemu to ma być dla niego trudnem? Z jakiego powodu? co za dzieciństwo!

— Odebrałem list od wuja — odezwał się, przystępując prosto do rzeczy.

Gazeta zasłaniająca panią Wilczkową, pochyliła się na stół.

— Aa — odezwała się, topiąc w nim przenikliwe spojrzenie — i cóż w nim wyczytałeś?

— Wuj zachęca mnie do przyjazdu i daje świetne warunki — odpowiedział i zamilkł na chwilę, czekając, aby go spytano co to były za warunki. Ale obie kobiety milczały.

— Postanowiłem je przyjąć — dokończył prędko i odetchnął, jakby się pozbył wielkiego ciężaru. — Dzieciństwem byłoby nie skorzystać z tak świetnej sposobności, która...

— Nie potrzebujesz się tłómaczyć — odrzekła chłodno pani Wilczkowa; wybierasz to, co uważasz za lepsze dla siebie... życzę ci powodzenia... Kiedy chcesz wyjechać?

— Pojutrze — odrzekł dotknięty, że to poszło tak łatwo i że nikt przeciwko jego postanowieniu nie protestował.

— Dobrze; pamiętaj Jadwisiu, zaopatrzyć go w żywność na drogę.

To powiedziawszy zabrała się na nowo do czytania.

— Stryjenko — odezwał się Jerzy z żalem — mówi stryjenka do mnie tak, jakbym był obcym. Czy nie powie mi stryjenka życzliwie: Jedź z Bogiem!

— Nie, mój Jerzy — przemówiła surowo — nie mogę ci tego powiedzieć, bo Bóg nie prowadzi tych, co odchodzą z domu w chwili niebezpieczeństwa.

Jerzy milczał.

— Mówisz, że przemawiam do ciebie jak do obcego, a czemże ty staniesz się dla mnie od pojutrza, jeżeli nie obcym zupełnie? Swój nie rozstaje się tak łatwo ze swoimi, bo łączy go nić serdeczna, której nikt nie zrywa dobrowolnie. Wolałabym, żebyś jadł gorzki chleb wygnania, bo chleb ten byłby polewany łzami tęsknoty, a rzucając kraj dla pogoni za bogactwem i zaszczytami, syt wszystkiego co daje pomyślność i swoboda, zapominasz o łaknących i spragnionych.. Jakież to nędzne, jakie samolubne te wielkie twoje plany!.. Można spełniać małe idee, a mieć wielką duszę! Idź, szukaj szczęścia u obcych, ale wiedz o tem, że choćbyś nawet został ministrem potężnego państwa, będziesz w moich

oczach mniejszym od prostego wyrobnika, który tu żyje i umiera... Orły żyją na niedostępnych składach i szybują wysoko, ale dla rolnika pożyteczniejszym jest mały szary wróbel, który wytępia gąsienice.

— Krzywdę mi czyni stryjenka tak mówiąc — odrzekł Jerzy posępnie, — wyjeżdżam, ale powrócę... a wtedy będę mógł zrobić dla miasta daleko więcej niż dzisiaj, gdy jestem bez majątku, bez znaczenia i bez władzy.

— Jerzy, nie licz nigdy na jutro. Pismo Święte mówi: »Czyńcie na każdy dzień dobrze, póki się d z i s i a j nazywa«, a stare przysłowie polskie powiada: »dwa razy daje, kto prędko daje«. Alboż ja żądam, abyś koniecznie zakopał się w Kozłowie! Żyj, gdzie chcesz: Polska jest dość obszerna i żywi tylu obcych przybyszów, że i dla własnych dzieci jeszcze chleb znajdzie. Żyj gdzie chcesz, ale nie wynoś z Ojczyzny tego co jest najcenniejsze: sił młodych i męskie energii, bo uczynisz jak ci, co przy pożarze zamiast ratować dom zagrożony, rozkradają belki i deski. Czy myślisz, że jeżeli chcę cię zatrzymać, to o siebie mi chodzi? Jam już stara i czy zgryzota zabije mnie prędzej czy później, to wszystko jedno; ale mi idzie o tych co pozostają, żeby nie słabli żyjąc ciągle w beznadziejnej trosce i żeby w nich poczucie prawa nie umarło.

Zamilkła. Na twarzy jej znać było pracę myśli: przemawiała już do jego poczuć obywatelskich, do jego sumienia, nic nie pomogło.

Postanowiła uderzyć jeszcze w strunę, której nie poruszała dotąd, do serca — rzekła więc głosem w którym nie było ani śladu surowości z jaką dotąd przemawiała, ale boleść.

— Nie dla siebie pragnę cię zatrzymać mój Jerzy, choć od dnia, w którym cię przywiozłam do domu, płaczącego, małego sierotę, drogim mi byłeś, jak syn własny... Drżałam o ciebie, gdyś był chory, płakałam z radości gdyś wyzdrowiał, a gdy znajdowałeś się daleko, myślałam o tobie ciągle i wyglądałam twego powrotu. Nie dziw się temu: przywyka się, przywiązuje do dziecka, które się wychowało; dlatego dziś cierpię na myśl rozstania. Nie potrzebujesz jednak na to zważać. Jeżeli ci tu nic nie jest drogiem, ani ludzie, ani ziemia, ani powietrze, ani groby, to jedź!

Jerzy nie mógł dłużej wytrzymać. Dopóki pani Wilczkowa swoje przekonania stawiała przeciwko jego przekonaniom, dopóki go potępiała i piętnowała wzgardą, trwał upornie w powziętem postanowieniu — ale gdy się odezwała do jego serca i przypomniała mu swoją dla niego miłość, poczuł, że i on także ma serce. Zapominając o swoim egoiźmie, zerwał się z miejsca; chciał się rzucić do kolan staruszki i wszystko przyrzec, gdy przypadek zjawiający się często w najważniejszych i najmniej pożądanych chwilach, nie pytany i nie proszony, powstrzymał ten wybuch uczucia. Niepożądanym tym gościem był doktór. Pomimo upału zjawił się pod werandą w swoim

sukiennym, szaraczkowym płaszczu; Jerzy na jego widok ostygł w swoim zapale.

— Dzień dobry kochanym państwu, dzień dobry — mówił doktór, podając wszystkim kolejno ręce. — Jak się ma kochana pani Wilczkowa?

— Bardzo dobrze — odrzekła siląc się na uśmiech. — A pan, panie doktorze skąd wracasz?

— Ja od naczelnika powiatu, który czasami bywa chory na nerwy — odrzekł, siadając na ławce i ocierając pot z czoła — a że mam na tej ulicy jednego żydka chorego, więc wstąpiłem do państwa po drodze, w nadziei, że trafię przypadkiem na śniadanie; bo jak państwo wiecie, trafiam zawsze do ludzi wtedy, gdy się u nich z komina kurzy.

— Kawa będzie natychmiast — odezwała się Jadwisia wstając, ale babka wstrzymała ją ruchem ręki.

— Zostań — szepnęła — ja sama przyszlę tu kawę dla doktora.

I odeszła do swego pokoju, żeby ukryć ślady wzruszenia.

Po jej odejściu, doktor zmienił nagle przedmiot rozmowy.

— Kochany panie Jerzy — powiedział — przyszedłem właśnie, żeby z wami pomówić na osobności i dobrze się stało, że pani Wilczkowa zostawiła nas samych.

— Pomówić... o czem? — zapytał młodzieniec.

— A no, o tej kwaterze. Wyjawiłem ci już moje zdanie, że lepszy jest pokój niż wojna; jeżeli pokojowo można coś załatwić, po co porywać się do miecza?

— Nie widzę sposobu takiego załatwienia sprawy — odrzekł Jerzy marszcząc brwi lekko. — Chcą nam nieprawnie narzucić kwaterę, a my nie chcemy przyjąć. Czyżby deputacya zrzekła się tego zamiaru?

Doktor zdjął okulary i zaczął je starannie przecierać.

— Nie zrzekli się, bo pułkownika nie mają gdzie pomieścić.

— A zatem? — zawołał z gniewnym błyskiem oczu.

— Spokojnie, kochany panie Jerzy, spokojnie, nie trzeba się tak zaraz unosić. Nie mają gdzie pomieścić pułkownika, a pułk przychodzi dzisiaj do Kozłowa. Czego nie dacie dobrowolnie, wezmą bez waszego pozwolenia, a pani Wilczkowa, której chcecie oszczędzić przykrości i która dotąd nic nie wie co ją czeka, będzie narażona na przykrość jeszcze większą, bo nie spodziewaną.

Jerzy obruszył się.

— Czyż pan naprawdę przypuszczasz możliwość podobnego faktu?

Doktor rozśmiał się.

— Dziwi mnie to, że pan nie przypuszczasz.

— Ależ ja podałem już skargę!

— I myślisz pan, że deputacya będzie czekała, aż otrzymasz na nią odpowiedź? Za dzieci

ich bierzesz czy co? Skarga będzie szła swoją drogą a kwatera swoją. Skarga znajduje się w tej chwili daleko, a pułkownik blizko. Zresztą mój panie Jerzy, byłem zawsze za tem, żeby nie zadzierać z magistratem. Kto ma dom w mieście, musi na to zważać.

— Radzisz więc pan, żebyśmy się poddali dobrowolnie, i to jest owa różczka oliwna z jaką przyszedłeś?

— Nie, przychodzę z propozycyą, żeby wynająć w mieście kwaterę dla pułkownika; u Hamera w rynku, jest właśnie wolne całe piętro.

— Dlaczegoż deputacya sama nie pomieści tam pułkownika!

— Bo w tym domu są już dwie kwatery, i nie może być trzeciej; co innego gdy ktoś prywatnie wynajmie mieszkanie na kwaterę.

— Aa!

— Projekt ten wydał mi się wcale dobrym — mówił doktor dalej — mieszkanie jest tam obszerne i zupełnie na ten cel odpowiednie. Wynajmując je na kwartał, unikniecie nieprzyjemności w domu. Z magistratem będzie zawieszenie broni, a tymczasem skarga może odniesie skutek. Mówiłem właśnie przed chwilą z naczelnikiem i on się prawie na to zgadza. Gonczarow jest bardzo życzliwie dla was usposobiony.

Jerzy nic nie odpowiedział; myślał on i rozważał to co słyszał. Gdyby pozostał w Kozłowie, wolałby otwartą walkę niż ustępstwo — ale skoro miał odjechać, propozycya doktora dogadzała

mu nawet. Załatwi sprawę i nie będzie czuł przy najmniej wyrzutów sumienia, że dwie kobiety same w przykrem położeniu zostawił. Ustępstwo wprawdzie nie leżało w jego charakterze i było dlań rzeczą niewymownie przykrą, ale powiedział sobie, że powinien to uczynić, powinien to znieść jako karę za to, że on właśnie piwa nawarzył. Był sobie wdzięczny teraz, że nie uległ chwilowej słabości serca i nie obiecał zostać.

Siedział tak czas jakiś z głową opartą na dłoni, a gdy ją podniósł, oczy jego spotkały się z oczyma kuzynki patrzącej na niego nawpół badawczym, nawpół gniewnym wzrokiem. Porównywała ona w myśli to czoło zawsze tak dumne i wyniosłe, z chmurami jakie je teraz przysłaniały i oczy zawsze tak jasne i pogodne, z mętnem, niespokojnem spojrzeniem — i przypomniała sobie mimowoli słowa z ulubionego poematu Anczyca:

„Nie znać w nich jednak tej spartańskiej buty
Co ludom Grecyi w oczy kurz miotała;
Wzrok mężów chmurny, do ziemi przykuty,
A twarz od sromu blada i nieśmiała.“

— A ty Jadwisiu jakiego jesteś zdania? — zapytał Jerzy.

— Ja sądzę — odrzekła głosem spokojnym na pozór — że dla babki trzeba wszelką ponieść ofiarę. A skoro niema innego sposobu...

Jerzy spuścił oczy.

— No, kiedy tak — odezwał się doktór, który mrużąc oczy przypatrywał się uważnie o-

bojgu — to nie trać pan czasu, panie Jerzy, bo mieszkanie może kto inny wynająć. Trzeba dać zaraz zadatek i iść do naczelnika. Człowiek to gładszy, niż cała deputacya kwaternicza i łatwiej z nim przyjdziesz do końca, niż z kim innym. Na mnie też już czas. Bierz pan kapelusz, pójdziemy razem.

— A kawa? — spytała Jadwisia wskazując na Gertrudę niosącą tacę.

— Dziękuję. Nie mam czasu.

Westchnęła. Pragnęła ona zatrzymać Jerzego jeszcze choćby przez chwilę, w skrytej nadziei, że w postanowieniu jego zmieni się co jeszcze. Zdawało jej się, że młodzieniec się waha.

Jerzy podniósł się zwolna nie mając odwagi spojrzeć w oczy kuzynce. Czuł on, że od chwili gdy uczyni pierwszy krok, straci przewagę moralną nad tymi, przeciw którym wczoraj jeszcze powstawał. Czuł, że nie należało uprzedzać ale czekać na stanowisku w postawie obronnej; że proponować układy, jest to uważać się za pobitego. Czuł to wszystko, a jednak... sięgnął po kapelusz.

Gdy odeszli z doktorem, Jadwisia długo za nimi patrzyła. Ten, który wczoraj jeszcze zdawał jej się być wcieleniem męskiego ideału, dzisiaj okazał się zimnym egoistą. Jakże się myliła, sądząc, że jest przywiązanym do babki i do niej! On kochał tylko siebie.

Łzy obfite puściły się z jej oczu i szepnęła z boleścią:

— Gwiazda spadająca!

Podczas tej godziny jaką doktór przepędził w ogrodzie Wilczków, wiele się w usposobieniu naczelnika dla tej rodziny zmieniło. Poczta ranna przyniosła pismo gubernatora, a w tem piśmie pan i władca powiatu dostał naganę za to, że niewłaściwie prezydował na posiedzeniu deputacyi kwaterniczej w ratuszu. »Obowiązkiem waszym jest pilnować wypełniania przepisów, a nie mięszać się samemu do czynności«, pisał gubernator, a wyrazy te ubodły mocno nerwowego pana naczelnika, który będąc nieograniczonym panem w powiecie, nie mógł być przecież nieograniczonym panem w mieście. Chociaż przeciwnik wszelkich środków energicznych, gdy jednak jego miłość własna została dotknięta, żałował, że stan oblężenia w Królestwie Polskiem został zniesiony: bo przedtem naczelnicy załatwiali wszelkie sprawy sami, bez odwoływania się do gubernatorów, a teraz władza ich była bardzo ograniczoną. Wzburzony chodził po swoim gabinecie, z wypiekiem gorączkowym na twarzy i założonemi w tył rękami. Nieodstępny pilniczek leżał porzucony na biurku, obok owego nieszczęsnego papieru i koperty z wielką urzędową pieczęcią. Była to jedna z tych chwil wyjątkowych, w których pan naczelnik zapominał o swoich paznokciach. Gdy mu zameldowano Jerzego, kazał go zaraz wpuścić, a nerwowe drżenie ust pokazywało, jak bardzo był rozgniewanym na tego, co stał się mimowolnym powo-

dem nieprzyjemności dla niego; bo z jego to skargi przecież gubernator miał wiadomość o prezydowaniu naczelnika na radzie w ratuszu.

Jerzy jak tylko wszedł, poznał zaraz, że trafił w niedobrą porę, ale zapóźno już było się cofać. Zresztą postanowił, tak czy owak, raz już zakończyć tę sprawę. Naczelnik zmierzył wchodzącego nieprzyjaznym wzrokiem i stając na środku pokoju, zapytał:

— Cóż to za szczęśliwy przypadek sprowadza mi zaszczyt pańskich odwiedzin?

— Pan naczelnik się myli — odpowiedział z chłodną powściągliwością Jerzy, który od razu zrozumiał subtelną ironię zawartą w tych słowach — nie przychodzę z wizytą, tylko z interesem.

— Proszę? i cóż to za interes? słucham — rzekł stojąc ciągle i nie myśląc prosić siedzieć przybyłego.

— Zaraz go panu naczelnikowi przedstawię, ale pozwoli pan, że usiądę — odrzekł Jerzy podrażniony tem przyjęciem i usiadł.

— Jak się panu podoba — odpowiedział z lekceważeniem Gonczarow — tylko proszę mówić prędko, bo nie mam czasu.

— Doktor powiedział mi, że pan naczelnik go zapewnił, iż przyjaciel pański, hrabia Reden, zgodzi się zamieszkać u Hamera w rynku. Wynająłem więc całe piętro i przychodzę prosić pana naczelnika, aby je był łaskaw wraz z burmistrzem obejrzeć.

— Aa — więc pan nareszcie poddajesz się rozporządzeniom deputacyi — odrzekł szyderczo Gonczarow. — Nie taki dyabeł straszny jak go malują! Tak mówiłem istotnie przed godziną ale teraz jestem innego zdania. Mieszkanie u Hamera nie będzie dogodne dla mego przyjaciela. Pieców tam zamało i źle grzeją, okna nie pasują szczelnie, a przytem... a przytem... pokoje są zniszczone.

Krew zawrzała w żyłach młodzieńca, ale za panował nad sobą.

— Jeżeli tak jest — zauważył spokojnie — to postaram się je doprowadzić do dobrego stanu.

— To się na nic nie zda!— zawołał porywczo Gonczarow. — Hrabia zajmie tylko to mieszkanie, które obecnie zajmuje pani Wilczkowa. Proszę je zaraz kazać opróżnić! Inaczej poradzimy sobie sami. Pan sobie możesz skarżyć nas do kogo chcesz, nie tylko do jenerał-gubernatora, ale nawet do ministra spraw wewnętrznych, daję panu na to moje pozwolenie; ale wiedz pan o tem, że skargi pańskie będą wszędzie odrzucane a pani Wilczkowa, w której imieniu pan występujesz, tylko więcej na tem ucierpi.

Wargi Gonczarowa, gdy to mówił, drżały, obwódki powiek i brwi rzadkie zaczerwieniły się, a oczy rzucały błyski stalowe, ostre. Jerzy wstał.

— Żartuje pan naczelnik — odezwał się, gdy ten potok wyrazów ustał — wiadomo panu bowiem doskonale, że jeżeli zechcę wnieść nową

skargę, nie będę potrzebował prosić pana o pozwolenie. Skarżyć się każdy ma prawo, a o ile wiem, żaden ukaz jeszcze poddanym Rosyi tego nie wzbronił.

— Ten zawsze powołuje się na ukazy — pomyślał Gonczarow — lis chytry, przebiegły lis.

— Przyszedłem tu jako strona pokojowa, nie jako wojująca — mówił dalej Jerzy — widzę jednak, że źle trafiłem. Pan naczelnik widocznie jest chory i żadnych spraw, zwłaszcza urzędowych, załatwiać nie może. Przepraszam za to bardzo i żegnam pana. Jeżeli panowie będziecie chcieli porozumieć się ze mną, można mnie zastać w domu.

— Chcesz mi pan dać do zrozumienia, że gadam od rzeczy — zawołał podrażniony jeszcze bardziej — strzeż się pan. Pani Wilczkowej nie śniłoby się nawet skarżyć na nas, to pan ją uczysz i piszesz za nią skargi; za takie rzeczy można zostać pociągniętym do odpowiedzialności!

— Na zasadzie jakiego postanowienia, panie naczelniku? — spytał Jerzy spokojnie.

— Na zasadzie władzy dyskrecyonalnej, jaka mi została nadaną, jeśli w kimś dojrzę usposobienie niespokojne.. W panu mieszka duch niespokojny, który mi się nie podoba i ostrzegam pana jako szczerze panu życzliwy, jako przyjaciel...

Jerzy uśmiechnął się.

— ...abyś pan opuścił miasto, dopóki panu nic nie grozi. Słyszałem, że pan masz zamiar

wkrótce wyjechać do Paryża; każę panu odesłać paszport, żebyś pan nie miał żadnej przeszkody w spełnieniu swych zamiarów.

— Dziękuję panu naczelnikowi za jego uprzejmość i przyjacielską życzliwość — odrzekł Jerzy z ironią.—Miałem istotnie zamiar wyjechać pojutrze, ale teraz... namyślam się.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a w twarzy Gonczarowa zaszła raptownie zmiana. Złagodniał nagle i oglądając swoje paznokcie, rzekł:

— Poślę kwatermistrza do Hamera, żeby obejrzał mieszkanie, które pan wynająłeś dla hrabiego Redena.

Jerzy ukłonił się i wyszedł. Naczelnik przyglądał się czas jakiś pilniczkowi, który trzymał w ręku, nareszcie cisnął go z gniewem na stół i otworzywszy drzwi, posłał woźnego po sekretarza magistratu.

Gdy ten po dziesięciu minutach przybiegł zadyszany i spocony, kazał mu iść do Jerzego Wilczka i oświadczyć, że ani on, ani burmistrz, ani kwatermistrz, mieszkania u Hamera oglądać nie będą i że hrabia Reden nie gdzie indziej, tylko w domu Wilczków zamieszka.

— Dobrze panie naczelniku — odpowiedział sekretarz, zauważywszy, że władca powiatu ma mocne wypieki na twarzy.

XI.

Jednocześnie z pismem do naczelnika, przyszło także pismo do magistratu, a w niem władca i pan gubernii wyrażał swoje wysokie niezadowolenie z powodu skargi podanej na deputacyę kwaterniczą, przez niejakiego Jerzego Wilczka, szlachcica. Żądając tłómaczenia się z poszczególnych zarzutów, przypominał deputacyi, że wedle przepisów nie ma ona prawa wybierać sama kwater, bo wskazywanie ich należy do gospodarzy domów, a do niej należy tylko dopilnować, by kwatera była odpowiednią taryfie. Przepisy nie dozwalają mieścić dwóch kwater w jednym domu, przeto polecał pozostawić w domu Wilczków tę, która jest, lub zastąpić ją inną, co się zostawia decyzyi deputacyi. To wyraziwszy, objawił życzenie, aby na przyszłość, on, gubernator, nie potrzebował uczyć deputacyi jej obowiązków, bo ma ważniejsze sprawy na głowie.

Ostry ton tego pisma nie zrobił wielkiego wrażenia w ratuszu; nie pierwsza to była skarga i nie pierwsza nagana. Do skarg i nagan deputacya była przyzwyczajona, i w układaniu odpowiedzi na nie, nabyła już pewnej wprawy. Gu-

bernator rozumie doskonale — mówili sobie deputaci — że jeżeli mijali się z przepisami, czynili to dla dogodzenia oficerom, czyli poprostu przez patryotyzm; choć prywatnie pochwaliłby ich postępowanie, jednakże ganić je musiał z urzędu, niby ten ojciec dobry, który jedną ręką głaszcze podczas gdy drugą chłostę wymierza. Bo przecież nie od czego innego siedział na swojej gubernatorskiej stolicy, tylko od pilnowania, żeby wszystko działo się wedle ukazu.

— »Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy« — powiedział sentencyonalnie pan burmistrz, który znał trochę Mickiewicza, bo czytywał go czasem, gdy odzywała się w nim krew matczyna. Był on dziś w doskonałym humorze, dowiedział się bowiem przypadkiem, że naczelnik był bez humoru z powodu otrzymanego monitum.

— Będzie wiedział teraz, że ja tu jestem panem, nie on — mówił do siebie zacierając ręce. — Ja mu się nie mieszam do powiatu, czego on mi się miesza do spraw miejskich? Niech każdy swego patrzy!

Wśród śmiechów i żartów postanowiono zadość uczynić przepisom, przez usunięcie z domu pani Wilczkowej geometry, a umieszczenie pułkownika. Jerzy mniej dziś wydawał się im strasznym, bo dowiedziano się, że chodził do naczelnika w celu zawiązania układów. Burmistrz nawet zaczynał wierzyć, że da się ugłaskać. Zredagowano zaraz na pismo gubernatora odpowiedź,

w której wszystkie zarzuty Wilczków zostały obalone a deputacya wyszła czysta i bez skazy, opromieniona aureolą męczeństwa za patryotyzm.

Ruch był wielki tego dnia w Kozłowie. Po mieście rozeszła się wieść, że pułk przychodzi. Policyanci, których zawsze widzieć można było wysiadujących na schodach ratusza, lub podpierających ściany domów, kręcili się żwawo po ulicach, a najwięcej między żydami, gdzie czerwone ich kołnierze dnia tego budziły paniczny przestrach. Gdzie się policyant pojawił, tam potem zaraz powstawał wielki gwałt, lament i bieganina. Od kupców niezamożnych (zamożni zawsze dawali sobie radę) mieszczących się w jednej tylko niewielkiej izbie przy sklepach z całą liczną nieraz rodziną, żądano kwater dla oficerów, któremu to żądaniu w takim tylko razie mogliby zadość uczynić, gdyby się sami razem ze swymi towarami na ulicę wynieśli. Był więc, jak mówi Pismo św., »płacz i zgrzytanie zębów«. Wojsko wyświadczyło miastu zaszczyt, wybierając je za miejsce swego czasowego pobytu, i dobrodziejstwo, bo jego obecność dawała mu zupełne bezpieczeństwo; a miasto lamentowało jak niegdyś Jeruzalem, gdy posłyszało o zbliżaniu się wojsk Tytusa! Ten i ów podkasawszy poły chałata, gonił po mieście za deputacyą kwaterniczą, złożoną z burmistrza, kwatermistrza i Fryca, żeby od niej ulgi dla siebie wytargować; a deputacya chodziła po ulicach z wielką powagą, główna zaś w niej osoba burmistrz, z zadartą głową i rękami w tył założonemi.

Trójca ta zatrzymywała się przed tym, to przed owym domem odbywała krótkie narady, których ważność tak absorbowała burmistrza, że zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć. Widział on jednak dobrze wszystko co się dokoła działo, bo zerkał raz po raz na wszystkie strony, a twarz jego rozpromieniała się poczuciem własnej władzy i potęgi — ruch ten bowiem i ten niepokój mieszkańców i ta bieganina, jego były dziełem. Gdyby wiadomości o przyjściu pułku udzielił miastu zaraz, gdy ją sam otrzymał, tj. na dwa tygodnie przed terminem, wszystkoby się jakoś powoli ułożyło; ale w Kozłowie trzymano tę wiadomość w tajemnicy, a pogłoski chodzące od dawna o tem po mieście, jak również i groźba pomieszczenia komenderującego pułkiem w domu Wilczków, nie miały w oczach ludności żadnego charakteru stanowczego. Dopiero w ostatnim dniu puszczono wieść na miasto, niby rację ognistą budzącą przerażenie. System ten musiał być jednak korzystnym, skoro go tu od lat wielu uprawiano; że zaś korzyść nie leżała po stronie mieszkańców tylko po stronie deputacyi kwaterniczej, niema nawet o czem mówić. Zawsze miasto korzystało na tem, boć magistrat w mieście się znajdował, nie gdzie indziej.

Tak sobie rozumował pan burmistrz, gdy go obstąpiła gromada suplikantów, którym z wielkiej alteracyi o mało nie pospadały jarmułki. Popychali się oni wzajemnie, szwargotali, jęczeli, targali za odzienie kwatermistrza i Fryca, co

miało znaczyć, że proszą ich o protekcyę do głównego potentata. Przyskakiwali i odskakiwali od nich, ale pan burmistrz niełubiący hałasów i powtarzający sobie często: »Błogosławieni cisi i pokornego serca, albowiem ich jest Królestwo niebieskie«, ku tym najżyczliwiej ucho skłaniał, którzy nie krzykiem, nie płaczem, ale milcząco a wymownie swoje prośby popierali. »Mowa jest srebrem, ale milczenie jest złotem«, mówi mądre przysłowie: burmistrz był spokojnym człowiekiem i milczenie przenosił nad wszystko. Do tych, co najgłośniej hałasowali, mawiał:

— Wstydźcie się, nie warci jesteście zaszczytu, jaki wam wyświadcza dowodzący pułkiem, hrabia Reden, na moją prośbę. Zasługujecie na to, żebym dla ukarania was, telegrafował do niego, aby wybrał sobie inne, patryotyczniejsze miasto.

Proszącym aż się oczy zaiskrzyły.

— Tak, tak, jaśnie pan prezydent dobrze mówi, co my tegie nie warte. Niech pan prezydent telegrafiruje, co my same gałgany, bardzo pana prezydenta prosimy. Niech Bóg da innemu miastu takie szczęście!

Na takie dictum Fryc i kwatermistrz spoglądali po sobie zgorszeni, a burmistrzowi zaczynały się wąsy ruszać.

— Ale ja nie jestem tak złym ojcem dla was — mówił, siląc się na utrzymanie w swojej urzędowej powadze — i nie chcę was zasmucać, bo toby was podało w podejrzenie o nielo-

jalność względem rządu, a jabym nie mógł patrzeć przez szpary na wasze defraudacye.

A gdy te słowa sprawiły przewidywany skutek i przerażenie odbiło się na twarzach proszących, burmistrz patrzył na nich przez chwilę uważnie i dobrotliwie, jakby na coś czekał, jakby do czegoś zachęcał. wreszcie odwrócił się tyłem mruknąwszy:

— Bydło!

Ludność rdzennie miejscowa. chodziła chmurna i posępna, Niemcy gęsto w mieście osiedli, z filozoficznym spokojem, bo wiedzieli, że mają za sobą kwatermistrza i większość swoich w radzie miejskiej — tylko piekarze i rzeźnicy cieszyli się jawnie i pogwizdywali wesoło.

Jerzy szedł przez ulicę zły i zgryziony. Nieużyteczny krok do naczelnika, bolał go nad wszelki wyraz, bo postąpił wbrew własnemu przekonaniu i upokorzył swą dumę, wszystko dla możliwości prędkiego wyjazdu. A wyjazd ten nie przybliżył się do niego ani o krok. Kategoryczne oświadczenie przysłane za nim do domu, nie znaczyło wcale zawieszenia broni, przeciwnie, było wypowiedzeniem wojny i to po jego pojednawczym kroku! Jak sobą pogardzał, bo i nic nie zrobił i obniżył własny poziom w oczach przeciwników. Wczoraj jeszcze on ich lekceważył, a dzisiaj oni mieli prawo jego lekceważyć — bo nieprzyjaciel mający poddostatkiem broni i amunicyi, nie wywiesza białej chorągwi. Na samą tę myśl krew biła mu do głowy, dłonie za-

ciskały się w pięście, a w piersiach powstawało gwałtowne pragnienie walki.

Na skręcie ulicy spotkał Sterna, komisarza włościańskiego, tego samego, co mu kilka dni temu narzucał swoją przyjaźń tak usilnie; tym razem Stern minął go, ukłoniwszy się tylko. Jerzy odkłonił się machinalnie i pomyślał, że baron musi już wiedzieć o jego wizycie u naczelnika i zamiarze opuszczenia miasta, choć było to dziecinne przypuszczenie. Szedł dalej i wydało mu się, że nawet mieszczanie inaczej na niego spoglądają, tak nerwy jego były rozstrojone. Doszedł tak do rynku żydowskiego, gdzie przy straganach z jarzynami i owocami siedziały przekupki. Zazwyczaj patrzyły one na siebie oczyma zawistnemi w miarę tego, jak której z koszyka ubywało towaru i kłóciły się, ale dziś głosy ich krzykliwe układały się w jakąś zgodną harmonię. Rozprawiały żywo machając rękami, a języki latające jak kołowrotki, sprawiały taki harmider, jak gdyby to był jarmark. Jerzy posłyszawszy zdaleka brzęczenie podobne do brzęczenia pszczół z wielu ulów, zaczął się oglądać za źródłem z jakiego pochodziło, gdy jedna z przekupek najśmielszej natury ujrzawszy go z daleka, zawołała:

— Czekajcie, ten nam powie prawdę!

Zaczęła na niego kiwać, a gdy młodzieniec zdziwiony przybliżył się, spytała:

— Panie Wilczek, czy to prawda, że przekupki mają się składać na kwaterę dla oficera?

— Na mój głupi rozum to jest kłamstwo — odezwała się druga. — Jak świat światem, przekupki nie płaciły podatków na wojsko i płacić nie będą.

— On jest wielki fizyk, ale łże jak pies! — krzyknęła trzecia.

— Cichojcież, bo pan nie może mówić.

— A niech mówi,. niech!

— Prawda to?

— Czy to może być prawda, panie?

— Ady też zamknijcie gęby! — wrzasnęła ta co przywołała Jerzego.

Nastała cisza.

— Któż wam to powiedział? — zapytał nareszcie młodzieniec.

— A ten...

— Kwatermistrz!

— On nam powiedział, że przyszło takie pismo od cesarza.

— Ukaz, nie pismo.

— Że przyszedł od cesarza taki ukaz, żeby przekupki utrzymywały kwaterę dla oficera i dawały mu codzień po jednej cytrynie i po dwie pomarańcze.

— A jak nie, to pójdziemy wszystkie do kozy — mówiła dalej ta, co miała naturę najśmielszą — a za naszymi straganami będą siedzieli żołnierze i sprzedadzą nam wszystko na ten podatek.

Jerzemu chciało się śmiać i zarazem zrobiło mu się żal biednych kobiet, których dobrej wiary tak nadużywano, i zapytał:

— I to sam kwatermistrz wam powiedział?

— On sam, jak mnie pan żywą widzi, stał przy moim straganie.

— Nie, przy moim — zaprzeczyła druga.

— Ale gdzie zaś, kiedy mówię, że przy moim to przy moim, tak właśnie jak pan stoi.

— Nieprawda!

— Stulcie gęby! nie o to idzie przy czyim straganie, ino, że się źle stało, żeśmy się zlękły i dały mu dwa złote.

Ta co powiedziała zaczęła płakać.

— A ja mu dałam jeszcze dwie figi, żeby już był dobry i dał nam święty spokój.

Jerzy zmarszył brwi i rzekł.

— Kwatermistrz skłamał. Ukaz o jakim wam mówił, nie istnieje. Odbierzcie od niego swoje pieniądze, a jak nie będzie chciał oddać, wnieście na niego skargę do sądu. Możecie mu powiedzieć, że ja wam to poradziłem i że wygracie sprawę, bo jest słuszna.

I odszedł.

Przekupki aż podskoczyły na swoich stołkach. Proces wygrany i to jeszcze proces z urzędnikiem, wydał im się szczytem tryumfu. Słały błogosławieństwa za Jerzym i wołały jedna przed drugą:

— Dostanie za swoje pan kwatermistrz, jeżeli nam nie odda pieniędzy!

— Będzie mu ciepło!

— Ho, ho!

— Pozna co kozłowskie przekupki!

— To jest bardzo paskudnie na takiego pana!

— Tfu!

Jerzy nie mógł już tego słyszeć, bo szedł przyśpieszonym krokiem, pragnąc co prędzej wydostać się za miasto i świeżem powietrzem odetchnąć. W jednej z wązkich uliczek spotkał nierozłączną trójcę, rozmawiającą z wielkiem ożywieniem. Na jego widok rozmowa nagle ucichła, to go rozdrażniło.

— Panie Kurtz — odezwał się przystając — winszuję panu zdolności prawodawczych i wróżę, że z czasem zostaniesz pan ministrem; zanim to jednak nastąpi, nie nakładaj pan na przekupki podatków, których Rada państwa jeszcze nie uchwaliła. Za takie rzeczy zamiast wysoko, idzie się czasem głęboko.

Burmistrz nie wiedzący nic o przekupkach, nasrożył się, a kwatermistrz odparł wściekły z gniewu:

— Panie Wilczek, pilnuj pan siebie i nie wtrącaj się w cudze sprawy. Zamiast bronić przekupek, każ pan ślusarzowi opatrzyć dobrze swoje zamki, żeby kto panu róż herbacianych nie pokradł.

Jerzy zatrząsł się z gniewu.

— Dla złodziei są kajdany — odrzekł zimno i poszedł dalej.

— Przyjemnego spaceru! — rzucił za nim burmistrz, a kwatermistrz dodał zjadliwie.

— I wesołego powrotu.

Poczem wszyscy trzej zaczęli się śmiać,

Róże herbatnie!... Jerzy sam nie pojmował, dlaczego każda wzmianka o różach, doprowadzała go do wściekłości. Czuł, że gdyby kto poważył się ściągnąć rękę po tę najpiękniejszą, co chodziła między niemi jak starsza siostrzyczka, zabiłby go chyba. Dziwaczność tej myśli uderzyła go samego.

— Czyżbym ją kochał? — pytał siebie — bez wątpienia kocham ją jak blizką krewnę i towarzyszkę lat dziecinnych; kocham, bo nie podobna nie kochać istoty tak szlachetnej, tak pięknej, tyle wyższej od wszystkich kobiet, jakie znam.

Bruk miejski od dawna już zniknął pod stopami młodzieńca, a on szedł po miękkiej trawie, z pod której miejscami piasek wyzierał. Zamiast wrogich twarzy, otoczyły go drzewa poważne, ciche i dobroduszne, a zamiast drażniącego gwaru miejskiego, słyszał plusk wody w rzece, świergotanie ptaków i echa nawołujących się wzajemnie pastuszków. Odetchnął. Był blizko starego młyna otoczonego wierzbami, w którym mieszkała dawna służąca Wilczków, Maryanna. Chodził tam czasem z Jadzią na spacer. Pod jedną wierzbą leżał kamień, z boków obrosły mchem, a w środku trochę wgłębiony; snać od dawien dawna służył na wypoczynek strudzonym wędrowcom. Jerzy usiadł na nim i zaczął dumać.

— A gdybym się z nią ożenił? Jakże szczęśliwem byłoby życie, obok tak miłej, słodkiej, rozumnej istoty!

.Na samą myśl o tem szczęściu, czuł zawrót głowy. Ale nie, to byłoby szaleństwo! Ożenić się tak wcześnie, i skrępować obowiązkami rodzinnymi, byłoby to obciąć sobie skrzydła; wreszcie chcąc się ożenić, trzebaby tu zostać, bo ona wychowana w szkole stryjenki, nie zgodziłaby się za żadną cenę kraju opuścić. Być może, że to co czuje dla niej, jest miłością, ale czyż ten, kto kocha, powinien zamykać uszy na głos rozsądku? Za kilka lat powróci z zagranicy ze stanowiskiem i sławnem może imieniem, wtedy poprosi ją o rękę... »Jeżeli będzie wolną jeszcze«... szepnął mu jakiś głos wewnętrzny, bo i ona może wyjść za mąż. Stryjenka czując się coraz słabszą, zapragnie sierocie dać opiekuna, zanim ją opuści. Tak, to jest bardzo prawdopodobne, chociaż... za kogoby też poszła? W Kozłowie niema nikogo coby jej był godnym, a w okolicy... Ha! bywają wypadki zbliżające niespodzianie ludzi do siebie, jak się to dzieje w powieściach — a wiadomo, że rzeczywistość bywa często bardziej fantastyczną i nieprawdopodobną, niż wymysły poetów i powieściopisarzy.

Tu znowu uczuł, że go ogarnia gorączka. Wstał, otrzepał kurz z ubrania, i skierował się wązką ścieżyną, wiodącą między łany zboża. Na miedzy siedział jakiś człowiek niemłody już, porządnie ubrany, który zobaczywszy go, wstał, podszedł ku niemu i ukłonił się.

— Panie Wilczek — przemówił — nie znam pana osobiście, ale wiem, coś pan za jeden,

i chciałem iść do pana po radę. Jestem Nejman, katolik i Polak, choć noszę niemieckie nazwisko; mam tu kawałek pola i przyszedłem dojrzeć robotników. Właśnie w tej chwili myślałem o panu i mówiłem sobie, że jutro pójdę.

— Gotów jestem służyć panu radą, na jaką mnie stać — odrzekł Jerzy podając mu rękę. — O cóż to idzie? Słucham.

— Widzi pan, jestem prezesem dozoru kościelnego i mam pewien kłopot, a raczej my wszyscy mamy kłopot, bo nas jest czterech. Trzech członków zwyczajnych i ja jako prezydujący. Ale muszę panu opowiedzieć rzecz od początku, Czy widzisz pan ten grunt pod lasem? Ziemia piękna, czarna i rodzi wybornie.

Jerzy skinął głową.

— Otóż widzi pan, trzysta lat temu jeden z obywateli Kozłowa, nazwiskiem Miotełka, rajca miejski i człek pobożny, zrobił legat, przeznaczający dochód z tego gruntu na upiększenie kościoła parafialnego. Administrowali tym gruntem zawsze proboszcze i oddawali go co rok w dzierżawę jednemu z mieszkańców, który obowiązany był proboszczowi czynsz z tego płacić, a czysz szedł zawsze na restauracyę kościoła. Ponieważ grunt ten stykał się z gruntami proboszczowskiemi, więc poprzednik dzisiejszego proboszcza, widząc, że z gospodarki większą korzyść wyciągnąć można dla kościoła, niż z dzierżawy, przyłączył go do gruntów kościelnych i sam na nim gospodarował.

— Czyn był co najmniej nieostrożny — przerwał Jerzy.

— Właśnie też, tu się sprawa wikłać zaczyna. W r. 1865 mocą cesarskiego ukazu, wszystkie grunta kościelne przeszły na skarb, a w miejsce tego wyznaczono pensye dla księży. Proboszcz o którym wspomniałem, w owym czasie umarł, a grunt obciążony legatem, ponieważ był włączony do probostwa, przeszedł także na własność skarbu, a następnie został sprzedany. Dopiero przy szczegółowej rewizyi dokumentów, władza przekonała się, jaka zaszła pomyłka i zawiadomiła dozór kościelny, że posiada ze sprzedaży fundusz, wynoszący 4000 rubli, i że procent od tego w kwocie rs. 600 można podnieść jako przeznaczony na upiększanie kościoła.

— Sprawa więc rozwiązała się pomyślnie — zauważył Jerzy.

— Ba! tu właśnie zaczyna się największy kłopot. Dla odebrania tego procentu trzeba było, żeby który z członków dozoru kościelnego do Warszawy jechał; jest nas czterech lecz każdemu było trudno wydalić się z domu, bo każdy ma swoje zajęcia, a przytem kościół nie bardzo odnowienia potrzebował, więc rzecz ta odkładała się z roku na rok. W zeszłym roku burmistrz zawiadomił dozór, że gdyby mu dano piśmienne upoważnienie do odebrania, to onby to zrobił łatwiej, niż ktokolwiek inny, bo ma brata w biurze jenerał-gubernatora, znaczny zajmującgo urząd. Brat mu w tem więc dopomoże. Ucieszę-

ni tą gotowością, daliśmy mu natychmiast upoważnienie, jakoż pojechał i pieniądze z łatwością odebrał.

— Dotąd sprawa przedstawia się bardzo dobrze.

— Cóż, kiedy choć interes pomyślnie załatwił, pieniędzy nam nie oddał. Zrazu nie śmieliśmy mu o tem przypominać, ale gdy kilka tygodni upłynęło, odważyliśmy się: odpowiedział nam, że pieniądze u niego nie zginą. Minęło znów kilka tygodni, przypomnieliśmy mu znowu delikatnie, a on nam na to, że sam się robotami zajmie, bo my te rzeczy robimy opieszale. Ale rok już od tego czasu upłynął, a burmistrz nic w kościele nie zrobił, tymczasem kościół na gwałt potrzebuje odnowienia, bo dach jest zrujnowany i jeżeli deszcz pada w czasie nabożeństwa, to organiście wprost leje się na głowę. Bractwo Przemienienia Pańskiego woła na gwałt o restauracyę i czyni dozorowi ostre wyrzuty o niedbalstwo, a co gorzej, posądza nas o przywłaszczenie sobie pieniędzy kościelnych. Co robić?

Jerzy pomyślał chwilkę.

— Podajcie o tem raport do biskupa dyecezyi — rzekł.

— Nic więcej?

— Tymczasem nic, a potem zobaczymy!

— Dziękuję panu.

Pożegnawszy Nejmana, Jerzy skierował się do lasku. Rozmyślał dużo nad tem miastem, które

chciał opuścić, a potem myśl znowu jego wróciła do niej... do Jadzi... Łagodny mrok przeniknięty wilgocią, uspokajał rozdrażnione nerwy młodzieńca i chłodził jego skronie. Była w nim jakaś potrzeba działalności, jakieś pragnienie ruchu aż do zmęczenia, do wyczerpania sił prawie, jakby chciał zwalczyć jakieś nieznane, a groźne dla jego przyszłości potęgi rozpierające mu piersi. To też chodził po piaskach i wrzosowiskach leśnych, po bagnach i moczarach.

Już słońce przeszło na drugą stronę horyzontu, gdy strudzony, poczuł nareszcie głód i przypomniał sobie, że nie jadł obiadu. Las też już zaczął się przerzedzać i Jerzy wyszedł na równinę, gdzie jak na dłoni rozpostarte było miasteczko, błyszczące zdala czerwonością dachów i białością murów. Młodzieniec powiódł dokoła wzrokiem zamyślonym i zobaczył na jednem ze wzgórz coś, co przykuło wzrok jego. Pomiędzy łanami zbóż bielała zdaleka droga bita, spuszczająca się łagodnie w dolinę. Otóż droga ta cała zajęta była obecnie przez coś, co wyglądało z daleka niby wąż czarny, mieniący się w srebrną łuskę. Wąż ten poruszał się, wydłużał, wił i opuszczał coraz wyżej i niżej w dolinę, a towarzyszył mu lekki, brunatny obłok kurzu, unoszący się ponad drogą, Jerzy stał i patrzył: po chwili wzrok jego rozróżniał już dokładnie ludzi, konie, wozy, nawet barwę mundurów, a widok ten przypomniał mu kwaterę, o której przez kilka godzin zupełnie zapomniał.

Nagły niepokój ogarnął go o dwie kobiety, które kochał bądź co bądź, i wyrzucał sobie, że je zostawił same na tak długo. Kto wie co mogło zajść w czasie jego nieobecności! Przypomniał sobie słowa naczelnika: »Proszę kazać opróżnić zaraz mieszkanie, bo jak nie, to poradzimy sobie sami«, — przypomniał sobie szyderską radę kwatermistrza i zdawało mu się, że słowa te brzmiały jak pogróżka A co znowu znaczyła mina na pół drwiąca burmistrza, który mu życzył przyjemnego spaceru, i dodatek kwatermistrza o »wesołym powrocie«. O czem oni rozmawiali z sobą, gdy ich zaszedł niespodzianie i czemu nagle ucichli? Czyżby.. ale nie, to niepodobna; nie wyrzuca się ludzi z mieszkania, jak pierwszy lepszy przedmiot za okno, zwłaszcza, że u Hamera czeka obszerne, umyślnie wynajęte na ten cel mieszkanie. Naczelnik niezawodnie namyślił się z niego skorzystać.

Powtarzał sobie, że niepokój jego jest zupełnie bezzasadny, a mimo to przyspieszał kroku coraz więcej.

Podczas, gdy biegł na przełaj przez pola i łany, wojsko posuwające się drogą wygodną, bitą, wchodziło na przedmieście. Najprzód na pięknym koniu bułanym jechał dowódzca pułku otoczony sztabem, hrabia Reden, dorodny, pięćdziesięcioletni mężczyzna. Twarz jego szeroka, prawie kwadratowa, otoczona po bokach małym siwiejącym zarostem, nadającym jej pewne podobieństwo twarzy do króla pruskiego, miała wy-

raz dobroduszny. zwłaszcza zdaleka — bo kto mu się zblizka przypatrzył, dostrzegał w niewielkich błyszczących oczach wyraz srogości, niezgadzajacy się bynajmniej z barwą ich jasnoniebieską. Jechał w milczeniu, podparty w bok jedną ręką — a wspomnienia tego co się tu działo przed dwudziestu laty i w czem on już brał udział bardzo czynny, cisnęły mu się tłumnie do głowy. Widział najwyraźniej obrazy bitew, płonące wsie, bandy po większej części z dzieci złożone, źle uzbrojone i wygłodniałe, a harde, jak gdyby szły na zdobycie świata... Poznawał okolice, miasto, pojedyncze domy nawet, a twarz jego posępniała coraz bardziej.

Za pułkownikiem jechała muzyka, za muzyką szły szwadrony, każdy na innej maści koniach a wśród nich podchorąży ze sztandarem. Dalej wieziono kasę pułkową pod strażą, wozy ambulansowe świecące zdaleka swoim czerwonym krzyżem i bagaże. Tu już nie było słychać prawie muzyki wiodącej cały pochód; wyręczały ją śpiewy i pogwizdywania, wiercące ucho aż do mózgu, podczas, gdy oko targane było widokiem buńczuków szwadronowych, opatrzonych dzwonkami i podrzucanych w górę. I zdawało się, że to wicher stepowy hula po burzanach.

Na środku rynku oczekiwał na pułkownika burmistrz w paradnym mundurze w asystencyi ławników strojnych we fraki. Witali go oni „imieniem miasta« nizkimi ukłonami, które hr. Reden przyjął zimno, odwzajemniwszy się zaledwie przy-

łożeniem palców do skroni. Oczy jego patrzyły w górę, gdzie na balkonie domu mieszczącego urząd powiatowy, stała z mężem pani naczelnikowa i powiewała białą chusteczką na powitanie.

Ożywieni duchem patryotycznym ławnicy, przygotowywali dla wojska poczęstunek złożony z chleba, wódki i serdelków, co się zaraz odbyło na rynku, poczem dopiero kwatermistrz miejski z kwatermistrzem pułkowym zajęli się rozmieszczaniem wojska po domach. Wielkiemu temu widowisku asystowały gromady ulicników.

Gdy Jerzy bez tchu prawie wpadł na ulicę Mokrą, pierwszym przedmiotem jaki oczy jego uderzył, był koń pułkownika z którego zdejmowano siodło i czaprak, a drugim, żołnierz stojący na warcie u drzwi frontowych domu Wilczków. Młodzieniec stanął jak wryty, a wargi zbielały mu od gniewu. Skorzystano z jego kilkogodzinnej nieobecności, żeby wyrzucić z mieszkania starą, chorą kobietę, jak pierwszy lepszy przedmiot..! Widział teraz dlaczego jego przeciwnicy życzyli mu »przyjemnego powrotu«. Oczy błysnęły mu dzikim ogniem.

— Zbrodniarze!— szepnął i wpadł prędko do bramy, gdzie pies szamotał się na łańcuchu szczekając zajadle. Na dziedzińcu spotkał szlochającą służącę.

— Gdzie są panie?— spytał ją głosem, który nie chciał wychodzić ze ściśniętego gardła.

Spojrzała na niego niechętnie, jakby mu wyrzucała, że odszedł właśnie wtedy, kiedy był

potrzebny i wskazała mu okna dwóch pokoików, o których wiedział, że stoją dotąd pustkami, jako najęte na przyszły kwartał, ale jeszcze niezamieszkane.

W pierwszym z tych pokoików stała na środku Jadzia i usiłowała ład jakiś zaprowadzić w chaosie nagromadzonych rozmaitych mebli, kufrów, rzeczy i porozrzucanych tu i ówdzie drobnych przedmiotów. Twarz jej miała ślady przebytych wzruszeń i bledsza była niż zwykle, a pomiędzy brwiami pojawiła się lekka poprzeczna zmarszczka. Gdy Jerzy wszedł, podniosła głowę, a na ustach jej zarysował się bolesny uśmiech.

— Mów! — zawołał chwytając ją za obie ręce i ściskając je konwulsyjnie w swoich — mów jak to było?

— Co tu mówić! — odrzekła matowym głosem — sam widzisz przecie. Wyrzucono nas! Musiałyśmy uledz przemocy...

Jerzy czuł się boleśnie dotknięty takiem przyjęciem; wolałby łzy, gniew, wyrzuty, niż ten spokój, który go najwięcej potępiał.

— Użyto więc siły względem was? — zapytał głucho.

— Siły nie, ale przemocy. Wkrótce po twojem odejściu przysłano z magistratu po klucze od tego mieszkania.

— I dałaś je?

— Nie, bo oprócz nas jako właścicieli domu, nikt nie ma do nich prawa, a wreszcie od-

mówiono nam objaśnienia w jakim celu ich żądano. Sprowadzono więc ślusarza i otworzono te pokoje w obecności burmistrza, kwatermistrza, deputacyi kwaterniczej i straży ziemskiej.

— To nie do uwierzenia! — zawołał Jerzy chwytając się za głowę... — gwałt z włamaniem się do mieszkania, w biały dzień, w asystencyi władz miejskich, w imię prawa, prawodawcy i to wtedy, gdy inne mieszkanie umyślnie na ten cel wynajęte, stoi próżne!... I nie módz w tejże chwili ukarać i zgnieść w proch tych, co się tego dopuścili... Ach! to oszaleć można!...

Jadwisia spojrzała na niego z politowaniem.

— Powinienem był to przewidzieć — mówił dalej — i nie ruszać się z domu ani na krok. O jakże byłem nieostrożny i lekkomyślny! Ale mów dalej.

— Do mieszkania naszego weszło sześciu tragarzy i bez pytania o pozwolenie, rzeczy nasze brali i tutaj przenosili, pozostawiając na miejscu tylko te, które im kwatermistrz dowodzący głównie całą tą wyprawą wskazał, jako mogące się przydać dla wygody pułkownika. Na moje zapytanie jakiem prawem to czynią, odpowiedziano mi: — Taki »rozkaz«. — A gdym się spytała kto go wydał, nikt mi nie odpowiedział.

— A stryjenka? jakże go przyjęła? ona, co się niczego nawet nie domyślała, bo ukrywaliśmy przed nią całą sprawę!

— Spokojniej, niż można było się spodziewać. Widziała ona już w swem życiu tyle nie-

spodziewanych rzeczy, że to nie mogło jej bardzo zdziwić.

Zamiast ja ją, ona mnie uspokajała i powściągała. Gdy ludzie ci weszli do naszego mieszkania, a ja stanąwszy w progu pokoju babki nie chciałam ich puścić dalej i zwróciłam się do burmistrza przypominając mu, że jest ojcem miasta i winien mieszkańcom opiekę, gdy chcąc go wzruszyć odwoływałam się do jego ludzkości i honoru, babka powstrzymała mnie, mówiąc: »Daj pokój Jadwisiu, nie żądaj od tych panów tego, czego nie mają«. Patrzyła spokojnie, prawie obojętnie na wynoszenie rzeczy; dopiero gdy trzeba było przejść z jednego mieszkania do drugiego, zachwiała się na nogach. Wtedy pan burmistrz chcąc się okazać uprzejmym, poskoczył, żeby podać jej ramię; ale ona wstrzymała go giestem na miejscu, mówiąc: »Nie waż się pan dotykać mnie«! — i powiódłszy po wszystkich wzrokiem wyrażającym największą pogardę, przeszła sama wyprostowana.

— Gdzież ona jest?

— Tutaj — odrzekła Jadwisia i uchyliła lekko drzwi do drugiego pokoju.

Pani Wilczkowa siedziała przy oknie w dużem krześle z poręczami i patrzyła przed siebie wzrokiem nieruchomym... Widać było z tego wzroku, że myśl jej przewracała karty księgi życia dobiegającej do końca i gęsto poplamionej łzami. Światło zachodzącego słońca padające na jej głowę, oświecało szlachetny profil twarzy

i uwydatniało wszystkie bruzdy wyżłobione przez wiek i cierpienia. Ale pomimo tych bruzd, była w tej twarzy jakaś pogoda, ze zgody z sumieniem wypływająca; jakiś spokój płynący ze szlachetnej rezygnacyi i przekonania, że się spełniło obowiązek: jakaś jasność mówiąca, że nie osobistemi tylko cierpiała bólami, ale odczuwała bóle społeczeństwa: jakaś wzniosła filozofia, nie idąca z żadnego systemu, z żadnej szkoły, ale prosto z serca, szerokie obejmującego widnokręgi. Jerzy patrzył i myślał, ile ta kobieta wycierpiała już w swojem życiu: ojciec jej zginął przy zdobywaniu słynnego wąwozu Samosierra, matka została w Galicyi zamordowana, syn umarł śmiercią gwałtowną i okropną, córka zgasła w jej oczach na suchoty, mąż padł rażony apopleksyą. Została sama na świecie, mając za jedyną podporę i osłodę, młode, niedoświadczone dziewczę — bo synowiec, którego ukochała jak syna i w którym wszystkie złożyła nadzieje, chciał ją porzucić... I do tego jeszcze.., dziś wyrzucono ją z mieszkania, w którego ścianach przeżyła bolesne i radosne chwile swego życia, i z którem się zrosła nawyknieniami lat czterdziestu.

Patrzył i dziwił się, że tyle ciosów — a wszystkie prawie spadały niespodzianie, nie zdołało jednak złamać tej istoty, w której wątłem ciele taki silny i wielki duch mieszkał.

Głęboko wzruszony, pchnął lekko drzwi i klęknąwszy przy krześle staruszki, przyłożył gorące usta do jej ręki. Spojrzała na niego jakby

ze snu nagle zbudzona i słaby uśmiech przemknął po jej ustach.

— A, to ty Jerzy — przemówiła łagodnie przesuwając ręką po jego włosach — wróciłeś już? Musisz być głodny, nie jadłeś obiadu.

Jerzy czuł, że rumieniec wstydu oblewa mu czoło. Ta, równie jak tamta, nie robiła mu wymówek, myślała tylko o jego potrzebach. Wolałby jednak wyrzuty, niż tę dobroć, która go upakarzała głęboko.

— Jutro jedziesz — mówiła dalej staruszka — trzeba ci pewnie pieniędzy; będziesz je miał dziś jeszcze.

Jerzy uczuł nerwowy kurcz w gardle i szepnął:

— Byłbym nikczemnym kochana stryjenko, gdybym je przyjął. A co stryjence jest? — zawołał, widząc, że twarz jej śmiertelnie pobladła, a w oczach odbił się wyraz przerażenia.

Pani Wilczkowa nic nie odpowiedziała. Patrzyła uporczywie w okno, przez które widać było idącego ulicą hrabiego Redena. W świetnym galowym mundurze szedł do kwatery, z wizyty u swego przyjaciela Gonczarowa. Po dwudziestu latach, poznała od pierwszego rzutu oka tę twarz dobroduszną na pozór, i srogie spojrzenie jasno niebieskich oczów; wspomnienia okropnych chwil, w których go widziała po raz pierwszy i jedyny, odżyły w niej z całą siłą. Wiedziała teraz kto mieszka pod jej dachem.

W pokoju zapanowała taka cisza, że słychać było brzęk małej drobnej muszki, tłukącej

się niedołężnie po szybie. Jerzy i Jadwisia nie śmieli się odezwać ani poruszyć.

Zdawało się, że tchnienie śmierci przelatuje ponad niemi. Nagle odezwały się dźwięki wojskowej muzyki, zrazu dalekie, potem coraz bliższe i bliższe, aż napełniły ulicę, łącząc się z tententem kopyt końskich po bruku. Prowadzono z honorami sztandar do mieszkania pułkownika przy odgłosie marsza tryumfalnego z »Proroka«. Zatrąbiono wedle zwyczaju, po dwakroć; pułkownik wyszedł witać sztandar kołyszący się z lekka na wietrze, a pluton wojska broń sprezentował. Widok to był uroczysty i wspaniały.

Usta staruszki zaczęły drgać, i łzy, wielkie łzy potoczyły jej się po twarzy.

W tej chwili właśnie wnoszono sztandar do kwatery pułkownika, a muzyka grała tak zwany »podsztandarlik«.

Deputacya kwaternicza po dokonaniu wielkiego czynu, czuła się jednak nieco zaniepokojoną w sumieniu, a burmistrz powtarzał, iż żal mu było, że musiał odmówić prośbie »tej małej«, której było z gniewem tak do twarzy — i raz po raz posyłał na wywiady, gdzie się obraca Jerzy Wilczek i co robi. Gdy mu zaraportowano, że wziąwszy ekstrapocztę pojechał na całą noc do miasta gubernialnego, zatrwożył się nie na żarty i chciał zwołać ławników na narady do ratusza, ale naczelnik go wyśmiał.

— Czy pan jesteś malowanym burmistrzem, że bez rady miejskiej nic zrobić nie potrafisz?

— zapytał ironicznie. — Jeżeli Wilczek pojechał ze skargą do gubernatora, to przedewszystkiem skarżyć was będzie, żeście w jego domu pomieścili dwie kwatery, wbrew przepisom. Usuńcie jedną, jak kazał gubernator, a wszytko będzie dobrze.

Burmistrz choć zły był w duszy, że naczelnik uczy go rozumu, musiał jednak przyznać, że rada była dobrą i że popełnił wielkie głupstwo nie kazawszy od razu usunąć jeometry z domu Wilczków. Ale lepiej późno, niż nigdy. Zawołano tragarzy, otworzono znowu z pomocą ślusarza mieszkanie jeometry nieobecnego natenczas w mieście, i przeniesiono jego rzeczy do domu pewnego poczciwego mieszczanina, murarza, który się właśnie do snu zabierał nie przeczuwając nic złego. Murarz ten nazwiskiem Sztuczka, mieścił się z żoną i dziećmi w jednej izbie. Chciał się opierać najściu, ale otrzymany policzek złamał jego upór. Wystawiono sprzęty na podwórze i Sztuczka byłby musiał z całą rodziną noc pod gołem niebem przepędzić, gdyby nie współczucie lokatora, który strapionemu gospodarzowi dał czasowo u siebie schronienie.

Przenosiny te odbyły się już przy świetle księżyca.

XII.

Słońce już dobrze przechyliło się na drugą stronę widnokręgu, gdy bryczka pocztowa wioząca Jerzego z powrotem, toczyła się drogą bitą do miasteczka. Młodzieniec siedział posępny i zamyślony, a oczy jego błądziły roztargnione po łanach zbóż, po łąkach i kępach drzew stojących tu i owdzie gromadkami. Kres podróży przybliżał się coraz bardziej, bo miasteczko było widać przysiadłe w dolinie, a przerzynająca je rzeka błyszczała w słońcu niby wstęga srebrna.

Droga wiła się u stóp góry, a raczej olbrzymiego wzgórza porośniętego młodemi swierkami, między któremi sterczały wielkie pnie niegdyś ściętego stanodrzewu. Zakupił go sławetny rajca Fryc i po obrobieniu, na tratwach do Prus wyprawił. Przy tych pniach, w zagłębieniach i wypróchnieniach kory tuliły się paprocie, a koronkowe ich liście, ze ścięciem drzew pozbawione zwykłej od słońca ochrony, skurczone były i pożółkłe — i tylko te co się pod gałęzie młodych drzewek, na zwaliskach wypróchniałych korzeni wyrastających, uchronić mogły, zielone by-

ły i wspaniale rozwinięte. Gdzie się las kończył, tam się zaczynał cmentarz miejski, lichym, rozpadającym się, dokoła opasany murem. Część muru najbliższa drogi i równolegle wzdłuż niej się ciągnąca, najprzyzwoiciej jeszcze wyglądała i miała na sobie ślady częstych, pośpiesznych reparacyi, ale po bokach mur się rozpadał, a miejscami zupełnie go brakowało.

Dobrze było umarłym w Kozłowie, chociaż miejsce ich wiecznego spoczynku pozostawało w najwyższem zaniedbaniu.

Górzyste położenie cmentarza sprawiało, że żywi o nich zapomnieć nie mogli. Najniżej położony grób, był na równi z wieżą parafialnego kościoła — więc mieli ich ciągle na oczach, a z każdego niemal okna widać było gromadę krzyżów powtarzającą wymownem milczeniem: »Memento mori«. Miało to tę dobrą stronę, że każdy mieszczanin kozłowski, sprawiedliwy i wielki grzesznik, szedł zawsze trochę do nieba, którym to przywilejem inne miasta, równocześnie z Kozłowem na prawach magdeburskich osiadłe, pochwalić się nie mogły. Każdy poniewierany za życia, mógł to sobie powtarzać na pociechę, że przynajmniej po śmierci będzie na swoich prześladowców z góry patrzył!

Dobrze tu było umarłym, bo piaszczysty grunt nie dopuszczał wilgoci do ich trumien, a słońce ogrzewało grobowce i serca takie nawet, które przed śmiercią jeszcze bywały martwe i wystygłe... Dobrze im było, bo chociaż cmen-

tarz był zaniedbany, choć w nim brakowało ścieżek, ale rosły gęsto młode, wonne świerki i jałowce, których nasienie z poblizkiego lasu wiatr poprzynosił — i paprocie pod cieniem murów i wrzosy różowe i dzwoneczki błękitne, i trawy bujne i mchy miękkie, a puszyste i osty malownicze i ciemne bluszcze, a młode zajączki, gdy je kto spłoszył w lesie, lubiły szukać schronienia pod opieką grobów.

Gdy bryczka przejeżdżała koło cmentarza, Jerzy mimowolnie podniósł oczy i dojrzał na samej górze między grobami postać, której wysmukłe kształty przypomniały mu kuzynkę. Czyżby wyszła na jego spotkanie? Ale jeżeli tak, dlaczego odeszła tak daleko, czemu nie stanęła bliżej drogi, skądby i widzieć przejeżdżającego i pokazać mu się prędzej mogła? Kazał stanąć, wyskoczył i odesłał bryczkę do miasta, poczem nie bez bicia serca pchnął zardzewiałe wrota żelazne i podążył pod górę.

U samego szczytu prawie znajdował się grób rodziny Wilczków. Leżeli tu, z wyjątkiem sławnego burmistrza i jego rodziny — spoczywających w podziemiach fundowanego przez nich kościoła — wszyscy Wilczkowi, brakło tylko między nimi Henryka, którego mogiły nigdzie nie było śladu.

Wysoko wzniesiona tylna ściana grobowca, pokryta była napisami, a dach nizki, spadzisty, zaledwie na łokieć od ziemi wzniesiony był po bokach. Był to zwykły mieszczański grobowiec, formy bardzo pierwotnej, tylko rozmiarami prze-

wyższający inne i fundamentalniej od innych zbudowany. Jakaś ręka troskliwa porobiła tu grządki i posadziła barwne kwiatki; róże pąsowe i białe obsypane były kwiatem i rozlewały dokoła mocną upajającą woń, a bluszcze czołgające się po ziemi, wspinały się wysoko po drucie, malownicze rysując na murze arabeski.

Zbliżywszy się do grobowca, Jerzy mógł się dowodnie przekonać, że kuzynka nie dla niego tu przyszła. Na ławce, obok jej rękawiczek, leżały paczki z nasionkami, kilka sznurków, nożyczki i kilkanaście gwoździ, a ona sama stojąc na podniesieniu grobowca i rozpinając gałązki bluszczu na drucie, wyglądała niby posąg żałoby w swej czarnej gładkiej sukience, z rękami podniesionemi do góry. W jednej ręce trzymała gwoździe, w drugiej młotek, którym je przybijała do muru, i właśnie to zajęcie sprawiło, że Jerzy widzący posąg tylko z profilu, chcąc mu się z frontu przypatrzyć, mógł niepostrzeżony podejść tak blizko, że słyszał prawie oddech dziewczęcia. Grunt w tem miejscu bardzo był nierówny: deszcze spływające z góry potokami, wyżłobiły tu i owdzie głębokie bruzdy, niby parowy, odsłaniając żółty piasek. Jerzy stał w takiem zagłębieniu, pomiędzy dwiema mogiłami, a krzak jałowcu bardzo stary i bujnie rozrośnięty, zasłaniał go tak, że sam nie będąc widzianym, wszystko mógł widzieć; więc nawet drobne stopy wychylające się z pod sukni, bo poziom grobowca Wilczków znalazł się teraz na wysokości jego piersi —

i on znajdując się u jego podstawy, wyglądał jakby się modlił do stojącego nad nim żywego posągu.

Delikatna wełniana suknia spływała w miękkich fałdach, rysując szlachetne linie tego posągu. Wzniesione ręce, szyja alabastrową karnacyą odrzynająca się od czarnego obszycia sukni, wysmukłość kibici i w całej postaci rozlany jakiś wdzęk idealny, powiewny i czysto kobiecy, składały się na całość skończoną i wabną dla oka. Łuna zachodzącego słońca oświetliła w tej chwili głowę i twarz dziewczęcia, a gdy na śnieżne lica padł odblask purpury i odbiwszy się w wielkich smętnych oczach, nadał im blask gorący, życie nigdy jeszcze nie wydało się Jerzemu tak pięknem i uroczem, jak tutaj — pośród grobów.

Każdy jej ruch był pełen wdzięku. Jerzy śledząc te ruchy, zazdrościł ścianie, na której się chwilami opierała ręką, i bluszczom, że się z nimi obchodziła tak pieszczotliwie. Ogarnęło go pragnienie przekonania się, jakie też wrażenie sprawi na niej niespodziany jego widok i myśl ta w jednej chwili stała się czynem.

Nagłym ruchem rozsunął gałęzie i ujrzał, czego pożądał. Zadrżała i uchwyciła się krawędzi tak mocno, jakby się upaść bała, a wszystka krew z twarzy jej uciekła.

— Kocha mnie! — pomyślał i burza radości zerwała mu się w piersiach, burza tak szalona, że sam się jej gwałtowności zadziwił. Żeby

jej wrażenie pochodziło z przestrachu, nie przypuścił ani na chwilę, bo wiedział, że jest odważna, a okoliczności w jakich żyła i wpływ stryjenki zahartowały jej nerwy. Umiała czuć głęboko i nie była bez nerwów, ale także umiała trzymać je w karbach; kobietą nerwową, w dzisiejszym chorobliwem znaczeniu tego wyrazu, nie była...

— Nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj Jerzy — przemówiła jakby chcąc usprawiedliwić się z doznanego wrażenia, a w głosie jej czuć było lekkie drżenie — zjawiłeś się tak nagle, myślałam...

— Że jestem duchem... Przepraszam, żem cię przestraszył kuzynko — mówił wychodząc z zagłębienia i stając tuż przy grobowcu. — Dobry wieczór.

Wyciągnął do niej rękę. Dotknęła jej zlekka swoją, a Jerzy zauważył, że była zimna jak lód.

— Nie przypuszczałem, że tu będziesz — mówił dalej. Z drogi zobaczyłem na górze czarną sukienkę i przeczuciem wiedziony przyszedłem. Skończyłaś już swoją robotę?

— Skończyłam.

Chciał jej pomódz zejść, ale zręcznie zeskoczyła sama z grobowca.

— Sadziłaś jakieś kwiaty? — zapytał, aby coś powiedzieć. Czuł się jakoś zmięszanym, co mu się jeszcze nigdy w jej obecności nie zdarzyło.

— Tak ; przyniosłam z lasu kilka paproci wykopanych z korzeniami, w miejsce stokrotek, które poprzednio miałam zamiar wziąć z naszego ogrodu. Ale tam ciągle pełno jest oficerów.

Jerzy sposępniał.

— Odchodzisz już? zapytał po chwili milczenia, widząc, że naciągała rękawiczki.

— Tak — odpowiedziała — już czas, słońce zachodzi..

Młodzieniec zwrócił się do grobowca, w którym spoczywał stryj jego »sprawiedliwy człowiek i dobry obywatel« jak to było wyryte na kamiennej tablicy i odkrył głowę. Człowiek ten zastępował mu ojca i choć surowym był dla niego, kochał go jednak. Stał dumając o tem życiu cichem, bezbarwnem na pozór, a tak bogatem w zasługi dla rodzinnego miasta; o życiu spędzonem wśród ciągłej, codziennej walki i śmierci smutnej i nagłej; o próżni, jaka się zrobiła w mieście, gdy umarł ten, co wspierał braci mieszczan swoją radą i pomocą, i którego też słusznie nazywano »ojcem miasta«.

Gdy się odwrócił, zobaczył oczy dziewczęcia utkwione w siebie z chłodnym, przenikliwym wyrazem, co go niemile tknęło.

— Stryjenka zdrowa? — zapytał.

— Zdrowa — odpowiedziała smutnie. — A ty Jerzy cóżeś zrobił w mieście gubernialnem?

— Niewiele — odrzekł nakrywając głowę i siadając na ławeczce. — Udałem się naprzód do prokuratora królewskiego jako stróża prawa i o-

powiedziawszy mu o gwałcie, jakiego się deputacya kwaternicza dopuściła, chciałem na jego ręce złożyć skargę. Z początku obiecał mi pomagać, ale dowiedziawszy się, że sprawki deputacyi są znane gubernatorowi, którego brat jest ministrem, zbył mnie, mówiąc: »że to nie rzecz jego«. Miałem zamiar iść do samego gubernatora, ale znajomi odradzili mi, z powodu, że dni jego rządów są policzone, i że wkrótce inny na jego miejsce przychodzi. Wysłałem więc w imieniu stryjenki skargę do jenerał-gubernatora do Warszawy.

Jadwisia westchnęła.

— U nas też zaszły pewne zmiany — rzekła — kwaterę geometry usunięto.

I opowiedziała mu ów nocny pochód z pochodniami i wyrzucenie na dziedziniec murarza, zabierającego się już do snu. Mówiąc to, zbierała swoje drobiazgi: gwoździe, nasionka, drut, sznurki, młotek i składała wszystko w jedną paczkę. Potem włożyła słomiany kapelusz i rzekła:

— Chodźmy.

Jerzy wstał także. Słońce chyliło się coraz niżej i już tylko wązki jego skwarek widać było poza przeciwległemi wzgórzami. Na polach i w wąwozach kładły się mroki i cienie, a w trawie kroplami rosy osiadła wilgoć.

— Dlaczego się tak śpieszysz? — pytał podążając za nią, bo dla braku ścieżek, w wązkich przejściach między mogiłami. nie mógł postępować obok niej.

— Późno już — odrzekła odwracając się— Zostawiłam babkę śpiącą, ale musiała się już przebudzić i może mnie potrzebować. Wreszcie wyjeżdżasz przecie jutro, a ja jeszcze nie przygotowałam ci wszystkiego, co trzeba na drogę.

Nie odpowiedział nic. Szedł za nią w milczeniu, a ona przyśpieszała kroku ciągle, jakby się bała, żeby jej kto nie zatrzymał. I była między nimi cisza, przerywana tylko szelestem trawy, uginającej się pod nogami.

— Jadziu — przemówił po chwili głosem wzruszonym — od kilku dni traktujesz mnie jak obcego... Czyż dla kuzyna, czyż dla towarzysza lat dziecinnych, nie znajdziesz ani jednego serdeczniejszego słowa, zanim wyjedzie, słowa, którego ciepło mógłby wziąć z sobą w kraj daleki?

Jadwisia zatrzymała się. Wspomnienia lat dziecinnych, do których się odwołał, tak dla niej dotąd drogie, obudziły w jej sercu przeciwko niemu wielką gorycz i ból tłumiony.

— Nie — odrzekła zwracając ku niemu twarz lekko pobladłą — takiego słowa odemnie nie usłyszysz, bo go w sercu mojem dla ciebie niema. Wymawiasz mi, że się z tobą obchodzę jak z obcym, a czemże od jutra staniesz się dla mnie, dla nas, jak również dla wszystkiego, co tu opuścisz?

Mówiła prawie to samo, co stryjenka, w dniu, gdy otrzymał list z Paryża.

— Wszystkie więc iskry twego przywiązania dla mnie wygasły?

— Sam je zgasiłeś!

— A jednak, obcemu nawet, gdy go się żegna, mówi się choćby: »Szczęśliwej podróży«, albo krótszy, błahy wyraz: »powodzenia«.

Z oczu dziewczęcia strzeliły ognie:

— A więc, kiedy chcesz koniecznie, dowiedz się, że nie tylko nie życzę ci powodzenia, ale gdybym mogła, rzuciłabym w poprzek twej drogi cały tłum niepowodzeń, żeby cię zmusiły cofnąć się! — zawołała gwałtownym głosem.

Ach, nie jestem więc jej obojętnym — pomyślał Jerzy i głęboko odetchnął. — Wilczkowie nie wracają się nigdy z pół drogi — odrzekł z pozornym spokojem — a przeszkody podniecają ich tylko i hartują ich wolę.

— A więc, prosić będę Boga, byś tam, kędy idziesz, nie znalazł szczęścia. Niech zwycięstwa twoje i tryumfy zatruwane będą wspomnieniem naszych upokorzeń... a gdy oddychać będziesz swobodnem powietrzem Francyi, niech piersi twoje ściskają się kurczem bolesnym na myśl, że naszym piersiom ciasno... Prosić będę Boga, abyś nie znalazł spokoju, aby tęsknota odpędzała sen od twych powiek; a gdy zaśniesz nareszcie, abyś widział we śnie straszliwe mary ucisku, dławiące nas na jawie. Żeby najpiękniejsze kwiaty więdły i schły w twoich rękach; niech dusza twoja napełni się taką żałością i takiemi tęsknotami, żebyś aż przeklął chwilę, która... w której...

Tchu jej zabrakło. Jerzy wpatrywał się w nią z zachwytem i podziwem: jakże piękną była w tej chwili! Uniesienie zabarwiło jej lica rumieńcami, a oczy zapaliło ogniem, w którego blasku jaśniało czoło odważne, śmiałe i prawie bohaterskie. Głos silny, dźwięczny, drgający wzruszeniem, elektryzował młodzieńca nie wiedzącego dotąd, że w tem spokojnem, chłodnem dziewczęciu, jest tyle namiętności. Siła, z jaką wyrzucała słowa, mające być mu potępieniem i przekleństwem odsłoniła przed nim niespodzianie głębię duszy gorącej i szlachetnej; a gdy tak na nią patrzył, myślał, że nie inaczej wyglądać musiały niewiasty, o których Anczyc mówi w swoim poemacie:

»Myśmy Spartanki, znamy się z żelazem«.

Ale kochała go chyba! bo gdyby nie kochała, czyżby tak pragnęła jego powrotu, czyżby tak przeklinała jego odjazd! Urok jej piękności w połączeniu z wygórowanem uczuciem miłości własnej, zaślepiały go. Nie pomyślał, że może być inna przyczyna, dla której chciałaby go zatrzymać.

— Jadziu! — przemówił wzruszony — a gdybym został? Czy iskry, o których mówisz, że pogasły, zapaliłyby się na nowo w twojem sercu?

Zadrżała, a brwi jej zsunęły się lekko.

— Do czego prowadzi to pytanie? — spytała prawie surowo.

— Bo od ciebie tylko zależy, żebym nie wyjeżdżał — mówił chwytając obie jej ręce

i sciskając je mocno w swoich. — Kocham cię; zostań moją żoną, a potrafię być szczęśliwym nawet na tym partykularzu.

Zbladła tak bardzo, jakby się położyć chciała w jednej z tych mogił pomiędzy któremi stali. To, co usłyszała teraz, było dla niej nie spodziewanem i zaskoczyło ją nieprzygotowaną. Prawie nie wierzyła własnym uszom. Więc w piersi tego egoisty, było jednak jakieś uczucie i to uczucie tak silne, że pod jego wpływem gotów był w tej chwili wyrzec się świetnych widoków na przyszłość... Ale od kiedyż to ją pokochał? Alboż przed trzema dniami jeszcze nie wybierał się w podróż, i czy wszelkie uwagi stryjenki nie rozbijały się o jego niewzruszone postanowienie? A ona czy wtedy była mniej godną miłości, niż dzisiaj? Wówczas działał z rozwagą, a dziś pod wpływem uniesienia, którego może będzie żałował, gdy z niego ochłonie. Czyż powinna z tego uniesienia korzystać? Nie! jemu się tylko zdaje, że ją kocha i najpewniej tak jest. A kto wie, czy wybuch jej gwałtowny nie dał mu do myślenia, że ona...

Jerzy patrzył na nią napół zdziwiony napół gniewny. Spodziewał się nagłych rumieńców, wybuchu radości, łez szczęścia, a spotkał się z wahaniem. Oczy, które chciał widzieć spuszczone w miłosnem zawstydzeniu, niezmącone były i czyste, jak kryształ, a patrzyły w oczy jego tak badawczo i sięgały tak głęboko, że doznawał wrażenia, jakby stał nie przed kobietą ukochaną, ale przed sędzią.

— Nie odpowiadasz mi? — przemówił ściskając konwulsyjnie ręce jej w swoich, a głos jego drgał wszystkimi tonami namiętnego oczekiwania i niecierpliwości. — Nic nie odpowiadasz? Co to znaczy?

— Nie mogę być twoją żoną — odrzekła z prostotą.

Puścił jej ręce i cofnął się jak rażony.

— Coś ty powiedziała? czy ja dobrze słyszałem? Nie możesz być moją żoną? a to dlaczego? Jakież powody stoją nam na przeszkodzie, pokaż mi je! Dotąd jedyną przeszkodę stanowiła moja własna wola, ale i ona ustąpiła przed przemożną potęgą miłości!

Jadzia uśmiechnęła się boleśnie. Ileż zarozumiałości, ile egoizmu było w tych słowach Jego własna wola... a o jej wolę nie pytał się ten człowiek, któremu się zdawało, że woli jego wszystko i wszyscy powinni ulegać i dość jest czegoś zapragnąć, żeby posiąść. Odzywała się tu natura rodowa Wilczków.

— Zapominasz, że ja także mam wolę — rzekła z godnością.

Zdumienie chwilowe odmalowało się w jego oczach.

— Jeżeli to jest jedyna przeszkoda, pozwól mi ją pokonać! — zawołał nie zauważywszy subtelnej ironii jej słów, a twarz jego ożywiła się na nowo.

Chciał ręce do ust przycisnąć, ale je wysunęła delikatnie z jego dłoni.

— Największa przeszkoda jest w tobie samym — powiedziała spokojnie — wola twa ustąpiła chwilowo innej. potężniejszej jak mówisz woli, ale może powrócić i chcieć odzyskać dawne prawa. To, co ci się dziś zdaje, że wystarczyłoby ci do szczęścia, mogłoby nie wystarczyć na całe życie, a wówczas, kto wie czybyś nie złorzeczył mnie, żem skorzystała z chwili twojej słabości i przyjęła taką ofiarę, a sobie zaś, żeś dla mnie wyrzekł się swoich świetnych widoków, mogących w twem mniemaniu jedynie dać ci szczęście. I bylibyśmy oboje nieszczęśliwi...

— Mówisz jak z książki — przerwał Jerzy z goryczą, myśląc, że gdyby go kochała, nie rozumowałaby z taką trzeźwością. Robak wątpliwości ugryzł go w serce. — Wolisz może, żebym sobie pojechał?

— Zostań — rzekła z uczuciem — zostań żeby... żeby z nami razem żyć, pracować, cierpieć i dźwigać się; zostań w kraju, żeby swoje siły zużytkować, dla swoich, być dobrym duchem miasta, jak był twój stryj, ale nie zostawaj dla mnie. Miłość kobiety może być osłodą życia mężczyzny, ale nie powinna mu być jedynym celem... przynajmniej tu, w tym kraju.

— Ależ ja się tego wszystkiego nie wyrzekam! — zawołał niecierpliwie — będę, czem ty i stryjenka chcecie mnie zrobić, jeżeli zostaniesz moją żoną.

— A jeżeli nie zostanę?

— No, to naturalnie, że nic. Jeżeli zgodzę się zamknąć moją przyszłość w tym kojcu, to

tylko w nadziei, że mi to wynagrodzi szczęście domowe.

Jadwisia popatrzyła na niego z politowaniem.

— Szczęście domowe może ci się z czasem wydać nagrodą zbyt lichą za takie poświęcenie, a ze słów twoich widzę, że byłaby to dla ciebie ogromna ofiara — rzekła ze spokojem, w którym jednakże baczny spostrzegacz dosłyszałby echo gorzkiej ironii. — Nie będę twoją żoną. Jeżeli kraj ci jest zupełnie obojętnym, jeżeli cię tu nie trzymają żadne wyższe pobódki. to jedź!

— Nie kochasz mnie — wybuchnął, — Gdybyś kochała, nie rozumowałabyś, nie mówiłabyś o tem tak spokojnie... Nie kochasz — mów, omyliłem się, czy nie?

Twarz dziewczęcia jeszcze mocniej pobladła a dotkliwe cierpienie odmalowało się na niej. Milczała patrząc na wrzosy rosnące u jej stóp. Drobne ich różowe kwiatki płakały teraz kroplami wieczornej rosy, jej zaś oczy nabrzmiałe palącemi łzami, były suche.

— Tak czy nie? — powtórzył gwałtownie, a pytanie to brzmiało prawie rozkazująco.

Podniosła oczy.

— A więc tak, nie kocham cię! — wyrzekła z mocą. — Nie mogę kochać człowieka, który myśli tylko samolubnie o własnem szczęściu i stawia je na pierwszem miejscu, wszystko inne uważając tylko jako dodatek; bo potrzebuję

wprzód uczcić to co kocham, potrzebuję w sercu mojem dla tego ukochanego wystawić ołtarz przed którym mogłabym uklęknąć, a w tobie nie znajduję nic takiego, choć szukałam i zdawało mi się, że znalazłam. Byłeś towarzyszem moich lat dziecinnych i zdaje mi się, że zaczęłam cię kochać od czasu jak zaczęłam myśleć. Potem byłeś ideałem moich marzeń młodzieńczych, a wszyscy bohaterowie o jakich czytałam kiedykolwiek, byli do ciebie podobnymi. Tęskniłam za tobą... i pragnęłam twego powrotu... a gdyś powrócił...

Zatrzymała się.

— Mów dalej, nie oszczędzaj mnie.

— Gdyś powrócił, znalazłam cię innym, niż się spodziewałam i doznałam uczucia zawodu, które zmieniło się w bolesne zdziwienie i rozczarowanie, gdyś się wahał co masz uczynić. Miałam jednak nadzieję, pewność prawie, że uczucie obywatelskie, tak silnie zawsze we krwi Wilczków odzywające się, zwycięży w tobie. Energia i zapał z jakim się wmieszałeś w sprawy miasta, rozbudziły na nowo uczucie moje dla ciebie, ale po odebraniu listu z Paryża i twojem postanowieniu wyjechania, zasłona spadła z mych oczu. Ty kochasz tylko siebie!

Zatrzymała się znowu.

— Dalej! — naglił Jerzy, którego twarz bladła coraz bardziej, a oczy nabierały jakiegoś groźnego blasku.

— Dziś zdaje ci się, żeś mnie pokochał i że poświęceniem karyery i obietnicą zrobienia

też czegoś dla miasta zdobyłeś sobie prawo do mnie. Jerzy, nie tędy droga do mego serca. Żeby je posiąść, trzeba wprzód mieć duszę przepełnioną inną, świętszą miłością, wobec której niema poświęceń ani ofiar, bo wszystkie wydają się słodką powinnością... miłością, która słabe dzieci przemienia w mężów, a męczennikom w godzinę śmierci daje uśmiech tryumfu. Ja takiego ukocham, co nie tylko karyerę, ale mnie samą dla obowiązku poświęcić potrafi. Takiego pokocham całą potęgą mojej duszy, takiemu się oddam, z takim podzielę pracę, nędzę, wygnanie, takiego uznam za swojego pana!

Niczem był blask dyamentów, wobec ognia, jakim, gdy to mówiła, gorzały jej oczy. Pierś podnosiła się przyspieszonym oddechem, wargi purpurowe drżały.

Była tak wzruszona, jakby widziała przed sobą tego, którego obraz moralny nakreśliła w tej chwili, tego, któremu pragnęła się oddać. Jerzy, patrząc na nią, myślał, jakie niebo szczęścia, jaką otchłań rozkoszy dać mogła ta kobieta, tak umiejąca kochać, a tak chłodna i spokojna na pozór.

— Nie stworzylibyśmy sobie szczęścia, bo między mojemi, a twojemi pojęciami o szczęściu jest przepaść — mówiła dalej. — Gdzie tobie ciasno i duszno, tam ja widzę widnokręgi szerokie i głębie niezmierzone — a natomiast tam, gdzie i ty widzisz dla siebie przestrzenie szerokie, ja widzę drogi ciasne i płytkie... Wy-

rosłam w twardej szkole, gdzie na słońce patrzy się tylko ukradkiem, a powietrza jest tylko tyle, ile koniecznie trzeba, żeby nie umrzeć i wydawałoby mi się niemal zbrodnią przeciwko współtowarzyszom kąpać się w słońcu dowoli i bujać w powietrzu jak ptak. Ty masz inną naturę; nie miałeś czasu patrzeć na życie, a jeszcze takie, jak nasze, i gdybyś chwilowo uległ uczuciu, przekląłbyś wkrótce swoje kajdany.

— Dosyć — przerwał młodzieniec szorstko, tonem, który przypomniał jej żywo zmarłego dziadka. — Żaden jeszcze Wilczek nie żebrał miłości kobiety i ja jej żebrać nie będę. Nie wspomnę ci nigdy o sobie, bądź spokojna; przekonałaś mnie aż nadto, żem ciebie nie wart. Idź swoją drogą, gdzie może spotkasz człowieka godniejszego odemnie. — A widząc łzy błyszczące w jej źrenicach, dodał prędko, przezwyciężając się — no, no, uspokój się moja mała siostrzyczko, to już przeszło; zapomnij o naszej rozmowie. Patrz, już późno, czuję wilgoć i chłód, czas wracać.

Spojrzała na niego niespokojnie, chciała coś powiedzieć, ale on zwrócił rozmowę na inny przedmiot i wydawał się spokojnym, nawet swobodnym.

Westchnęła i postępowała naprzód w milczeniu, nie mogli bowiem iść we dwoje w wązkich przejściach między mogiłami, a gdzie trzeba było przedzierać się przez zarośla, tam Jerzy rozsuwał gałęzie i torował jej drogę. Widząc

ten jego spokój pozorny, Jadzia utwierdziła się w przekonaniu, że to co pomiędzy nimi zaszło, nie zostawi w jego sercu głębszych śladów.

— Tem lepiej — powiedziała sobie — a serce jej ból ostry przeniknął.

Gdy doszli do bramy cmentarnej, zwróciła się do niego pytając:

— Kędy pójdziemy, ulicami czy przez łąki?

— Idź lepiej ulicami — odrzekł — nad łąkami już unoszą się opary.

— Czy ty nie idziesz ze mną? — spytała.

— Pójdę później, powietrze jest tak łagodne, że mam ochotę jeszcze z godzinę pospacerować. Bądź zdrowa.

Podała mu rękę, ale zdawał się tego nie widzieć. Trwoga ścisnęła jej serce, i odeszła wolnym krokiem, oglądając się kilkakrotnie, ale już go nie zobaczyła.

XIII.

Jerzy stał przez chwilę na drodze i patrzył za oddalającą się — a gdy odeszła tak daleko, iż mógł być pewny, że już nie powróci, odetchnął. Dłuższe panowanie nad sobą byłoby nad jego siły. Teraz, gdy ona nie mogła go już widzieć, wolno mu było zrzucić maskę sztucznego spokoju, bez ubliżenia własnej godności. Burza, szalejąca w jego piersi, wybuchnęła z całą gwałtownością, a ze wszystkich żywiołów, składających się na nią, najsilniej przemawiał gniew. Szaleństwo go ogarniało na myśl, że ta cicha, skromna dziewczyna, mogła go odepchnąć; że serce, które jej słał pod nogi, odrzuciła jak podły chwast, zawadzający jej na drodze. Gniew jego, gdy to rozważał, tak wzrastał, iż zdawało mu się, że gdyby tu była w tej chwili, zabiłby ją i uczyniłby to bez wyrzutów sumienia, z rozkoszą nawet. Harda, zuchwała dziewczyna!

Ona nie mogła już go widzieć, ale on ją widział doskonale z za węgła muru, przy którym stał oparty. Patrzył za oddalającą się i śledził z uwagą jej ruchy, powtarzając sobie, że jej nie-

nawidzi z całej duszy; a gdy się stała punktem tak drobnym że nie mógł już jej dojrzeć, opuścił mur i rzucił się na trawy bujne rosnące przy nim, pokryte teraz gęsto rosą.

Położył na nich pałające czoło, w którem pulsa biły jak młotem i wciągał w siebie chłód wilgotny, jakby chcąc ugasić ogień trawiący piersi. Czuł palące łzy pod powieka mi i w mózgu, ale nie mógł płakać, choć wiedział, że to przyniosłoby mu ulgę. Teraz, gdy ją utracił, przekonał się dopiero, jak głęboko, jak namiętnie kochał tę delikatną, a mężną istotę, wyrosłą na jałowej ziemi smutku, niby kwiat cierniowy, i mający też nieugiętą siłę ciernia. Kochał ją tak, że wszystkie świetne widoki, że najświetniejsza gwiazda sławy zbladła mu wobec szczęścia posiadania jej — choć teraz, gdy nim pogardziła, mógł był swobodnie odjechać, bo nic go już tu nie zatrzymywało.

Zbudziło się w nim nagłe, gwałtowne pragnienie szukania jej śladów i powrócił na cmentarz. Brama była otwarta, jak ją zostawili wychodząc; Jerzy szedł tą samą drożyną, którą przebywał z nią razem, a oczy miał w ziemię utkwione.

Zmrok już zapadał, ale księżyc wyszedł na niebo jasny, czysty i można było dojrzeć przy nim każdą niemal trawkę. Jerzy patrzył jak skąpiec szukający utraconych skarbów... Tu i ówdzie trawa była zgnieciona, tu i ówdzie leżało kilka gałązek przez niego samego odłamanych, gdy

się przedzierali przez gąszcze, zresztą nic więcej. Szedł ciągle dalej pod górę i w dwóch miejscach, gdzie trawy były wydarte i piasek z nich goły przeświecał, dojrzał ślady stóp. Drobne, dziecięce ślady. Popatrzył na nie i powiedział sobie, że postępuje jak niedowarzony młokos, jak student. Niedaleko grobowca stryja znalazł kilka gwoździ błyszczących wśród trawy i podniósł je dalej kilka gałązek zeschłych bluszczu, odciętych przez nią i odrzuconych, i wziął je także.

— »Nie tędy droga do mego serca« — powtarzał sobie w myśli — „żeby je zdobyć, trzeba mieć serce przepełnione inną, świętszą miłością... miłością, która słabe dzieci przemienia w mężów, a męczennikom w godzinę śmierci daje uśmiech tryumfu«...

Usiadł na ławce i zamyślił się. Przed oczami jego duszy przesuwały się karty historyi, karty z początku pełne tryumfów, a potem gęsto poplamione krwią i łzami, aż się zatrzymał na ostatniej. A gdy się w niej rozczytywać zaczął, wstrząsnęły nim dreszcze nerwowe i na czoło zimny pot wystąpił. Przypomniawszy sobie, że siedzi przy grobie stryja, rzucił mimowoli okiem na tablicę, gdzie raz już uderzyły go wyrazy: »Człowiekowi sprawiedliwemu, dobremu obywatelowi« i zadumał się znowu.

— W tym kraju — myślał — »dobry obywatel« więcej znaczy, niż geniusz. Obywateli mu trzeba, nie poetów i myślicieli: byliby oni tu takim zbytkiem, jakim są kwiaty na gruncie, po-

trzebnym do uprawy zboża. A jednak historya zachowała pamięć poety, będącego zarazem wielkim obywatelem, pamięć Tyrteusza.

Stanęła mu żywo przed oczyma Jadzia, mówiąca w namiętnem uniesieniu: »obyś nie zaznał spokoju, oby tęsknota odpędzała sen od twych powiek« — i wpatrywał się w ten obraz z zachwytem i wsłuchiwał w dźwięk głosu, który go elektryzował.

— »Nie kocham cię«, powiedziała — ale jeżeli nie kocha, dlaczego tak bardzo zbladła na mój widok, gdym ją tu zeszedł niespodzianie? Co znaczyło wzruszenie, nad którem widocznie usiłowała zapanować? »Takiemu oddam się cała, który mnie samą poświęcić potrafi« — powtarzał i znowu gniew go szalony ogarnął gniew połączony z nienawiścią dla tego kogoś, choć go nie znał.

Zapytywał siebie, czy warto przywiązywać się do tak lichej, słabej istoty jak kobieta, której słowa i uczucia pisane; bywają na piasku i lada wiatr je rozwieje, istoty, która blednie na twój widok, a za godzinę odpycha cię. Czy wogóle warto cierpieć dla takich istot i dopuszczać, żeby one znaczyły w życiu ludzi tyle, ile znaczą? Nie wstydże, to nie hańba, żeby dla uśmiechu ustek różowych, dla miłosnego spojrzenia kochających oczu, ludzie zabijali się, nienawidzili lub marnieli? Nie warto! stokroć nie warto!

Uśmiech ten i te oczy stanęły przed nim jak żywe: zdjęła go rzewność i tęsknota szalona

i zaczął zazdrościć lichej trawie, że swobodnie rosła u jej stóp, żadnych tęsknot nie znając, drobnym robaczkom i owadom, że teraz spały spokojnie w liściach ukryte i nie cierpiały — i umarłym, co tu spali snem wiecznym, snem, którego nic już przerwać ani wzruszyć nie mogło. Mysz polna przebiegła koło jego nóg, a on ją ścigał wzrokiem i porównywając los swój z jej losem, doszedł do wniosku, że świat jest źle urządzony.

Bo czemże w istocie jest życie? Troską o utrzymanie własnego bytu, przepychaniem się przez tłum z podniesionemi łokciami, walką i sumą cierpień. Kto tych ostatnich uniknąć potrafi, a zbierze z życia samą śmietankę, ten mądry — i słusznie czyni, patrząc ze wzgardą na tych, co piją męty... On sam tak myślał zawsze, i oto patrzcie, co się z nim stało w przeciągu trzech tygodni! On, doktór filozofii, stał się tak słabym, że gotów był zostać tutaj i pić męty dla niej... i za to ona powiedziała mu: — »Nie! pij męty dla samych mętów, pokochaj żółć i ocet«. O! jakże słusznie został ukarany za głupstwo, jakie chciał popełnić. Dość tych słabości i głupstw: pojedzie do Paryża i to jutro zaraz, pojedzie i opuszczając Kozłów, otrząśnie proch z obuwia swego!... Ta szalona dziewczyna nie znała świata poza miastem i nie przypuszczała, że gdzieindziej żyć można.

Powietrze ochładzało się coraz bardziej: ze wschodu zawiał wiatr i poruszył liście leżące

grubą warstwą u stóp Jerzego. Podniósły się, zakręciły i opadły; drzewa i krzewy zaczęły się poruszać, z gąszczów wychodziły jakieś szelesty, akieś odgłosy ciche a tajemnicze. Wiatr to chodził po cmentarzu, zaglądał do grobów i budził ze snu wszystko, co było jeszcze żyjącem.

Jerzy uczuł dreszcz znowu, choć głowa mu pałała. Wstał, zerwał kilka wrzosów, kilka liści paproci, związał to wszystko razem trawą i położył jako hołd na grobie »dobrego obywatela«, potem zaczął powoli schodzić z cmentarnego wzgórza. Miasto widać stąd było doskonale, bo w oknach domów drobne błyszczały światła. Jerzy przystanął i patrzył chwilę na zbiorowisko domów i ogarnęła go wielka litość nad zbiorowiskiem ludzkiem, żyjącem w tych domach, nad jego troskami, cierpieniami, walkami... Z wieży kościoła parafialnego rozległ się dźwięk dzwonu, dźwięk żałosny, ponury, przenikający; dzwoniono za umarłych. Jerzy słuchał dźwięków tych dopóki nie umilkły i rzekł do siebie:

— Jakiś mieszczanin pożegnał się z tym światem i wkrótce sprowadzi się tutaj, do mieszkania, z którego już go żaden kwatermistrz nie usunie.

Dalej myślał, że jemu także kiedyś dostanie się takie mieszkanie, w którem zamknie się razem ze swoją karyerą; i po raz drugi czy trzeci tego wieczora zadawał sobie pytanie: co to jest życie? Myśliciele powtarzają aż do znudzenia ogólnik, że czas jego trwania jest »kroplą w o-

ceanie wieczności«, a jest on pyłkiem niedojrzanym prawie, nędznym pyłkiem. I pomyśleć, że tam ktoś, kogo nazywają Bogiem, te pyłki sobie zdmuchuje, jakby nigdy nic, podczas, gdy każdemu się zdaje, że jest czemś... Co za tragedya!

Prąd wiatru przeszedł koło niego i wstrząsnął gałęziami drzew; krzyże rzucały od księżyca długie cienie i podwajały się, bo oprócz tych, które stały, setka ich leżała na ziemi jakby i one także, nie mogąc znaleźć spokoju stojąc, pokładły się na mogiłach, czekając na wielki pogrzeb.

— I pomyśleć, że miliony tych nędznych istot przepłynęły przez życie cierpiąc, męcząc się i popychając wzajemnie w gonitwie za urojoną marą szczęścia, której nikt nie widział... co za komedya! Ileż ciekawych rzeczy miałby do powiedzenia ten wielki grobowiec, obracający się około słońca i okrywający co wiosna pozorami życia... Czem wobec tego jest myśl o karyerze? Śmiesznością. — Czem szczęście? — Złudzeniem. A miłość czem? — Niewolą, spełnieniem powinności, pańszczyzną, a często szaleństwem.

Wkrótce znalazł się za bramą. — Miał teraz drogę bitą spuszczającą się pochyło w dolinę. I czy to nastrój, wyniesiony z cmentarza, czy rozdrażnienie nerwowe młodzieńca sprawiło, że krajobraz wydał mu się dziwnie ponurym, choć księżyc słał mu pod nogi jasne smugi. Wieża kościoła, wysoko strzelająca w górę, jakby się modląc od wieków i daremnie oczekując

wysłuchania, skamieniała z bólu. Rozczochrane głowy wierzb rosnących przy drodze były uosobieniem przerażenia i grozy — a podniesione skrzydła stojących rzędem na przeciwległem wzgórzu wiatraków zdawały się wzywać rozpaczliwie ratunku. Jerzy patrzył i myślał:

— A gdybym też został! gdybym przerobił się na mieszczanina, jak był mój stryj? Ale nie, to niepodobna. Byłoby to życie więźnia, przykutego do taczki, naładowanej kamieniami, a kamienie trzebaby dźwigać pod górę... Skrzydła, spragnione szerokiego lotu, połamać w szczupłym swojskim kurniku, to perspektywa niewesoła.

I jeszcze, gdyby temu więźniowi od czasu do czasu rozjaśnił życie promień miłości ukochanej istoty!... ale tak, bez żadnego promienia, bez nadziei, zdecydować się na egzystencyę szarą, bezbarwną, niepodobna temu, komu zdaleka uśmiecha się gwiazda sławy. A jeżeli życie jest marnością, czemuby nie wyciągnąć z niego dla siebie coś, co ma dla nas na chwilę, czy na długo, jakąś wartość? Czy zresztą wyciągnę coś z niego, czy nie, i tak w swoim czasie zgaszą mnie jak lampę, której zabraknie oliwy. Ach!

Rozpiął surdut, bo mu się zrobiło gorąco i mierząc wzrokiem odległość pozostałą jeszcze do przebycia, postanowił dla skrócenia jej iść przez łąkę. Szedł, nie zważając, że nogi lgnęły mu czasem w błocie i wodzie, patrząc na opary czołgające się miejscami po ziemi i przybierające

fantastyczne kształty — a myśl stawiała mu ciągle pytanie: jechać, czy nie jechać?

Już przebył połowę drogi, gdy niespodzianie potknął się o coś twardego. Syknął z bólu i schylił się, żeby zobaczyć co to takiego. Był to kamień prosty, polny, nieduży kamień, niczem od zwykłych kamieni się nie różniący, ale wieniec na nim leżał uwity z kwiatów akacyi, róż i jaśminu. Przy kamieniu dojrzał ślady drobnych stóp, których kształt odróżnił między tysiącem. Domyślił się, że tu właśnie spoczywa Henryk. Zdjął kapelusz i długo stał zadumany, a wszystkie jego bóle osobiste i pytania umilkły na chwilę.

Zegar na wieży ratuszowej wybił cztery kwadranse, a potem zwolna i poważnie godzinę dziewiątą; dźwięczne śpiżowe tony rozlegały się uroczyście śród nocnej ciszy i zaledwie ucichły, dała się słyszeć grzechotka stróża nocnego, której odpowiedziało grzechotanie w innej stronie miasta, a tamtemu jeszcze w innej. Jerzy rachował uderzenia, słuchał grzechotek, ale nie myślał o niczem, a przynajmniej zdawało mu się, że nie myślał. Od kilku godzin działo się w nim coś podobnego do przypływu i odpływu morza, a w tej chwili żywioły układały się do równowagi, jakby się w duszy jego zbierało na wielką ciszę, na odpoczynek po burzy. Uczuł się śmiertelnie zmęczonym i zaczął upatrywać miejsce, gdzie mógłby usiąść.

Uszedł jeszcze kilkanaście kroków w kierunku miasta i napotkał ten sam kamień i to

samo drzewo, gdzie kilka dni temu odpoczywał. Tuż pod drzewem był rów, a w wodzie stojącej w nim odbijały się gwiazdy. Z pod tych gwiazd odzywała się smętna i monotonna muzyka żab. Usiadł, oparł znużoną głowę o pień drzewa i sam nie wiedział jak długo tak siedział, czy spał lub czuwał, ale ocknął się na dźwięk zegara bijącego godzinę dziesiątą; grzechotanie, odzywające się w różnych punktach miasta, rozbudziło go na dobre, a z powrotem samowiedzy przyszła świadomość tego, co zaszło. Nie stawiał już sobie pytania jechać, czy nie jechać, bo powziął postanowienie. Jak się to stało, nie umiałby powiedzieć, ale wiedział, że je powziął. Myślał o Jadzi i przyłożywszy rękę do serca, przekonał się, że nie bije na wspomnienie tego imienia. Sięgnął do kieszeni i powyrzucał z niej te wszystkie przedmioty, które pozbierał na cmentarzu, szukając jej śladów.

Potem powiedział sobie, że jest nieczułym na wszystko, jak kamień i że nic na świecie poruszyć go nie może. Bo ile też przeżył w ciągu tych kilku godzin! Naprzód kochał ją tak, że gotów jej był życie swoje u stóp złożyć; potem była chwila, iż nienawidził tak gwałtownie, że mógł ją był zabić z zimną krwią — a teraz była mu zupełnie obojętną. Spokój, upragniony spokój, jakiego nawet umarli mogli mu pozazdrościć, osiągnął nareszcie. Opanowało go uczucie gorzkiego zadowolenia.

— Jestem szczęśliwy jak kamień — szepnął. — Pochlebiałem sobie, że mam umysł pozytywny,

a dzień dzisiejszy przekonał mnie, jak bardzo się myliłem. Zresztą, pozytywista czy idealista, zawsze jest tylko człowiekiem... Choćbyś najbardziej od swego człowieczeństwa uciekał, zawsze cię twoja ludzka natura dogoni...

Westchnął i mówił sobie w myśli, że i najpozytywniejsze umysły nie mogą uniknąć burz wewnętrznych, a w burzach tych grają echa wszystkich głosów natury: broni się czasem człowiek, jak zwierzę, i walczy o krawędź skały jak roślina, aż powoli staje się podobnym do trzeciego brata w naturze, kamienia... Jest to stan najdoskonalszy i najszczęśliwszy zarazem do jakiego człowiek dojść może. Proces psychiczny już skończony, pojęcia skrystalizowane i ustalone, a nad widnokręgiem duszy, pod którym przepłynęły burze, panuje niezmącona pogoda.

Popatrzył zamyślony na gwiazdy, a twarz jego, oświecona światłem księżyca, była istotnie pogodna jak nigdy jeszcze, choć jakby skamieniała.

— Czyż jednak kamień ma być wyrazem martwoty i braku życia? — myślał dalej — nie, to tylko obraz spokoju, do jakiego nie doszły jeszcze ani zwierzę, ani roślina. Kamień odczuwa wszystkie prądy życia, przebiegające ziemię, wszystkie potężne drgania natury.

„Żyły kamienia iskrami płyną,
Choć ludzie o tem nie wiedzą..." [1]).

Wstał i szedł zwolna ku miastu. W niektórych domach błyszczały jesze światła, ale

[1]) Żmichowska.

bardzo były nieliczne, bo mieszczanie kozłowscy kładli się spać wcześnie i wstawali razem z kurami. Na ulicach było pusto, tylko gdzieniegdzie przesuwał się pies zabłąkany, szukający towarzyszy. W Kozłowie wszyscy prawie właściciele domów trzymali psy, a tych większa część, wiązana we dnie na łańcuchy, usiłowała sobie w nocy wynagrodzić przymusową niewolę.

Oprócz kilku psów, porządne prowadzących życie i sumiennie spełniających obowiązki stróżów nocnych, reszta wałęsała się gromadami po mieście, wyprawiała skoki, gonitwy i harce, plądrowała tu i ówdzie, albo urządzała koncert wokalny z tonu minor, co zwykle zdarzało się podczas pełni księżyca. Bywały to prawdziwie psie sabaty.

Jerzy szedł, dziwiąc się swemu spokojowi, i zapytywał siebie, czy jest naprawdę tym samym człowiekiem, co szalał przed kilku godzinami jeszcze, czy nie — i czy przypadkiem to, czego doświadcza teraz, nie jest snem tylko, z którego się wkrótce przebudzi, albo czy to, co minęło, nie było tylko snem ciężkim i bolesnym.

Znalazłszy się przy kościele parafialnym, podniósł głowę, i wzrok jego padł na obraz św. Jerzego, zwalczającego smoka, malowany na blasze, umieszczony w głównej fasadzie kościoła. Światło latarni padało na malowidło. Taki sam obraz, tylko znacznie większy, znajdował się w głównym ołtarzu; na obydwóch rysy twarzy świętego przypominały rysy rodowe Wilczków.

a najwięcej fundatora kościoła, sławnego burmistrza. Jerzy popatrzył w milczeniu na tę twarz dobrze mu znaną, twarz surową, groźną, na bizantyński sposób traktowaną, z wielkiem złoconem kołem nad głową — i wydało mu się, że oczy świętego patrzą na niego z porozumieniem. I on też dokonał dziś rzeczy trudnej, zwyciężył sam siebie, zdeptał smoka egoizmu... Tylko, że święty miał twarz tryumfującą, a on z powodu swego zwycięstwa nie doznawał ani radości, ani tryumfu, ani smutku nawet, słowem nic... martwy był.

— Jak to będzie można chodzić między żyjącymi, będąc takim trupem — szepnął i poszedł dalej, gdzie ciężki, niezgrabny czworobok ratusza wyglądał niby drzemiący potwór. Fasada stanowiła głowę tego potworu, dwa okrągłe okna, w niej umieszczone, jego oczy, a długi cień wieży, leżący na ziemi, jego ogon. Olbrzymie to cielsko zdawało się drzemać tylko pozornie, a w istocie czyhać i gotować się do skoku na upatrzone z góry ofiary.

Jerzy przystanął.

— Tutaj to — rzekł do siebie — mieszka prywata, samolubstwo i ucisk; stąd wychodzą niesprawiedliwości, gwałty i fałszowanie prawa... Weźmiemy się za bary, ty i ja, i zobaczymy, kto mocniejszy!

W ciszy tej i pustce, panującej na ulicach, szyldwach, chodzący z karabinem tam i napowrót, był jedyną żyjącą istotą, a jaszczyk, za-

wierający kasę pułkową i stojący przed ratuszem, jedynym jego towarzyszem. Gdy Jerzy tak stał, uderzyło wzrok jego coś, co go zainteresowało. W oknach sali radnej zobaczył światło ruchome, znikało ono na chwilę i pojawiało się znowu to w jednem, to w drugiem oknie. Służba o tej porze nie miała tam nic do czynienia, a posiedzenia rajców nie odbywały się tak późno, chyba w nadzwyczajnych, wyjątkowych wypadkach — zatem, ktoby to mógł być i czego chciał?

Światło wkrótce zupełnie znikło. Jerzy stał jeszcze czas jakiś czekając, czy się nie pokaże, ale nic nie zobaczył.

Skręcił w ulicę, gdzie zdawało mu się, że widzi bocznemi drzwiami wysuwającego się człowieka, a potem cień jakiś sunący pod ścianami domów, ale cień ten rozwiał się jak mgła.

Nacisnął klamkę owych bocznych drzwi ratusza, wstrząsnął niemi i przekonał się, że były zamknięte. Zastanawiał się chwilę, czy ma przywiązywać jakąś wagę do tego co widział, czy nie. Zdecydował się na ostatnie i już chciał odejść, gdy spostrzegł trzech stróżów nocnych śpiących w zagłębieniu bramy. Obowiązkiem ich było obchodzić ulice i nie dawać spocząć grzechotkom, ale czynili to tylko po wybiciu godziny, poczem używali wczasu. Obudził więc ich i zgromił surowo, a gdy zerwawszy się, ruszyli się z grzechotkami w ulice, poszedł do domu.

Jedenasta już była, gdy stanął u bramy. Odkąd pułkownik stał na kwaterze w tym domu,

nikt z rodziny Wilczków nie chodził drzwiami frontowemi, gdzie w dzień jeden żołnierz, a w nocy dwóch stało ciągle na warcie, zmieniając się co dwie godziny. Jerzy cicho otworzył furtkę i wszedł w dziedziniec. W pokoju pani Wilczkowej paliło się jeszcze światło, jedna połowa okna była otwarta, a roleta do połowy tylko spuszczona. Jerzy stanął przy oknie i spojrzał w głąb pokoju. Staruszka leżała w łóżku, a poduszki ułożone wysoko, utrzymywały ją w postawie prawie siedzącej. Nocny czepek z dużą haftowaną falbaną, dawał wyborne tło tej twarzy charakterystycznej. Jerzy zauważył ze zdziwieniem, że przez trzy dni jego nieobecności twarz ta bardzo wychudła, a kości policzkowe stały się wydatniejszemi — niewątpliwie była ona już tylko gościem na tej ziemi, bo i wyraz spokoju jaki się na niej malował, po tylu przebytych wstrząśnieniach, był nieziemski. Jadwisia siedziała przy babce i czytała coś z niewielkiej książki w czerwony safian oprawnej, książki znanej dobrze Jerzemu od dzieciństwa; były to »Kazania Sejmowe« Skargi, ulubiona literatura stryjenki. Lampa przysłoniona zieloną umbrelką, tak, żeby nie raziła wzroku leżącej, rzucała cień także na twarz dziewczęcia, ale czysty i dźwięczny jej głos dochodził wyraźnie do ucha młodzieńca. Ani ten głos jednakże, ani blizka jej obecność nie czyniła na nim żadnego wrażenia. Serce zaledwie ruszało się w piersiach, było spokojne jak kamień.

Ona czytała:

».....miejsce wspaniałe i szerokie serce na dobro braciej swojej i narodów swoich, wszystkich dusz, które to królestwo w sobie zamyka. Nie cieśnijcie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach; nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich; niech się na lud wszystek z was gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa. Naśladujcie owego chrześcijańskiego króla, który z wojskiem wyciągnąwszy, na chorągwi swojej kazał namalować ptaka, który swoją krwią ptaszęta od węża zarażone ożywia, dając znać, iż za swój lud raz umrzeć chce, sobie śmierć, a im żywot obierając.

Są drudzy, co mówią: co mnie po królestwie i Rzeczpospolitej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam czego pragnę? To złodziejskie serce, które ze szkodą drugich chce być bogate!«

— Czy Jerzy nie powrócił dotąd? — spytała pani Wilczkowa, gdy wnuczka na chwilę przerwała czytanie.

— Nie jeszcze — odrzekła przyciszonym głosem i czytała dalej.

»Rób sobie niestatku, a Pana Boga proś o potrzeby swe, a przestań na swym stanie, a nie bądź utratnikiem i próżnującym, a dla siebie jednego tysiąc

tysięcy braciej swojej nie gub! — Boże! aby się takich, jako monstrów jakich mało najdowało, którzy srożej, niżeli bestye nieludzkości i krwi rozlania pełni są.

Takich podobno więcej, którzy służyć Rzeczpospolitej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, albo nigdy im za to nie płacą. Ci są dziwnie głupi, którzy nie wiedzą, iż cnota nie patrzy na zapłatę, jedno na swoją przystojność...!«

— Długo nie wraca — odezwała się znowu pani Wilczkowa — a to jest może ostatni wieczór, jaki ma spędzić z nami. Dopóki tu jest, mam jeszcze nadzieję, że Bóg uczyni cud i ześle coś takiego, co go w kraju zatrzyma. Ach, tak ciężko jest pomyśleć, że się ma umierać bezdzietnie... Myślałam, że w Jerzym ożyje duch Henryka, ale omyliłam się. Henryk umarł i zastąpić go niema komu; ciężko jest umierać, nie mogąc się odrodzić w dzieciach swoich...

Jadwisia zerwała się i uklękła przy łóżku staruszki.

— O, ty jesteś dobrem, szlachetnem, zdolnem do poświęceń dzieckiem — odrzekła pani Wilczkowa, przesuwając pieszczotliwie rękę po jej włosach — masz duszę gorącą, serce zapału pełne. Wiem, że nikomu ze swoich blizkich upaść na duchu nie dasz, a każdego podźwigniesz; ale choćbyś nosiła męską głowę na barkach ko-

biety, nie zdołasz czynić tego, co czynić może mężczyzna, bo zakres działalności niewieściej w społeczeństwie jest inny, szczuplejszy...

— A jeżeli mieć będę męskie serce i męską siłę ducha...

— Przelej te przymioty w syna, gdy mieć go będziesz, a zasłużysz się dobrze krajowi; zasłużysz się lepiej, niż ja, bom widać źle wychowała Jerzego, skorom nie umiała dla wielkiej wspólnej matki natchnąć go taką miłością, żeby mu ona była droższą nad cele osobiste. Wyjrzyj czy Jerzy nie idzie...

Młodzieniec cofnął się szybko za węgieł domu, bo nie chciał być widzianym.

Jadwisia otworzyła okno, wychyliła się, nasłuchiwała — ale w ulicy było cicho i pusto.

— Nie widać go babciu — rzekła, przymykając okno, a w głosie jej był smutek bezdenny. Ale brzmienie jego nie zrobiło żadnego wrażenia na Jerzym. Serce jego było martwe.

Gdy zajęła napowrót swoje miejsce, młodzieniec znowu zbliżył się do okna.

— Dziwna rzecz — rzekła staruszka — już tak późno...

— Pewnie nadejdzie za chwilę...

— Przeczytaj mi co jeszcze.

— Może kazanie Skargi, wzywające obywateli do pokuty?

— Nie. Przeczytaj mi jakieś myśli ludzi współczesnych, takich, którzy głębokie bóle odczuwają głęboko, i stojąc przy świeżym grobie.

nie wątpią o nieśmiertelności. Wiele przeżyłam i przecierpiałam, a nie mogę bez zgrozy patrzeć na młodzież, której serce zalega martwota i zwątpienie, na młodzież, która stąpa po żywej ziemi jak po cmentarzu, zamiast pracować wspólnemi siłami nad odwaleniem kamienia, i zanucić hymn zmartwychwstania.

Jerzy westchnął; on należał do tych, którzy wątpili, bo najprostsza logika mówiła mu, że wiary nie ma na czem opierać, i że karmić się złudzeniami, jest to trwonić nadaremnie czas i siły. Jadwisia wzięła ze stołu inną książkę i zaczęła czytać:

„Przeciw nadziei co stoi na chmurze [1])
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę;
I obrócony wzrok trzyma na burze
I nawałnice...
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei
Przeciw nadziei.

Tak pieśniarz ślepy, gdy go noc otoczy,
Choć wie, że rankiem nie wznijdzie mu słońce;
Podnosi w niebo obłąkane oczy
I dłonie drżące,
I mroki pije źrenicą zagasłą
Wierząc w dnia hasło.

Pani Wilczkowa usiadła na łóżku i z oczyma wlepionemi w twarz wnuczki, chciwie chwytała uchem dźwięki i wyrazy:

---

[1]) Konopnicka.

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze;
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze...
I syn się karmi kłosami gorzkiemi
Z ojców swych ziemi...

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły;
Idziem — jak idą bezdomne przechodnie,
Z zwiędłemi czoły...
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady...

Wiem! niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli;
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza,
I z krwawej roli...
I ja też lecę jak ptak obłąkany
I wichrem gnany...

Falbany u czepka staruszki zaczęły mocnej drżeć, poprawiła się na siedzeniu i odsunęła na bok umbrelkę, przeszkadzającą jej dobrze widzieć twarz czytającej.

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca,
I piekieł naszych ogarniona sferą,
Oczyma szukam dnia blasków i słońca
Contra spem spero...
I w głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze...

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów,

Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei
Przeciw nadziei".

Jadwisia czytała głosem pełnym siły i łzami nabrzmiałym, a na twarz jej wystąpiły rumieńce. Gdy skończyła, pani Wilczkowa, której twarz podczas tego czytania nagle się wypogodziła i odmłodniała, i której oczy błyszczały jak dwie lampy, palące się przed ołtarzem, wyszeptała:

»I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei
Przeciw nadziei!...

Jerzy spostrzegł, że mu coś wzrok zasłania, a cały obraz mgła jakaś powlekła. Podniósł rękę do oczu i przekonał się, że to były łzy. Ślepa wiara dwóch kobiet w to co on uważał za miarę nieuchwytną, przejęła go do głębi.

Kamień poruszył się.

XIV.

Fakt, że młody Wilczek nic nie wskórał w mieście gubernialnem, i że podał stamtąd w imieniu wdowy Wilczkowej skargę do jenerał-gubernatora do Warszawy, o najście mieszkania z włamaniem, stał się zaraz nazajutrz kozłowskiemu magistratowi wiadomym. Oprócz raportów urzędowych, miewał on tajne raporta, równie dokładne, a może nawet dokładniejsze — bo gdy tamte ograniczały się na fakcie w uroczysty sposob omówionym, te nie gardziły drobnymi szczegółami, ploteczkami i anegdotkami, uzupełniającemi go i cenne rzucającemi światło. Raport ten jak również wyrażenie użyte w skardze »najście mieszkania z włamaniem«, wprawiło ojców miasta w dobry humor. Jerzy w oczach ich wyszedł na dziecko bawiące się nieszkodliwie. Co bowiem generał-gubernator mógł zrobić magistratowi kozłowskiemu? Jego Dostojność odniesie się przedewszystkiem do pana gubernatora, pan gubernator zapytał magistrat kozłowski jak rzeczy stoją — a magistrat zda raport, taki jaki uzna za właściwy i zgodny z prawdą, mianowicie, że Wilczkowa z mieszkania ustąpiła sama. Ko-

misya kwaternicza postawi na żądanie dziesięciu świadków, że ta zacna pani nie protestowała ani słowem, ani czynem, przeto skarga jej synowca Jerzego zostanie oddaloną jako bezzasadna. Jedynym zarzutem poważnym było pomieszczenie dwóch kwater w jednym domu, ale i temu komisya roztropnie zapobiegła przez usunięcie geometry — i teraz była czystą jak westalka!

Pomiędzy ludnością uboższą rozeszła się tego rana wieść, że około północy, w bramie ratusza, trzem stróżom miejskim objawił się święty Jerzy; a gdy kwatermistrz posłyszawszy to i wypytawszy się jak święty Jerzy wyglądał, tłómaczył prostaczkom, że są głupcami i że to był nikt inny tylko Jerzy Wilczek, przyjęli słowa jego z widocznem lekceważeniem, dla tej prostej przyczyny, że był Niemcem, a Niemcy w świętych nie wierzą. — Około południa wieść przybrała większe rozmiary: opowiadano sobie, że patron miasta trzymał w ręku ognisty miecz; że stał na smoku mającym siedm głów, a każda z tych głów ogniem zionęła. Stróże miejscy wyszli odrazu na bohaterów, których poczciwa rzesza słuchała ciekawie, a której oni widzenie swoje z coraz nowymi opowiadali dodatkami. Ku wieczorowi wiedziano już, że ten miecz ognisty znaczył klęski mające spaść na miasto, a najpewniej ogień — co prowadziło do wniosku, że komendy niemieckiej przy miejskiej straży ogniowej dłużej cierpieć nie można i że trzeba na czele postawić katolika, bo dłuższe ociąganie się

może niebo rozgniewać. I jeżeli święty Jerzy nie powiadał tego, to pewnie chciał powiedzieć, tylko nie zdążył, bo gdy on stróżów miejskich budził, kur właśnie zapiał. Liczba stronników Bungego zmniejszyła się przerażająco i ci nawet co za nim trzymali, od czasu, gdy lepsze piwo znów zaczął robić, odpadali po jednemu, bo mało było takich mieszczan w Kozłowie, którzyby nie byli przejęci głęboką czcią i nabożeństwem dla świętego patrona. Pod noc, w miasteczku szumiało już jak w ulu.

Tak drobne i niewinne napozór zdarzenie, stało się początkiem agitacyi antiniemieckiej. Burmistrz lubiący krotochwile, śmiał się do rozpuku, gdy się o tem dowiedział i postanowił osobiście zakomunikować proboszczowi tę wiadomość przy preferansie, na który się sam poprzedniego dnia do niego zaprosił — ale co kwatermistrz, to się aż trząsł z oburzenia.

— Co ten chłopak sobie pozwala! — wołała rozdrażniony jeszcze bardziej dobrym humorem burmistrza. — Czy do niego należy czuwać nad porządkiem w mieście? To nasza rzecz! Jak pan to możesz znosić panie prezydencie i pozwolić, żeby on pod nosem panu burmistrzował? Dzisiaj zwymyślał stróżów, a jutro jak się pan gdzie zasiedzisz na preferansie, każe panu iść do domu. Co to jest? Póki będzie tej gospodarki! Niech wiem, kto tu jest burmistrzem, pan czy Wilczek? Proszę! on tu będzie chodził i podpatrywał gdzie się co dzieje? Gdybym był na

pańskiem miejscu, kazałbym mu przez woźnego powiedzieć, że nie wolno wałęsać się po nocach.

— Powoli, powoli — przemówił burmistrz, zdziwiony niepomału, tym nieuzasadnionym bynajmniej wybuchem — zapominasz pan, że stan oblężenia w Królestwie Polskiem zniesiony został oddawna!

— Dla niespokojnych duchów i burzycieli, nie należało go nigdy znosić — przerwał kwatermistrz ze złością — nie mogę patrzeć spokojnie na to, że się tu to Wilczątko tak bezkarnie rozrzuca!

— Przedstaw pan swój projekt Radzie ministrów — odrzekł szyderczo burmistrz — może będzie przyjęty. Pociesz się pan: Wilczątko jutro albo dziś jeszcze Kozłów opuści.

— Skąd pan wiesz o tem?

— Zaniosłem wczoraj do rymarza swój futerał od pistoletów, żeby mi go przerobił; przy mnie przyszła służąca Wilczków z kuferkiem podróżnym i żądała koniecznie, żeby był sporządzony zaraz, bo pójdzie w drogę. Ale oto i Wilczek, możesz go pan sam zapytać.

— Ja z nim gadać nie chcę! — ofuknął się kwatermistrz.

Rozmowa toczyła się na rynku. Jerzy szedł środkiem, i niosąc w ręku otrzymane z poczty gazety, przebiegał szybko oczyma stronicę, na której były telegramy. Nie widział obu rozmawiających i byłby ich minął nie spostrzegłszy, ale burmistrz nie mógł się powstrzymać od zło-

śliwej chęci dania uczuć drobnem słówkiem swojego tryumfu, człowiekowi, którego kilka dni temu tak zręcznie wywiódł w pole, skorzystawszy z jego nieobecności. Była to kapitalna sztuczka, jak sam sobie przyznawał, i tylko wspomnienie »tej małej« niepokoiło go chwilami.

— Hej! panie Wilczek, dzień dobry! jakże tam interesa się powiodły w mieście gubernialnem?

Jerzy drgnął na to niespodziane spotkanie nienawistnych mu ludzi. Podniósł głowę i patrząc im śmiało w oczy, odrzekł sucho:

— Nieźle. Mam nadzieję, że panowie wkrótce sami przekonacie się o tem.

Burmistrz aż parsknął śmiechem, tak mu to zapewnienie wydało się zabawnem.

— Dobry pan sobie jesteś! — zawołał — uścisnąłbym pana, jak Boga kocham.

— Jestem gotów! — odrzekł Jerzy — wyciągając swoje białe, ale muskularne ręce, które mimowoli zacisnęły się w pięście — bo jeszcze nie podziękowałem panu za przeprowadzenie mojej stryjenki, z jednej strony domu na drugą, kosztem magistratu...

— Co to jest? on mi chce grozic, czy co— rzekł do siebie burmistrz, cofając się i odparł prędko. — O, niema potrzeby; zresztą wdzięczność nie mnie się należy, tylko obecnemu tu panu kwatermistrzowi.

— Wiem o tem — odrzekł Jerzy kłaniając się — i możecie panowie być pewni, że nie za-

pomnę com komu winien. Wilczkowie zawsze spłacają długi.

— Mnie grozi ten chłystek, mnie? — myślał kwatermistrz, posyłając w duchu burmistrza do wszystkich daybłów za jego koncept i zamiłowanie w krotochwilach. — Niema o czem mówić — odezwał się, udając, że nie zrozumiał aluzyi. — Co się zrobiło, to się zrobiło w interesie dobra publicznego, na której to drodze wszyscy łączyć się powinniśmy.

— Skromność pańska, wyłączająca w tej sprawie wszelką zasługę osobistą, tem większego warta jest uznania — odrzekł Jerzy grzecznie— toteż mam nadzieję, że pan z czasem doczekasz się tego na coś zasłużył. Ja ze swej strony postaram się do tego rękę przyłożyć, jeżeli się zdarzy sposobność.

Spojrzeli sobie w oczy. Kwatermistrz uczuł przebiegające go owo lekkie drżenie nerwowe, które odbierało mu zawsze swobodę i pewność siebie.

— Niech zginę, jeżeli go nie zgniotę jak psa — pomyślał, zły, że nie mógł owego drżenia opanować.

Burmistrz, któremu cała ta scena wydała się wielce zabawną krotochwilą, nie mógł się powstrzymać od rzucenia złośliwego słówka pomiędzy obu przeciwników, i przymrużając jedno oko, odezwał się:

— Cieszy mnie to, że panowie jesteście ze wzajemną dla siebie rewerencyą, ale co się

tyczy pana Kurtza, to ten oprócz rewerencyi, pała jeszcze dla pana, panie Wilczek, gorącym afektem. Właśnie gdyś pan nadchodził, wyraził mi swój żal z powodu, że pan Kozłów opuszcza, zapytał mnie czy nie wiem czasem jak prędko to nastąpi. Powiedziałem mu właśnie, że pan sam najlepiej będziesz mógł nas o tem objaśnić.

— Mam zamiar wyjechać jutro — odparł Jerzy spokojnie — ale widzę, że moja podróż jeszcze się odwlecze. Żal mi opuszczać miasto, gdzie panuje tak gorąca miłość publicznego dobra. Pan kwatermistrz powiedział przed chwilą, że w tem uczuciu powinniśmy się wszyscy jednoczyć i miał słuszność. Może być, że ja swój wyjazd odłożę na długo, żeby działać w myśl jego i w tem pięknem dziele podjętem dla dobra miasta, postępować z nim ręka w rękę!

Burmistrzowi zaczął się brzuch leciutko trząść i wąsy ruszać.

Niech dyabli porwą argumenta tego chłopaka i tę jego niepojętą zimną krew — pomyślał spoglądając na kwatermistrza, po którego twarzy przebiegały coraz silniejsze drgania nerwowe. Pasował się też ze sobą chwilę, zanim przemówił niepewnym głosem:

— Pan Wilczek słyszał zapewne, że kilka dni temu, na trakcie wiodącym ku granicy, ograbiono pocztę, i woli odłożyć wyjazd, niż narażać swoje cenne dla miasta życie. Ale moglibyśmy dać panu dla bezpieczeństwa eskortę. Pan naczelnik straży ziemskiej nie odmówiłby kilkunastu

swoich rycerzy, gdyby pan prezydent wyrzekł tylko słowo.

— Dziękuję panu — odrzekł szydersko młodzieniec — jeżeli wyjadę, dam sobie radę w drodze bez eskorty. Straż ziemska potrzebniejsza jest tu panom, niż mnie.

— Co on chce przez to powiedzieć? — zadał sobie w duchu pytanie burmistrz. — Hm, czy my jesteśmy w niebezpieczeństwie?

— Niechaj straż czuwa nad bezpieczeństwem miasta — mówił Jerzy dalej. — Czy pan prezydent posyłał dziś kogo w nocy do sali radnej?

— Nie — odrzekł burmistrz zdziwiony, otwierając oczy szeroko — bo co? Dlaczego pan pytasz się o to?

— Bo dziś około północy widziałem w oknach frontowych ratusza światło przesuwające się z miejsca na miejsce. Musiał tam ktoś być.

Burmistrz jeszcze szerzej oczy otworzył.

— Światło — powtórzył — o północy, kiedy klucze są u mnie? Musiało się panu zdawać.

— I nie inaczej, tylko się panu Wilczkowi zdawało — wtrącił kwatermistrz, który zbladł nagle. — Był to niezawodnie tylko blask promieni bijących z głowy świętego Jerzego, który się o tej samej porze nocnym stróżom ukazał. Jeżeli uczony doktor filozofii zaszczyci nasze miasto dłuższą obecnością, Kozłów stanie się miejscem cudami słynące n, a handel ożywi się z powodu napływających ze wszystkich stron pielgrzymów.

Jerzy nie zaraz odpowiedział na ten dowcip: wpatrywał się on w mówiącego wzrokiem badawczym i widział jak ten wzrok go mieszał i obezwładniał. Nareszcie rzekł:

— Mylisz się pan, cuda ustaną. Jestem nieprzyjacielem nadzwyczajności i jeżeli powtórnie zobaczę światło w ratuszu o północy, duch pokutujący w sali radnej nie ujdzie rąk moich!

Skrzyżowali spojrzenia ostre jak stal. Kurtz czuł, że widzi przed sobą wroga, który go odgadł i nie spocznie, aż go odkryje, a Jerzy czuł, że ma przed sobą nędzny płaz, który czołgać się będzie dokoła niego gdziekolwiek stąpi, i czyhać gdzieby żądło zapuścić. Ale podczas, gdy we wzroku Kurtza, obok nienawiści odbiła się zabobonna trwoga, w oczach Jerzego była groźba, pogarda i wstręt.

Burmistrz zamyślił się bardzo nad tem co słyszał. Odchodząc, młodzieniec winszował panu burmistrzowi gorliwości z jaką się sprawami miasta zajmuje, czego dał dowód wziąwszy na siebie dopilnowania restauracyi kościoła parafialnego. Pochwała ta dała także do myślenia burmistrzowi i byłaby mu odebrała apetyt, gdyby był mniej strawnego żołądka. Ale żołądek ten był w swoim rodzaju unikatem.

XV.

Na drugi i trzeci dzień kotłowało w miasteczku; sprawa straży ogniowej była na wszystkich ustach. Bunge widząc, że mu chcą odebrać komendę, dla zjednania sobie obywateli, kazał dawać sute dolewki do piwa, a każdemu wyborcy któryby za nim głosował, obiecywał pełny antałek. Nie wywarło to jednak spodziewanego wrażenia.

— Chcemy mieć swojego, katolika — mówili. — Straż dowodzona przez heretyka, od ognia nie obroni. Toć w tym roku spaliły się nam trzy stodoły miejskie ze zbożem, chociaż straż była przy ogniu.

— Bo sikawka się zepsuła — zauważył ktoś — a wicher był wtedy okropny.

— Nieprawda! bo Matka Boska obraziła się na nas, żeśmy wzięli takiego co w Nią nie wierzy. Katolika chcemy, albo żadnego.

Tak było i dni następnych, aż ruch jaki to sprawiało, zwrócił uwagę władzy, niecierpiącej wszelkich pokątnych szeptów i gromadnych gawęd

na ulicy. Imię Jerzego niejednokrotnie dawało się słyszeć w tym ruchu, jako imię domyślnego kandydata na naczelnika. A jak poruszenie jednego kółka wywołuje ruch kółek innych, a z niemi drgnienie całej machiny, tak jednocześnie prawie, poczciwi i wiecznie zalęknieni mieszczanie, zdający się dotąd o Bożym świecie nie wiedzieć, zaczęli bąkać, że wedle przepisów wybory do komisyi kwaterniczej powinny się co rok odbywać — i że warto zmienić choć w części skład sławetnego komitetu, bo żaden artykuł prawa nie wymaga, aby godności jego członków były dożywotniemi. I tu także dało się słyszeć imię Jerzego, co niemało krwi popsuło kwatermistrzowi. Próżno go burmistrz uspakajał, tłómacząc, że ani jedno, ani drugie się nie ziści, bo Wilczek wyjedzie — nic nie pomogło. Kwatermistrz tak się zgryzł, że aż pożółkł.

Jerzy tymczasem nie wiedział o niczem. I on pobladł i zmizerniał przez te dni kilka. O wyjeździe nie mówił, a stryjenka i Jadzia nie wspominały też o tem. Zdawało się, jakby obie strony pomijały tę materyę za wspólną milczącą umową. Tylko w oczach obydwóch kobiet pojawiały się czasami błyski nadziei, której jedna przed drugą nie śmiała nawet wyjaśnić słowami, żeby nie spłoszyć tego rzadkiego, a lękliwego ptaka. Raz tylko pani Wilczkowa patrząc na zmienioną twarz synowca, odezwała się z cicha do wnuczki, że Jerzy wygląda jak roślina prze-

sadzona na inny grunt, która nie mogąc odrazu przystosować się do warunków miejscowych i zbyt ostrego klimatu, choruje... Ale powiedziawszy to, zaraz zamilkła, jakby przestraszona własnemi słowy — bo zresztą Jerzy nie oświadczył wcale, że zostanie, a nawet nie rozpakował swoich rzeczy.

On sam spędzał prawie wszystek swój czas teraz za domem. Wychodził z rana z fuzyą i wracał często dopiero wieczorem, bez zdobyczy przy torbie — widocznie wcale jej nie szukał. On tak wesoły z natury i ożywiony, siadywał teraz godziny całe zamyślony i milczący, a nie tylko, że jego oczy nie szukały wzroku kuzynki, ale często zdawały się nawet nie spostrzegać jej obecności. Jeżeli kiedy oczy ich spotkały się, jakby dawniejszą siłą magnetyczną wzajemnie pociągnięte, ona nie znajdowała w nich dawnego uwielbienia i zachwytu, tylko wyraz jakiś bolesny i skupiony, zaostrzający jego rysy i czyniący go podobniejszym do zmarłego stryja. Tamtego powoli strawiła zgryzota, czy i tego serce strawić się ma w ogniu cierpienia? Przeczucie mówiło jej, że tak być nie może, że to serce wyjdzie z próby czyste, wolne od egoizmu, a mocne i hartowne jak stal.

Zmiana taka jego z nią obejścia dotykała ją boleśniej, niż chciała przyznać przed sobą. Wiedziała, że sama była jej przyczyną, a świadomość ta uczyniła ją wobec niego nieśmiałą.

Miła, przyjacielska swoboda i poufałość, cechująca dotąd ich stosunek i nadająca mu niewypowiedziany urok, zniknęła. Obecność jednego z nich krępowała drugie i oboje oddychali swobodniej, nie będąc razem. Tak serca tych dwojga zamiast się zbliżyć, oddalały się od siebie coraz bardziej, a chwilami zdawało się nawet, że są sobie zupełnie obce. Kilkakrotnie Jadzia, widząc Jerzego bardzo smutnym, chciała doń przemówić jak dawniej, serdecznie i po bratersku; ale duma nie pozwalała jej zdobyć się na to, wobec widocznej jego obojętności, jeżeli nawet nie niechęci.

W samotnych przechadzkach, jakie Jerzy najchętniej odbywał, spotykał się czasem z baronem. Z początku zamieniali z sobą po kilka słów uprzejmych, potem prowadzili dłuższe rozmowy; baron widocznie szukał towarzystwa młodzieńca i nie ukrywał swej dla niego sympatyi. Raz, gdy rozmowa zeszła na sprawy społeczne i krajowe, baron rzekł zupełnie niespodzianie:

— Panie Wilczek, nie będę ukrywał przed panem moich przekonań politycznych. Urodziłem się w Kurlandyi, ale jestem duszą i sercem Rosyaninem. Obowiązki moje dla Ojczyzny pojmuję nieco inaczej, niż wielu moich rodaków, choć niemniej od nich pragnę jej dobra, i tak jak oni cieszę się, że epoka zlania się wszystkich narodowości słowiańskich przyjdzie kiedyś. Wielkość i potęga Rosyi jest moim ideałem, ale wiem, że siłę państw stanowi miłość i jedność ich ludów.

a to osiągnąć się da tylko przez wzajemne porozumienie i przyznanie im praw należnych. Szukam ludzi, którzyby tak samo myśleli i nie usuwali się od inicyatywy, jeżeli się nadarzy sposobność.

— Panie baronie — odezwał się Jerzy po chwili milczenia — otwartość za otwartość: ja nie jestem tym, którego pan szukasz... Mówiono i pisano u was wiele o »złotym moście«, ale nikt go nie chce budować, bo nie ma potrzebnych do tego materyałów; a te, jakieby się po mozolnem szukaniu znalazły, są tak kruche, że po moście, z nich zbudowanym, nikiby się przejść nie odważył.

— Sądzisz więc pan, że most nigdy nie stanie?

— Jeżeli stanie kiedy, to nie złota, ale żelaza chyba użyć trzeba do budowy.

— Żelaza, polewanego krwią, chcesz pan powiedzieć? Niechże Bóg broni! dosyć jej już popłynęło ze stron obu, czas wejść na drogę porozumień i ustępstw wzajemnych.

— Panie baronie, nie mówmy o polityce: szanuję pańskie przekonania i nie chcę ich obrażać.

— Owszem, mówmy. Mam pana za człowieka rozumnego, z którym o wszystkiem mówić można i zgaduję, że pan znasz położenie lepiej, niż wielu innych.

— W takim razie nie może być mowy o żadnym bliższym stosunku między nami, bo

na wzajem będziemy się ranili w tem, co mamy najdroższego.

— Sądzisz więc pan, że nie może być mowy o przyjaźni między Polakiem a Rosyaninem? Nie posądzisz pan przecie o brak patryotyzmu Mickiewicza, a jednak łączył go związek serdecznej przyjaźni z Puszkinem:

„Znali się z sobą niedługo, lecz wiele,
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze wyższe nad ziemskie przeszkody
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki".

Jest coś wyższego jeszcze nad narodowość, a tem jest ludzkość. Ponad Polakiem i Rosyaninem, stoi człowiek.

— Panie baronie, żeby się czuć przedewszystkiem człowiekiem, trzeba mieć sobie ludzkie prawa przyznane. Od czasu, gdy ci dwaj wieszcze ścisnęli sobie dłonie, wiele się rzeczy zmieniło. Spieniony nurt wody powyrywał brzegi, a siekiera pościnała lasy nadbrzeżne, nieuszanowawszy nawet świętych dębów... Wszystko, co słyszę od pana, budzi we mnie wielki dla pana szacunek i dlatego właśnie proszę, abyśmy nie mówili o polityce.

— Dobrze, skoro pan tak chcesz — odrzekł baron ze smutkiem i więcej już tego tematu nie wszczynał. Mówili zato wiele o sprawach ogólnospołecznych i interesach miasta.

Odwiedzał też i doktor Jacenty Jerzego, ale ten ganił go zawsze za to, że chorągiew czerwoną przeciwko wszechmocnym wywiesił, a ganił we właściwy sobie sarkastyczny sposób, wywierający skutek wprost przeciwny. Dopytywał go się raz po raz o wyjazd do Paryża, ale Jerzy pomijał milczeniem to pytanie.

W kilka dni po owej rozmowie o cudach, ławnicy zebrali się w ratuszu, bo burmistrz układać miał z nimi taksę na mięso i chleb, jak to bywało zawsze w ostatni dzień miesiąca. Lebich, który w zeszłym miesiącu naraził sobie burmistrza chęcią wyłamania się z pewnego zwyczaju, jaki mu już ciężyć zaczynał, dziś przybył z obfitą od rzeźników i piekarzy »dobrowolnie« zebraną składką na »nieprzewidziane potrzeby«, która to kwota wręczona została na stronie, aby jak uczy Pismo święte: »nie wiedziała lewica co czyni prawica«.

Niedawny przeciwnik dziś siedział najbliżej burmistrza, po prawej jego stronie. Burmistrz usadowił się na miejscu, zajmowanem zwykle przez naczelnika powiatu, bo od czasu, jak ten ostatni otrzymał od gubernatora wiadome monitum, rzadziej przychodził na posiedzenia. Po lewej stronie siedział młynarz Höhne, Fryc i żyd Hand. Zgromadzenie było w komplecie, a skład jego taki sam prawie, jak deputacyi kwaterniczej, z wyjątkiem Kurtza i Służalskiego, którzy nie byli ławnikami. Po naznaczeniu taksy na różne gatunki mięsa i chleba, panowie rajcy wzięli się

do rewizyi listy podatków miejskich, do których należały: szkolne, szpitalne, kwaterunkowe, latarniowe, w celu poczynienia ulg dla biedniejszych (czytaj: faworyzowanych), a podwyższenie ciężarów dla bogatszych (czytaj: nieuległych).

Kwestya ta dała powód do ożywionej dyskusyi i przerwana została nagłem otwarciem drzwi, któremi wpadł kwatermistrz. Czerwony był, zdyszany, spocony, a policzki mu drgały od nerwowego rozdrażnienia.

— Moi panowie! — wybuchnął — wy tu siedzicie spokojnie a tam mieszczanie się buntują!

Ławnicy zerwali się na równe nogi: burmistrz siedział jak przykuty do krzesła, ale upuścił listę ze strachu.

— Co! — zawołał blady jak płótno — co? buntują się? gdzie oni są, te gałgany, dam ja im zaraz! Panowie, trzymajcie mnie! na miłość boską trzymajcie mnie, bo ja jestem zły, bardzo zły! Wy mnie jeszcze nie znacie, ale jak wpadnę w pasyę, to powiadam wam, okropność! Mitygujcie mnie, nie dajcie mi tam iść...

Wstał i upadł napowrót na krzesło.

— Ależ panie prezydencie — przemówił kwatermistrz — ja...

— Tak, tak, masz pan racyę, lepiej, że się nie pokażę na ulicy. Pan to najlepiej rozumiesz... Pan jeden mnie znasz. Panowie rajcy, niech który z panów pobiegnie do pułkownika, żeby przysłał szwadron wojska dla obrony ratusza. Może pan, panie Hand?

— Ja mam feler w nodze, bardzo wielki feler — odezwał się trzęsącym głosem Hand, z głębi szafy z aktami, w którą się wsunął — i wcale nie chodzę.

— Ależ moi panowie — przemówił kwatermistrz, sam zdumiony wrażeniem, jakie sprawił — uspokójcie się. Żaden napad nie grozi ratuszowi.

— Jakto nie grozi? kiedy pan powiedziałeś, że się buntują — odezwał się żałosnym głosem burmistrz.

— Nie powiedziałem jednak, że bunt jest zbrojny, chociaż może do tego przyjść, jeżeli ten chłystek Wilczek zostanie naczelnikiem straży ogniowej. Mieszczanie wczoraj jeszcze szeptali tylko po kątach, a dzisiaj chodzą po mieście z zuchwałemi minami i odgrażają się, że go wybiorą!

Burmistrz odetchnął.

— Bodajeś pan pękł ze swemi wiadomościami — mówił ocierając pot z czoła. — Kto widział hałas robić o takie głupstwo! Myślałem, że wybuchło powstanie... Uf... uf... jakże mi gorąco. — Rozpiął kamizelkę i, wyjąwszy z kieszeni wielką kolorową chustkę, zaczął się nią wachlować. — Buntują się, buntują, myślałby kto, że Bóg wie co? Chcą go wybrać, to niech sobie wybierają! Mają prawo. Ustawa na to pozwala... Uf... uf...

Kwatermistrz nadobre się rozgniewał.

— Ja pana prezydenta nie poznaję! — zawołał ze złością — odkądże to pan trzymasz się tak ściśle paragrafów ustawy? Wszakże dotąd mieszczanie wybierali tylko takiego kandydata, którego my im wskazywaliśmy, i tak stawało się zadość naszej woli i ustawie. A dziś ci, którzy dotąd nie ważyli się kroku jednego zrobić bez naszego pozwolenia, wyrażają głośno swoje chęci, swoje własne chęci! słyszysz pan? czy to nie pachnie buntem?

— Furda! — krzyknął burmistrz zniecierpliwiony — mówiłem już panu, że nic z tego nie będzie, a pan ciągle swoje! Wilczek wyjeżdża.

— Zostaje.

— Co pan mówisz!

— Zostaje — powtórzył dobitnie Kurtz.

— Skąd pan masz tę wiadomość?

— To już moja rzecz.

Burmistrz ruszył ramionami z politowaniem, jakby chciał powiedzieć, że na upor niema lekarstwa.

Na tę scenę wszedł Gonczarow i, popatrzywszy na twarze rajców, zapytał:

— Co się tu stało? Widzę panów wszystkich powarzonych. Czy nadeszła jaka depesza?

To powiedziawszy, obejrzał się za krzesłem, wszyscy bowiem stali.

— Nie, panie naczelniku — odrzekł burmistrz, wskazując przybyłemu honorowe miejsce z uprzejmością gospodarza — tylko pan Kurtz przyniósł nam w tej chwili wiadomość, że mic-

szczanie chcą wybrać Wilczka na naczelnika straży ogniowej.

— Aa — odezwał się tylko i, usiadłszy wygodnie w fotelu, prosił obecnych, żeby zajęli także swoje miejsca.

Burmistrz chciał go traktować jako gościa, a on poczynał sobie względem niego jak gospodarz.

— Ale jakże to może przyjść do skutku, skoro Wilczek wyjeżdża do Paryża? — zapytał.

— Zostaje — odrzekł z tłumionym gniewem Kurtz.

— Zostaje? — powtórzył ze zdziwieniem, — może tylko zażartował sobie z panów? Coby on tu robił w Kozłowie? Doktor filozofii, człowiek zdolny, jemu trzeba szerokiego świata!

— Widać, że świat kozłowski wydał mu się nagle szerokim, a nadzieja zostania w perspektywie głową miasta nader ponętną — odrzekł zjadliwie.

— Zapominasz pan, że samorząd gminny, zastosowany w Cesarstwie, nie został jeszcze wprowadzonym do miast Królestwa — powiedział lodowatym tonem Gonczarow, który nabrał pogodniejszego na świat poglądu, otrzymawszy wiadomość, że gubernator, lubiący dawać monita, przeniesiony został w stan spoczynku.

— Ale może zostać wprowadzonym — mówił dalej niezrażony tym tonem kwatermistrz — tak, jak go już wprowadzono w gminach wiejskich; a tymczasem Wilczek będzie sobie

zdobywał popularność... Obowiązkiem naszym jest przewidywać takie rzeczy i zawczasu usuwać z drogi żywioły podejrzane. Pan prezydent wyraził tu niedawno na tem miejscu zdanie, że Wilczek może zostać wybranym na naczelnika straży, bo ustawa na to pozwala: mojem zdaniem, panie naczelniku, ustawą dla nas powinna być nieustająca myśl o bezpieczeństwie państwa, a gdy ono jest zagrożone, wszystkie paragrafy powinniśmy uważać jako martwe tylko litery!

— Zadaleko pan idziesz! — krzyknął ostro Gonczarow — proszę nie zapominać, że ustawy nadaje ten, czyja dłoń potężna dzierży samowładnie rządy nad nami. Kto nie szanuje ustaw, jest »niebłagonadieżnym«, choćby jego zamiary pochodziły ze źródła najczystszego patryotyzmu.

To powiedziawszy, spojrzał kolejno po obecnych dla zbadania, jakie też wrażenie sprawiły jego słowa. Lubił on czasem przerażać swoich podwładnych, jak Iwan Groźny, a gdy już nacieszył się sprawionem wrażeniem, niespodzianie okazywać łaskę.

Uroczyste te wyrazy przyjęte zostały w uroczystem milczeniu; kwatermistrz usiadł przygnębiony i gryzł wąsy, a pan burmistrz, któremu się to krotochwilnem wydawało, że Kurtz dostał po nosie, odezwał się:

— Pan Kurtz sfiksował na punkcie tego Wilczka — jak Boga kocham, a to wszystko dla jednej spódniczki. Ładna bestyjka, to prawda, — ale mógł był sobie odrazu powiedzieć, jak ten

lis, który widział zawysoko wiszące winogrona, że są za kwaśne...

Naczelnik uśmiechnął się. Kurtz zerwał się, jakby mu kto wymierzył policzek.

— Panowie drwicie sobie ze mnie! a ja was ostrzegam, że nieroztropnie uczynicie, dopuszczając do wyboru tego człowieka, tego... demagoga!

— Skąd pan u licha zrobiłeś Wilczka demagogiem? — zagadnął spokojnie Gonczarow, oglądając z zajęciem swoje paznokcie, wygładzone jak porcelana — czy na zasadzie przedstawionego nam niedawno na wieczornem posiedzeniu dokumentu? Jak to on się zaczynał, panie prezydencie?

Burmistrz zacytował ochotnie:

»Powiedzże mi aśćka moja miłościwa,
Czy nie próżno do niej konkurent przybywa.«

— Aha! to właśnie — potwierdził uśmiechając się ciągle Gonczarow — ten dokument mamy istotnie w ręku przeciw Wilczkowi, ale nic więcej nad to.

— Pan Kurtz rozumie ten dokument pod przenośnią — mówił dalej burmistrz, chcący dziś koniecznie upatrzeć w kwatermistrzu materyał do krotochwili dla siebie. — Utrzymuje on, że Polacy umieją czytać i pisać między wierszami, więc wyobraża sobie, że to nie kawaler z panną, ale Polska z Rosyą rozmawiają.

— Aha! — odezwał się naczelnik z wybornie udanem przekonaniem — jak to dobrze, że ten dokument kazałem do aktów dołączyć.

Całe zgromadzenie parsknęło śmiechem, jeden tylko kwatermistrz stał blady i rozdrażniony. Zdawało się, że gryzłby do krwi swoich szyderców, gdyby mógł. Był wszystkim pożyteczny, potrzebowano co chwila jego usług, ale nikt go nie lubił. Zaniechawszy już myśli o własnej obronie w tej chwili, pragnął za jakąbądź cenę rzecz uratować. Wstał przeto i, nie zważając na ironiczne uśmiechy, przemówił ochrypłym głosem.

— Panowie! chciejcie mnie wysłuchać bez uprzedzenia. W tej sprawie widzicie tylko śmieszną stronę i nie przychodzi wam do głowy, że komedya czasem najniespodziewaniej zamienia się w tragedyę. Ja patrzę na to, co się dzieje, i wcale mi się śmiać nie chce. Ci sami mieszczanie, co dotąd bywali posłusznem w naszych rękach narzędziem, dziś odzywają się, że nie miasto jest dla ławników, ale ławnicy dla miasta. Dawniej byli pokorni, ustępowali na każdym kroku i nie śmieli się z niczem odezwać — dziś zadzierają głowy i zgóry na nas patrzą. Oni, co nie mieli wyobrażenia o tem, co im wolno, a co nie wolno, dziś przebąkują o swoich prawach!..... A kto ich tego uczy? Wilczek. Kto przewraca w głowach spokojnych i potulnych obywateli? Wilczek. Kto rzuca kość niezgody pomiędzy miasto a radę miejską? Wilczek także. Panowie,

zastanówcie się, błagam was! Postawić Wilczka na czele straży ogniowej, jest to dać szalonemu miecz w rękę! On, pod pozorem ćwiczeń ogniowych, będzie uczył ochotników mustry wojskowej i faktycznie stanie się naczelnikiem zbrojnego oddziału! Gdyby odemnie zależało, skasowałbym wszystkie straże ogniowe. Będziecie mieli niejeden orzech do zgryzienia z powodu tego chłystka: mieliście już sposobność się przekonać, że uległym być nie umie i nie chce...

Gonczarow oglądał ciągle swoje paznokcie, ale widać było, że słuchał z uwagą mówiącego: miał on własne zdanie w kwestyi rozbieranej, ale wyrażanie go uważał za przedwczesne. Burmistrz natomiast stracił krotochwilne usposobienie, niczego bowiem nie bał się tak, jak spisków.

— Pan kwatermistrz może ma racyę — odezwał się strwożonym głosem: — Gdy Napoleon był pod murami Moskwy, małoznaczący i nieznany nikomu jenerał, rozpuściwszy wieść o jego śmierci, we dwa dni stał się wszechwładnym panem Paryża.

Gonczarow rzucił na burmistrza drwiące z pod przymrużonych powiek spojrzenie.

— Mówisz pan o spisku Maleta — odezwał się — ale między Maletem a Wilczkiem zachodzi ta maleńka różnica, że Wilczek nie jest jenerałem, że Kozłów nie jest Paryżem; że nasz Najjaśniejszy Pan nie prowadzi z nikim wojny i że, choćby nawet Wilczek ruszył do ataku ze swemi sikawkami przeciwko naszej armii, toby nikogo nie zabił.

Teraz zgromadzenie znowu parsknęło śmiechem, a burmistrz spostrzegł, że on niespodzianie stał się przedmiotem krotochwili, chociaż nic przecież nieracyonalnego nie powiedział, bo strażacy, oprócz sikawek, mają jeszcze bosaki i topory, które też za broń rachować się powinny. Ale się z tą uwagą nie odezwał. Gonczarow pogładził z zadowoleniem faworyty, bo lubił uchodzić za dowcipnego i, zwracając się do milczących dotąd ciągle ławników, zagadnął uprzejmie:

— A panów jakie jest zdanie w tej kwestyi, panowie rajcy?

Podczas gdy Lebich, Höhne i Fryc namyślali się, co mają powiedzieć, Hand, milczący zwykle na posiedzeniach i obgryzający ukradkiem paznokcie, odezwał się ku ogólnemu zdziwieniu kolegów:

— Ja panu naczelnikowi co powiem: Ja sobie myślę, co pan kwatermistrz zawielki robi hałas z tem wszystkiem, tak z przeproszeniem jakby z małe muche zrobić wielkie krowe. Pan kwatermistrz powiada, co oni obywatele trzymają głowy do góry: no! niech oni sobie trzymają; jak ich karki zabolą, to je pospuszczają. Pan kwatermistrz powiada, co oni chodzą, gadają i naradzają się: no, co to szkodzi, że oni sobie gadają? Niech gadają, kiedy im się tak podoba, aż wszystko wygadają. Czy panowie myślą, że tego będzie długo? Im się to prędko naprzykrzy. Ja znam polską naturę: ona lubi bardzo dużo

gadać, ona potrzebuje gadać, ona gadaniem żyje. Ale robić, to ona mało robi. Krowa, co dużo ryczy, mało daje mleka.

— Lepiej byłoby, żeby krowa nie ryczała wcale, tylko pozwoliła się doić — pomyślał burmistrz i westchnął.

— Im się nawet to gadanie naprzykrzy — mówił Hand dalej. — Polak już ma taką naturę, co on zawsze potrzebuje co nowego. Ja ich znam! Oni chcieli odebrać handel żydkom: więc jeździli, chodzili, gadali, zbierali składki, otworzyli chrześcijański sklep; ale jednym naprzykrzyło się w tym sklepie sprzedawać, a drugim kupować i sami sklep zamknęli. O tanie kuchnie, to było tyle gadania, że mało uszy nie popuchły, a panie, co miały tam kolejno dozorować, to się aż pokłóciły, bo jedna przed drugą chciała tam siedzieć; a teraz nikogo niema do siedzenia, a w kuchni gospodaruje kto chce. Ja panom jeszcze co powiem: pan kwatermistrz mówi, co oni wprzód byli kontenci, co my za nich myślimy, a teraz chcą sami myśleć za siebie. Niech pan kwatermistrz będzie spokojny; im się to myślenie naprzykrzy, tylko trzeba trochę poczekać. Na co się mamy śpieszyć? Nikt nas nie goni. Oni sami do nas przyjdą i będą prosić, żebyśmy wzięli napowrót ten ambaras. To już taka ich natura. Czy to oni dopiero teraz na nas narzekają? Oni zawsze narzekali: aptekarz, doktor ksiądz, inżynier, cała arystokracya, zawsze gadali, że źle rządzimy, że krzywdzimy miasto, że uciskamy podatkami;

a czy który z nich kiedy chciał zająć nasze miejsce i zostać ławnikiem? Przecież to oni nas wybierają. Ale na co oni mają mieć ten kłopot? U nich jest wszystko w gębie, a jak przyjdzie co do czego, to jeden mówi: nie mam czasu; drugi mówi: co mi do tego; a trzeci mówi: dajcie mi pokój! Na co się mają fatygować! Oni wolą narzekać. Niech się pan kwatermistrz gadania nie boi: gadanie nie jest straszne; mnie się Wilczek z tego nie podoba, że on mało gada, a dużo myśli. On słowa skąpi tak, jakby to były dukaty: dlatego ja się jego boję i mówię, że on tu może co brzydkiego zrobić. Jabym chciał, żeby on więcej gadał; jabym mu dał lekarstwo na gadanie! Co pan kwatermistrz mówi, że on zrobi powstanie, to ja się z tego śmieję...

Skończywszy tę nieco przydługą mowę, mówca zaczął znowu obgryzać paznokcie jakby się o nic nie troszczył. Wzrok tylko jego wybiegał chwilami na twarze obecnych i znów się cofał.

Gonczarow słuchał, uśmiechając się czasami, a czasami spoglądając na mówiącego przymrużonemi oczyma. Powiedział on już sobie, że ten żyd najtrafniej ocenia położenie, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie wyłącznie. Gdy Hand umilkł, naczelnik zwrócił się z pytaniem do Höhnego, jakby czekał z kolei jego zdania. Flegmatyczny Niemiec odezwał się po chwilowym namyśle.

— Wiele z tego, co pan Hand powiedział. jest prawdą; niemniej, jeżeli Wilczek nie wyjedzie, powinniśmy wyborowi jego na naczelnika straży ogniowej przeszkodzić, nie z obawy uformowania powstańczego oddziału, ale żeby mu odjąć sposobność zdobycia większej popularności.

— Ja byłbym za wydaleniem go z miasta pod jakimbądź pozorem — odezwał się Lebich, nie mogący Jerzemu darować, że tenże domagał się koniecznie oddania go pod sąd za owe bułki i dopytywał się ciągle o pokwitowanie z odbioru protokołu. — Jedna parszywa owca może całe stado zarazić! Póki go tu nie było, święty pokój panował w Kozłowie.

— Powiedz pan, że wilk wściekły wpadł do owczarni — krzyknął kwatermistrz, nie mogący się już dłużej pohamować, ale natychmiast umilkł pod karcącym wzrokiem Gonczarowa, który z kolei wskazał na Fryca. Ten oświadczył, że podziela zdanie poprzednich mówców, nic nie mając nowego do dodania. Nastąpiła chwila milczenia, po której naczelnik przemówił:

— Moi panowie, widzę, że żaden z was nie rozumie tak, jakby należało, zamiarów rządu. Nie powinniśmy zrażać miejscowej ludności, ale zjednywać ją sobie i pozyskać jej zaufanie. Należy przyjąć względem niej postawę przyjacielską, nie wrogą; dlatego utrzymuję, że wyborowi Wilczka nie należy się sprzeciwiać. I owszem: niech się dokona pod naszą opieką.

Zatrzymał się i spojrzał po obecnych, badając sprawione wrażenie; było ono istotnie potężne, ławnicy nie dowierzali własnym uszom.

— Ale jak panom wiadomo, od gubernatora zależy zatwierdzenie dokonanego wyboru; gubernator zaś zapyta mnie o opinię.... Zrozumieliście mnie panowie?

Ławnicy przyjęli tę decyzyę szmerem uwielbienia i podziwu. Po słowach poznali mistrza.

— Prawo nie jest literą czczą—dodał, podnosząc się Gonczarow — szanować je trzeba, bo na niem polega wielkość i potęga państwa.

KONIEC I. TOMU.

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Zb. S.
004-
1622
W Krnninie